

STANISŁAW LEM

WEJŚCIE NA ORBITĘ

GWIAZDY NAWIGACYJNE

SCIENCE FICTION

1

Dziesięć lat temu wychodziły w Stanach Zjednoczonych dwa miesięczniki, poświęcone fantastyce naukowej; w roku 1956 było już ich trzynaście. Wielki boom *science-fiction* stanowił zarazem sukces wydawniczy i niespodziankę. Ilość piszących w tym polu gwałtownie wzrosła, powiększyły się nakłady książek i periodyków, liczba zaś ukazujących się rokrocznie nowych tytułów przekroczyła możliwości czytelnicze jednego człowieka, zwłaszcza jeśli dodać do amerykańskich cztery miesięczniki S-F brytyjskie, nie wymieniając już żadnych innych w Europie (a jest ich sporo, chociaż znaczna część przynosi tylko tłumaczenia z angielskiego).

Nie dysponuję, niestety, dokładnymi danymi dotyczącymi nakładów i tytułów, ale wiem, że około 17 tysięcy stron, zadrukowanych fantastyką, które przeczytałem, biorąc się do tego przeglądu, stanowią dosłownie kroplę, zaczerpniętą z morza.

Mamy do czynienia z fenomenem, zlokalizowanym wyraźnie w USA, albowiem *science-fiction*, wydawana w innych krajach (zwłaszcza Zachodu), pojawiła się w nich na prawach dzinsów i coca-coli jako naśladownictwo amerykańskiego stylu życia, a nie ostatnim argumentem na jej rzecz był wielki sukces ekonomiczny tego *businessu* w jego ojczyźnie. Mimo to nie można nawet porównywać *Sci-Fic* amerykańskiej z europejską: na starym kontynencie fantastyka ulega wyraźnie „ubrukowieniu”; brak tu pisarzy o większych ambicjach i talencie (choć, być może, rzeczy te zmieniają się, jeśli za pierwszą jaskółkę poczytamy Dürrenmatta z jego „Akcją Wega”). W każdym razie autentycznie masowy popyt na S-F istnieje tylko w Stanach d tam tylko zbłądziła ona pod nylonowe strzechy.

Do niniejszego omówienia przystępowałem ze znacznymi oporami, albowiem, choć może to się wydać paradoksalne, wciąż nie jestem pewny rangi gatunku. Podlega on, ze strony krytyki literackiej, milczącemu potępieniu, którego przeciwwagę stanowa bezkrytyczna apologia zwolenników, owych *Sci-Fic-fans*, którzy tworzą w Stanach specjalne kluby i sami wydają, oprócz biuletynów i przeglądów krytycznych, także własne pierwociny fantastyczne w ograniczonych nakładach. Jakiegoś mniej skrajnego, reprezentowanego przez rozsądną krytykę stanowiska nie udało mi się dotąd wypatrzeć. Nie mam tu przy tym na myśli naszej krytyki, która, bardziej papieska niż sarn jej francuski papież, fantastyką naukową, jej „metateorią”, jej

problematyką, propozycjami intelektualnymi, sferą tematyczną — w ogóle się nie interesuje. Może zresztą ma w tym rację; nie będąc jednak tak zupełnie pewny, że „nie ma o czym mówić”, spróbuję, na podstawie analizy owej kropli z morza, którą udało mi się zaczerpnąć, wypowiedzieć kilka sądów nieco ogólniejszych. Czuję przy tym w pełni, jak bardzo mi brak niezbędnego zaplecza sozologicznego oraz znajomości amerykańskiej *way of life* i całej społecznej sytuacji powojennej Stanów, która wytworzyła wielką podaż fantastyki i dorównującą jej, masowy popyt na ten nowy literacki gatunek. Gdy jednak zjawisko, choćby dla swej spontaniczności i masowości interesujące, okrywa prawie doskonale milczenie, będę przynajmniej jednookim wśród ślepców.

Ponieważ jedyna, jak dotąd, i wielce niereprezentatywna, bardzo za to przypadkowa w wyborze pozycji antologia amerykańskiej S-F, wydana przez Czytelnika, nie może stanowić podstawy do szerszej analizy, będę się w większości wypadków opierał na materiale utworów, nigdy w Polsce nie tłumaczonych, a tym samym mię uniknę i streszczeń, które, niestety, niewiele mogą powiedzieć o ciężarze gatunkowym dzieła, bo ta sama intryga może stanowić szkielet utworu bezwartościowego, jak i świetnego. (Nie dotyczy to, naturalnie, tylko fantastyka.)

Science fiction trzeba — obawiam się — omawiać inaczej, niż jakkolwiek inny gatunek literacki, i to nie ze względu na walory artystyczne, których większości, i to przeważającej, jej tytułów nie dostaje, co dla osobliwych zjawisk, o których szczegółowo niżej.

2

Science fiction wytworzyła imaginacyjny świat o swoistej jednorodności, i ten plód zbiorowej wyobraźni autorów, od najslabszych do najwybitniejszych, przedstawia fenomen daleko rozleglejszy i — w sztuce rzecz niezwykła — bardziej godny uwagi, aniżeli pojedyncze utwory najświetniejszych nawet pisarzy. Krytyka literacka w USA długo ignorowała całą domenę *science fiction* i miała w tym o tyle rację, że lwia część utworów jest literacko równie bezwartościowa co byle „kryminał” czy „western”, a mimo to stanowisko jej należy uznać za błędne. Między powieścią kryminalną, którą krytycy uważali za gatunek równoległy do *Sci-Fic*, a fantastyką zachodzi fundamentalna różnica. Akcja „kryminału” toczy się w sytuacjach sprawdzalnych doświadczeniem, powieść taka nie chce być niczym więcej niż inteligentnie ułożoną łamigłówką, lecz jeśli góruje nawet literacko nad stosami *science fiction*, takie

wartościujące pod względem artystycznym kryterium nie jest decydujące. Idzie o to, że wszystkie razem wzięte kryminały nie składają się w żadną całość, większą od tego, co przynosi najlepszy z nich, albowiem ukazują jedynie pewną, nieznużenie i w niezliczonych wariantach powielaną sytuację — poszukiwania sprawcy (*whodunit*), podczas kiedy utwory S–F stanowią budulec osobliwego gmachu, którego plan, przy całym pomieszaniu wątków i kierunków, jakie w nim panuje, może nam wiele powiedzieć o ważkich problemach współczesności i — przede wszystkim — Stanów Zjednoczonych. Milcząca zgoda obowiązuje autorów S–F nie tylko wobec technologicznego kierunku rozwoju naszej cywilizacji, ale ogarnia też eschatologię ery maszyn; że jednak, jak będzie o tym mowa niżej, epika gatunku nie dorosła do podźwignięcia groźnych zjawisk Nowego Mechanicznego Świata, mamy przed sobą paradoksalną sytuację, w której gatunek literacki pochłoniął niejako własnych twórców i przerósł ich — bo nad wszelką wątpliwość wielu piszących — nie zdaje sobie sprawy z tego, że stanowią „zbiorową Kassandra” XX wieku.

3

Obok *science fiction* znają też Amerykanie *fantasy* — i niejeden już kałamarz opróżniono, aby możliwie ostro zarysować granicę między tymi dwoma pojęciami. Obawiam się, że trud był to raczej daremny. Jeden z najwybitniejszych „fantastyków”, Ray Bradbury, tak definiuje we wstępie do zbioru swych opowiadań oba rodzaje: i „*Science fiction* jest posłusznym prawu obywatelem literatury, słucha reguł i prawideł fizykalnych, społecznych czy psychologicznych, jest to obywatel obowiązkowy, punktualny, jego zachowanie się można przepowiadać. Fantastyka (*fantasy*) — to kryminalista. Każda fantazja atakuje i łamie jakieś prawo, a zbrodnię ukrywa intencja autora i styl, które przesłaniają ciało, zanim dostrzeżemy krew”.

„*Sci–Fic* współpracuje ręka w rękę z Kosmosem, fantazja rozbija go na części, odwraca na lewą stronę, nicuje, rozpuszcza do niepoznawalności, przeprowadza ludzi przez ściany... albo — krócej — *science fiction* utrzymuje cię w balansie na szczycie skały, fantazja strąca cię z niej.”

Charakterystyczne i zabawne zarazem, że każdy omal z autorów uważa za swój obowiązek podać własną definicję obu rodzajów *per genus proximum et differentiam specificam*. Wszystkie te próby trąca jednak nieco scholastyką. Oczywiście każdy orientuje się w różnicy między Poe’em i Wellsem, pomiędzy na poły sennymi majakami niekoniecznie logiką

kontrolowanej wyobraźni a oschłą i rzeczową spekulacją, która z logistyczną sumiennością wyciąga wszystkie wnioski z założonych uprzednio przesłanek. Oba elementy, racjonalistyczny i imaginatywny, mieszają się jednak z sobą i występują w różnej proporcji u twórców, zależnie od ich temperamentu czy chwilowego tylko nastroju (bo i Poe bywał niekiedy prekursorem *science fiction*, i Wells ważył się czasem na baśniowe omal fantazjowanie), a rozdzielanie ich łatwo zmienia się w robotę równie jałową jak intuicyjne dociekanie, ile procent „pierwiastka męskiego” i „kobiecego” składa się na osobowość określonego indywiduum (co było kiedyś modne w filozofii weiningerowskiego typu).

Nie będąc historykiem literatury i nie posiadając ambicji ani wiedzy dostatecznej, by go udawać, nie wykażę się tu znajomością prehistorii *science fiction*. Ograniczę się tylko do stwierdzenia, że na współczesną fantastykę naukową Amerykanów złożyły się: bajka, także bajka filozoficzna, baśń ludowa, utopia o zacięciu społeczno-filozoficznym oraz nowożytnie rozmiłowanie w technologii, które z naiwno-optimistycznego kultu Żelaznych Aniołów rychło przekształciło się w trwogę obywatela ery mózgow elektronowych i wodorowych wybuchów.

Podobieństwa fantastyki naukowej do baśni są tak oczywiste, że nie sposób ich nie dostrzec. Jakoż niektórzy krytycy uważają ją nawet za „baśń ery atomowej”, ale tkwi w takim rozumieniu istotne przeoczenie.

Science fiction jest baśnią zrationalizowaną, chciałoby się powiedzieć: „uzgodnioną” z tym, co dzięki nauce wiemy albo przynajmniej możemy (lub wreszcie — będziemy kiedyś) wiedzieć o świecie. Baśń zwykła żąda od czytelnika, aby na czas opowiadania zawiesił swą codzienną trzeźwość i wiedzę o tym, co możliwe, a co niemożliwe. Konwencja jej nie domaga się „prawdziwej” wiary w świat nadnaturalny — a tylko chwilowego posłuszeństwa jej regułom, niczym określona gra, jest więc ona zabawą, tyle że, niemal bez wyjątku, zabawą z morałem. Dalej — sceneria baśni nie wymaga od opowiadającego sądnych zabiegów eksplikacyjnych. Opowiadacz nie musi wyjaśniać, dlaczego rzucony przez czarownicę grzebień zamienia się w las, jak działa „woda życia” albo czemu więdźmy potrafią latać. Konwencja baśni Sci-Fic natomiast wymaga, aby autor przedstawił odpowiednie receptury i wyjaśnienia, aby wylegitymował się określoną teorią (lub pseudoteorią) naukową, aby umotywowował wszystkie wydarzenia przyczynowo. Na dobrą sprawę każdą baśń można przerobić na science-fiction, jak to zabawnie udowodnił inny mistrz gatunku, Fredric Brown, we wstępie do jednej ze swych książek.

„Weźmy” — powiada on — „baśń o królu Midasie. Bóg Bachus był dłużny wdzięczność

Midasowi i spełnił jego życzenie — aby wszystko, czego się tknie, zamieniło się w złoto. Przełożona na *science fiction* baśń brzmi mniej więcej tak. *Mr* Midas, właściciel greckiej restauracji w Bronx, uratował życie pewnemu mieszkańcowi dalekiej planety, który bawi *incognito* w Nowym Jorku jako obserwator Federacji Galaktycznej. Obserwator ów zbudował maszynę, która zmieniła wibracje molekularne ciała *Mr* Midasa w taki sposób, że jego dotknięcie posiadało efekt transmutacji atomowej pierwiastków w złoto.”

W *science fiction* nie spotykamy, rzecz oczywista, aż tak plagiatowego kalkowania baśniowych wątków, nietrudno jednak odkryć w jej utworach techniczną reinkarnację licznych rekwizytów, a nawet całych bajkowych sytuacji. Tak więc wszelkiego rodzaju demony, wilkołaki, dzinny, duchy pojawiają się w niej jako przybysze z gwiazd, bądź jako zelektryfikowane Golemy (bo czymże innym są wszelkie roboty i automaty?). Odpowiednikiem potężnego zaklęcia jest formuła naukowa, nowy wynalazek czy odkrycie; przemiana człowieka (np. w kamień), tak często pojawiająca się w bajkach i podaniach, z Biblią na czele (gdzie produktem końcowym jest sól kuchenna), żeby nie wspomnieć już o czarodziejce z „*Odyssei*” — ukazana bywa jako skutek genetycznej mutacji, oddziaływania swoistych sił fizyko–chemicznych na odległych planetach, *brain–washing* — „mycia mózgu” lub innych podobnych zabiegów z zakresu „chirurgii duszy”, aż do przeszczepiania mózgu w inne ciało włącznie. Czapkę–niewidkę zastępują specjalne emitery, skafandry, pola siłowe; zycziwą wróżkę, która spełnia życzenia — mikroskopijny elektromózg, który bohater opowieści nosi w uchu albo ma chirurgicznie wszczepiony pod skórę, technologicznym odpowiednikiem „kijów–samobijów” są wszelkie współczesne i przyszłe maszyny wojenne, z bombami wodorowymi na czele, a motyw „stoliczku, nakryj się” — znajduje swój odpowiednik w innym płodzie cybernetyki stosowanej — w „konfiguratorze tomowym”, który na żądanie syntetyzuje z atomów wszelkie możliwe obiekty i ciała, włącznie ze zwierzętami i ludźmi. Dalej — lusterka wróżek, w których obserwować można dalekie wydarzenia, znajdują swe analogie bądź to we własnościach telepatycznych (przy czym telepatia i telekineza ostały już w obrębie *Sci–fic* „unaukowione” i wyprowadzone poza obręb ułomnego mózgu ludzkiego, bo istnieje ich „mechanizacja” — jako technika stosowania sił „psi” dzięki specjalnym aparatom teleportacyjnym i telepatycznym), bądź po prostu w stereo–telewizji. Nareszcie prymitywne typy „wskaźnikowego”, indykatorowego działania na odległość poprzez przenoszenie informacji (w bajkach występujące raczej skromnie, np. w postaci noża, który bohater, odchodząc, wbija w drzewo, a z którego odczytać można, czy nie spotkało go w

dalekim świecie jakieś nieszczęście) — zastąpione zostały bogatym rysunkiem radiotechnicznym. Pełne na koniec panowanie nad przestrzenią daje bohaterom *science fiction* „teletransmisją materii”, momentalne przenoszenie do wolnych obiektów z jednego miejsca Kosmosu w inne. Zjawisko to ma zresztą swe, na razie tylko teoretyczne, podstawy w ogólnej teorii informacji (mam na myśli koncepcję „prztelegrafowania człowieka” czy innego ciała poprzez przekazanie całości informacji strukturalnej o jego budowie z jednego punktu w inny, w którym następuje, w łopacrciu o tę informację, momentalna resynteza).

Tego rodzaju homologiczne i analogiczne szeregi można by zresztą dowolnie przedłużać, ale nie przyniosłoby to nam nic nowego ponad stwierdzenie, wynikające chyba dowodnie z dotąd ukazanego materiału, że technologia *science fiction* pobiła na głowę większość najśmielszych baśniowych marzeń, a spełnienie znalazły w niej nawet takie prastare mity i dążenia ludzkie jak tęsknota za nieśmiertelnością.

Jednakże nie techniczne różnice stanowią o całkowitej odmienności, o przepaści pomiędzy *science fiction* a bajką „klasyczną”. Najprostszym i dlatego najczęściej spotykanym tematem stała się w S–F „technologia cudu”, opisy naturalności wszelkich, z pozoru ledwo pomyśleć się dających, zjawisk, łamanie wyobrażeń i sądów, uznanych z dawien dawna za niewzruszalne. Treścią tego typu historyjek są relacje o dziejach odkryć, o niezwykłych wynalazkach, jest to, jednym słowem, wariant S–F najściślej i najbardziej „mechaniczny”: wymyślania i opisywania nie istniejących jeszcze dziś — ale być może możliwych kiedyś — maszyn, materialnych, zjawisk, wywoływanych przez człowieka i kształtowanych jego rękami. To jest zapewne literacko najmniej ambitny, ale poznawczo wcale istotny szlak tradycyjnej, verne’owskiej fantastyki, ukazującej trudy i mokoły, jakie trzeba pokonać, aby człowiek mógł zapanować nad jeszcze jedną sferą swego otoczenia czy nad jeszcze jedną ułomnością własnej natury. Tym samym dydaktyczna, konstruktywna, optymistyczna bajka S–F ukazuje, by tak rzec, podstawy „pragmatyki realizowania marzeń”, jest ona techniką spełniania życzeń, ale to jej radosne oblicze zasnuwają aż nazbyt szybko chmury — albowiem wraz z wszechmożliwością spełnienia .snów sprowadzona zostaje z kraju nierealności na Ziemię także Apokalipsa Technologii.

W istnienie wilkołaków bowiem, dzinnów i złych demonów trzeba wierzyć tylko tak i tak ‘tylko być zjawianiu się ich posłusznym, jak regułom wymyślonej przez nas samej gry, którą w każdej chwili możemy — jeśli się nam znudzi, jeżeli nas zniechęci — odrzucić. Istnienie

sztucznych satelitów (choć jeszcze nie kosmicznych okrętów), wodorowych bomb, elektromózgów (tyle że się one na razie jeszcze ;nie buntują) — nie zależy od naszej wiary ani zgody, nie jest wymysłem ani dowolnie przyjętą konwencją. Tym faktem materialnego świata przeczyć niepodobna. I to zmienia właśnie w zasadniczy sposób stosunek twórcy i czytelnika do *science fiction*, a rezygnacja z wprowadzenia elementów ponadnaturalnych, dbanie o pozory wytłumaczalności każdego obrazowanego zjawiska przyczynia się walenie do „udoroślenia” gatunku, do zmiany, „odmłodziejowania” adresu czytelniczego. Poddając się rygorowi naukowemu, *Sci-Fic* zyskuje walor prawdopodobieństwa, staje się, może zbyt pochopną, może nieokielznaną towarzyszką science-fictionalnej przepowiedni, a im ostrożniejsze stawia kroki, im rozważniej bada własne przesłanki, tym potężniejszy wywołuje efekt: *in der Beschränkung zeigt sich erst der Meister...*

Mało który z autorów S-F zdobywa się na taki umiar, rozsądek i rygor, i dosypywane, w nadziei uzyskania wyników bardziej rewelacyjnych, drożdże wyobraźni rozdmuchują, rozsadzają science-fictionalnego twórcę, wywołują jego niepoohamowany rozrost, ucieczkę, eskapizm w krainę wszechmożliwości, w której autor znowu oddala się od rzeczywistości, traci z nią ostatni kontakt — i oto mamy przed sobą czystą *fantasy*, nowożytną, bajkę bez „naukowej” przydawki, błąd, mgławicowy twór, który nie może podźwignąć realnej problematyki istnienia — a czytelnikowi przynosi jedynie łagodny, jakże nieszkodliwy dreszczyk laku lub naiwną zabawę, ale wraz z nimi to, na czym wielu najbardziej zależy — chwilę spokoju i zapomnienia.

Science fiction nie daje bowiem jednego ani drugiego. Jedną z typowych, a na pewno nie przypadkowych formuł jej jest *it could happen to you* — „to mogło przydarzyć się i tobie” — a cały rozwój nauki i techniki w ostatnich latach — najpierw olbrzymi skok technologii zagłady, spowodowany wojną, potem lawina odkryć z atomistycznymi i cybernetycznymi na czele — powstanie dwoistego stosunku: podziwu i podszytej trwogą niechęci do uczonych (dawniej wyśmiewanych chętnie w USA dla ich niepojętej, nic rzekomo z życiem nie mającej wspólnego, uniwersyteckiej działalności) — wszystko to, przypadając na lata powojenne, stanowiło, jak sądzę, w dużej mierze sprężynę *boomu* S-F.

Tak więc bajka S-F nie jest właściwie bajką — albowiem „stanowić ma most, przerzucony od dnia dzisiejszego ku niedalekiej i nader prawdopodobnej przyszłości, i właśnie zmiana psychologicznej sytuacji, czytelnika, zasugerowanie go potencjalną realnością motywów *Sci-Fic*, przedstawia najistotniejszą różnicę w stosunku do niewinnych „Opowieści babuni” czy

krwistych baśni Braci Grimm.

Dotyczy to raczej atmosfery, jaką emanują wszystkie utwory S–F, aniżeli poszczególnych opowiadań, często ubogich, nieporadnych i wtórnych w budowie konfliktu i jego prowadzeniu. Czytelnik tysięcy takich nowel może każdą z nich z osobna, i słusznie nawet, lekceważyć, mieć za nic nieprawdopodobne perypetie raketowych załóg i walki z robotami, a mimo to z masy takich książek wstaje groźna, tchnąca realnością wizja Ery Technologicznej, która, w toku rosnącej autonomiczności raz rozpętanych i nieodwracalnych już procesów, może pochłonać, zmiążdżyć albo skazać na jakiś niepojęty rodzaj niewolnictwa zagubionych w swym wnętrzu ludzi.

Zaczęliśmy od wyliczania podobieństw *science fiction* i baśni — kontynuując przegląd różnic, po wymienionej „realności” czy raczej profetyczności świata S–F przejdziemy do jej problematyki moralnej. Baśń „klasyczna” jest w tym względzie bardzo konsekwentna; zło bywa w niej karane, dobro zaś — choć zrazu uciskane — przecież na końcu triumfuje. Otóż *happy end* występuje w S–F, z upływem lat i w toku ewolucji tego gatunku, coraz rzadziej. Wynika to z wielu przyczyn. Najpierw wynalazki i odkrycia, pozbawione aureoli nadnaturalności swych baśniowych „prototypów”, uwikłane w sferę ludzkich działań, zmuszają niejako dzięki swej materialności ich twórców–pisarzy do wysnuwania konsekwencji nieraz katastroficznych. Nikt nie słyszał o zepsutej czapce–niewidce czy katastrofie latającego dywanu — w najgorszym razie można zapomnieć magicznej formuły, otwierającej drzwi skarbcza, albo na własnej skórze wypróbować moc kijów–samobijów. Katastrofy jednak raket kosmicznych, defekty maszyn, choćby i najdoskonalszych, rozpaczliwe sytuacje, wynikające z ich ograniczeń, są nader prawdopodobne — i sytuacje takie stanowią często powracający temat *Sci–Fic*. W jednym z opowiadań (*Autofac* P. K. Dicka) sprowadzone do najprymitywniejszego bytowania grupy ludzkich niedobitków wojny atomowej bezsilnie przypatrują się mrówczej, nieustającej pracy automatycznych, podziemnych fabryk, wciąż i wciąż wytwarzających z najwyższą precyzją olbrzymie ilości broni i pocisków, broniących swych wnętrz szeregami robotów, którym niepodobna wytłumaczyć, że sytuacja, dla której powołane zostały do życia, już nie ‘istnieje’. Tego rodzaju kalekie, ślepe działania maszyn, które przetrwały zagładę całej cywilizacji, .ocierające się o szaleństwo nieporozumienia między człowiekiem a jego tworam, odnajdujemy w licznych utworach S–F, powracające z uporem obsesji. Oczywiście, i takie historie, takie „bajki” posiadają morał, ale morał szydrczy, pozbawiony baśniowych złudzeń.

Dalej — bohaterami bajek są istoty zwykle bądź niezwykle, ale za każdą popełnioną w nich zbrodnię ktoś odpowiada, są w nich ofiary i winowajcy, prześladowani i kaci — podczas gdy, dzięki naukom, jakich udzieliła im historia, pisarze wprowadzili na scenę swych utworów procesy i zjawiska masowe, w których pojęcia dobra i zła, winy i kary ulegają przerażającej przemianie — nikt nie jest winny albo winni są wszyscy, winien jest nie los nawet, lecz Gradient Technologicznej Ewolucji, racje są rozdzielone, konflikty — nierozstrzygalne, zamiast złośliwej wróżki, którą może przecież w końcu po[^] konać głupi Jaś czy dzielny królewicz — demonem bez twarzy okazuje się Prawo Wielkiej Liczby. To już problematyka Epoki Mas, ludzie rozmnożyli się, tym samym — zdewaluowali jako jednostki, *science fiction* niewiele zostawia im na przyszłość nadziei.

Aby zamknąć to zestawienie bajki i *science fiction*, dwa słowa tylko o amerykańskiej *fantasy*. Jużem wyjaśnił przedtem, czemu uważam ją za gatunek mniej od S-F nośny problemowo i, w przeciwieństwie do naukowej fantastyki — eskapistyczny w całym słowa znaczeniu. *Fantasy* rezygnuje z profetyczności, jaką para się *Sci-Fic*, powracając na tradycyjne pozycje baśni, opowieści niesamowitej o duchach, diabłach i demonach, a tym samym nie może ona stanowić budulca jakiegś całości nadrzędnej a niebajecznej. Oczywiście, otwiera się tu pole do popisu dla wybitnych piór, i niejedna perła gatunku wyszła spod ręki Brandbury'ego czy Browna — by wymienić najlepszych — a jednak uważam ją za dziedzinę mniej ciekawą.

4

Nad powieść S-F przekładam nowelę — *short story*. Nie jest to moje przekonanie aprioryczne, ale wybór z konieczności wobec poznanego materiału utworów. *Short stories* są na ogół nieporównanie lepsze od powieści. Z reguły przedstawiają one sytuację, opartą na jednym pomysle, który jest sprężyną, poruszającą postaci. Oczywiście, każdą intrygę można skomplikować, a przez to i wydłużyć, ale tak powstają tylko bardzo długie (za długie) opowiadania, a nie utwory epickie. Pozwolę sobie użyć tu prymitywnego, ale wyrazistego porównania: nowela jest niewielką, zamkniętą przestrzenią, jak gdyby pokojem; nowela, za sprawą komplikowania intrygi rosnąca w objętości — to jakby korytarz, którego wąskość po pewnym czasie zaczynamy odczuwać z rosnącym niezadowoleniem. Powieść — to otwarty przestwór; czy obszar o bogatej zabudowie, czytelnik zaś w miarę wpływu akcji wznosi

się niejako wciąż wyżej, dostrzegając coraz” wyraźniej wewnętrzną logikę, plan architektoniczny, zawile— związki poszczególnych elementów całości, nareszcie — ją samą, nie jako algebraiczną sumę, ale jako całość, o nowej, nieznanym przedtem wartości.

Tego stopniowego poszerzania kręgu widzenia, wzbogacania ujęć, komplikowania nie przygód, ale relacji, związków, stosunków, zjawisk — w przeważającej mierze powieściom S–F brak. Są one z reguły budowane na schemacie powieści awanturkowo–sensacyjnej, a banalność intrygi, jej melodramatyczność, znośna jeszcze w opowiadaniu krótkim, staje się w większych dawkach niestrawna. Koniec końców muchy świetnie latają, ale samolot nie przypomina wcale milionkroć powiększonej muchy; przy budowie powieści nie wystarczy znajomość działań prostych ani pojedyncze, osadzone jeden na drugim pomysły. Powieść musi być sama całością — w *science fiction*, jak to miałem nieszczęście wiele już razy powtórzyć, całością jest, jak dotąd, gatunek.

Reguła ta zna, naturalnie, wyjątki. Nie bardzo jest nim fascynująca skądinąd w lekturze powieść Heinleina *The Puppet Masters*, dzieje dramatycznej walki toczonej w USA z inwazją inteligentnych stworów, pasożytów, które na podobieństwo meduzy wpijają się ludziom w karki i opanowują ich, przekształcając jeden stan Ameryki po drugim w martwe rojowisko bezwolnych marionetek. Otóż ta wielce dramatyczna intryga pod koniec książki znajduje zamknięcie w zwycięstwie nad intruzami (dzięki odkryciu atakującego ich wirusa). Niestety, o najeźdźcach nie dowiadujemy się niczego poza tym, że są szatańskiego usposobienia. Motywacja ich postępowania, ich kultura, ład społeczny, jaki reprezentują, no i przede wszystkim racja, dla której wpijają się ludziom w karki, cele, jakich pragną dopiąć, pozostają tajemnicą autora, tak że mamy tylko przed sobą kolejne sceny pojedynku ludzi z kosmicznymi superpluskwami — zamiast starcia dwu różnych cywilizacji. Nieco, ale też niewiele tylko lepiej dzieje się w *Humanoidach* J. Williamsona — autor ten stworzył najpierw demoniczny świat robotów, które przymusowo uszczęśliwiają ludzi, stając się ich aż nadto natrętnymi sługami, aby potem zmienić nagle front — na końcu książki nie wiadomo już, o co chodzi, kto z kim walczy ani dlaczego: ładunek intelektualny wypalił się mniej więcej w połowie tematu, a powieść, niestety, nie zdążyła wtedy znaleźć rozsądnego zakończenia.

Jedynym wyjątkiem, godnym nazwy utworu, który zdołał w pełni podźwignąć zapowiadaną w tytule problematykę, pozostaje, w moim rozumieniu, dzieło socjologa Olafa Stapledona *The First and Last Man*. Utwór ten nie jest zresztą powieścią, trudno nazwać tak

książkę, obejmującą nie byle jaki, bo dwa miliardy lat trwający szmat czasu. Zawiera się w nim cała historia ludzkiego gatunku — od naszych dni aż po kres ostateczny. Z lotu ptaka obserwujemy powstawanie i kolejne upadki ziemskich cywilizacji, przemiany socjologiczne, psychiczne epoki imperialistycznego zdobywania głębin Kosmosu, odkrycia niewyczerpalnych źródeł energii, na przemian z *dark ages*, epokami ciemności, involucji, w których niedobitki kataklizmów, wojen bądź innych przewrotów (np. jeden następuje, gdy syntetyzowane biologicznie Gigantyczne Mózgi opanowują planetę, aby na koniec ulec zagładzie z rąk ich własnych twórców) cofają się w rozwoju o tysiąclecia; jest to gigantyczna panorama, wstrząsająca szerokością widzenia, bogactwem wyobraźni, odwagą rysowanych obrazów — wizja socjologa i myśliciela, którym był Stapledon. Dzieło to, mające w sobie rzeczywisty oddech bezmiernych przestrzeni i olbrzymich czasów, przepojone powracającą wciąż nutą stoickiego tragizmu — wyraz poglądów autora na los ludzki — posiada też i swoje słabości. Naturalnie brak mu akcji i bohaterów w sensie –konwencjonalnym, ale tak być musiało, gorzej z tym, że wielki socjolog nie był wielkim pisarzem i przechodząc (na szczęście rzadko) od scen .masowych i całych epok, przemijających na przestrzeni paru stron, do rysowania epizodycznych postaci, popadał nieraz w senty–mentalizujące kiksy. Mniejsza o nie jednak; utwór ten stoi całkiem osobno, .bliższy jest duchem książkom Wellsa (może i nie przypadkowo — Stapledon także był Anglikiem) i nie daje się ani zaklasyfikować tematycznie, ani nie stanowi cegiełki gmachu *science fiction*. Rozpisałem się o tej książce głównie dlatego, ponieważ uderza mnie jako przykład charakterystycznego zjawiska: oto talentem pisarskim Stapledon ustępował .na pewno Wellsowi, chociaż ten nie mógłby się z nim mierzyć rozmachem i śmiałością „socjologicznego konstruktorstwa”. Wiele bowiem umiejętności i talentów musi połączyć się w jednym człowieku, aby powstała szansa utworu, nieobcego problematyce S–F, a zarazem pozbawionego pewnej, prawie nie znikającej u Amerykanów, płaskości, schematyczności tego gatunku.

Tym zamykając diatrybę o powieści S–F, będziemy (znów z rzadkimi wyjątkami) zajmować się głównie jej utworami krótszymi.

5

Specjalizacja osiągnęła w *science fiction* nie byle jakie rozmiary. Ewolucja treściowa i formalna gatunku przebiega w sposób dość skomplikowany, ponieważ jako czynniki motywujące

twórczość działają zarówno „bodźce komercyjne”, to jest okresowe mody, popyt czytelniczy i sytuacja na rynku wydawniczym, jak i ogólne tło socjalne, a także stosunki międzynarodowe, których *science fiction* jest wcale czułym barometrem; jawny jest równocześnie zachodzący proces walki o –nowy temat, istotny ze względu na ostateczne wyeksploatowanie określonych wątków w latach minionych. Wiąże się to po części i z pisarskimi ambicjami, które żywi pewna grupa autorów, szukających nowych, oryginalnych treści i środków wyrazu.

Jedne miesięczniki S–F publikują przede wszystkim utwory z zakresu *fantasy* (jak *Fantasy and Imagination*), inne, jak *Galaxy*, przedstawiają repertuar „mieszany”, przy znacznym udziale „bajki technologicznej”; na koniec grupa periodyków mniej ambitnych zamieszcza utwory typu *space opera*, melodramatyczne cudactwa z pięknymi kobietami, rzuconymi w wiry walk śródgwiazdnych, rzeszami kosmicznych piratów i tyranów — są to najczęściej nad wszelki wyraz prymitywne adaptacje wątków „tarzanowych” i „wild–westowych” do zmieniającego się smaku publiczności — dzięki mechanicznemu przeniesieniu intrygi, obfitującej w okropne mordy, akcje szpiegowskie i sensacyjne przygody, w obręb Kosmosu, na pokłady rakiet i na powierzchnię odległych planet. To z nich właśnie rodem są typowe zabawki dzieci amerykańskich — pistolety atomowe, próżniowe skafandry, nakręcane rakiety, ba, nawet kukły „potworów z innych planet”.

Sporo opowiadań pojawia się w druku raz tylko, w periodykach — inne ukazują się także w wydaniach książkowych, jako zebrane nowele jednego pisarza, a z całej tej rzeszy tylko nieliczny procent trafia, po przejściu przez różnorakie sита selekcji, do wyspecjalizowanych antologii.

Zróznicowanie tematyczne osiągnęło w antologiach swoistą kulminację. Tak więc mamy *Possible Worlds* — inne, pozaziemskie światy (antologia taka dzieli się na część „solarną”, obrazującą zjawiska na planetach naszego układu słonecznego, oraz „galaktyczną”, opowiadającą o dziwacznych odległych gwiazdach), *Invaders of Earth* — to grupa „inwazyjna”, nareszcie trafiają się antologie aż tak wąskie jak tom, poświęcony wyłącznie „dziwnym dzieciom”, małym geniuszom i potworom–mutantom, oraz inny — zbiór opowieści „psychoanalitycznych”.

Na koniec ukazują się zbiory opowiadań, uznanych przez krytykę (rekrutującą się z szeregów zwolenników S–F) za szczytowe osiągnięcia roku. Dwie takie kolejne antologie, poświęcone pozycjom z lat 1956 i 57, wydała Judith Merril — wstęp do pierwszej napisał sam Orson Welles.

Interesujące są kłopoty amerykańskiego twórcy antologii. „W roku 56” — pisze J. Merrill — „opowiadania wykazywały tak wyraźną tendencję paranoidalną, że musiałam przeprowadzić szereg pospiesznych zmian w ostatniej chwili, aby uniknąć nużącego efektu opowieści za opowieścią, w których prześladowany protagonista stał naprzeciw wrogiego świata. W tym (57) roku były to rozdwojone osobowości...”

Ponieważ układający antologię musi korzystać z tego, co proponują mu pisarze, rozkład tematów, nawet po przejściu przez sita selekcji, może ukazać nam pewne interesujące zjawiska. W *obu* antologiach na trzydzieści sześć utworów mamy trzy o robotach, aż pięć o tematyce „psychologicznej” — częściowo psychopatologicznej — cztery o „innych istotach” na Ziemi, trzy o przygodach raketowych (Kosmos), nadto trzy o tematyce z zakresu fenomenów „psi” (zjawiska pozazmysłowe — telepatia, telekineza itp.).

Utopie są tylko dwie, do tego fragmentaryczne, naiwne i wątlutkie, i aż trzy kpiny z samego gatunku S–F. Zjawisko ostatnie nie było dawniej spotykane, tłumaczy je chyba ogrom seryjnej podaży i wydeptanie aż do ostatecznego banału szlaków, które, otwarte w ubiegłych latach po raz pierwszy, przynosiły nowe wartości i perspektywy. O „innych” na Ziemi opowiadają cztery nowe; utwory pozostałe nie bardzo poddają się klasyfikacji tematycznej.

W stosunku do lat czterdziestych, okresu wczesnej młodości S–F, dostrzegamy nie tyle poszukiwania tematów dziewiczych, bo takich już na dobrą sprawę nie ma, co próby przejścia z pozycji „technologicznych” na „psychologiczne”. A więc nie nowa maszyna i jej możliwości, ale raczej stosunek do niej człowieka, uwikłanie go w konsekwencje technicznego rozwoju znajdują się w centrum pisarskich zainteresowań. Niestety, większość autorów amerykańskich mię umie podolać temu zadaniu i dlatego poszukiwania „psychologii nowej sytuacji” kończą się często fiaskiem, prowadząc do swoistego mstyfikatorstwa pseudopsychologicznego i psychoanalitycznego.

W toku ewolucji gatunek ulega powolnemu rozwarstwieniu. „Na dnie” pozostają utwory do końca i śmiertelnie poważne, typu *space opera*. Oto typowy jej przykład, pióra I. Asimowa (*Stars like Dust*). Ziemia po wojnach atomowych jest radioaktywna, trzeba przebywać na niej w specjalnych budynkach. Młody Farril, student uniwersytetu, zostaje wplątany w niesamowitą walkę. Jego ojca zamordowano tajemniczo na odległej planecie. On sam naznaczony został stygmatem okrutnej śmierci. Prześladowcami jego są agenci „Kosmicznej Tyranii”. U boku pięknej Artemizji przeżywa Farril niezwykle przygody na pokładach hyperspecjalnych

krażowników, tocząc pojedynek ze szpiegami, którzy mają wbudowane w mózg ultranadajniki telepatyczne. Tyrani nazywają się Jego Wysokość Hinrik, Simoin Aratap itd. Farril, bohater bez skazy, zwycięża wreszcie Tyranów. Mamy przed sobą tasiemcowaty melodramat, ckliwy i krwawy jednocześnie, w którym wątki kryminalne, szpiegowskie, naszpikowane rekwizytami *science fiction*, zespalają się dla osiągnięcia maksymalnego efektu. Wartości literackie utworu równe są zeru; odpowiadają im poznawcze.

Ponad tą spetryfikowaną konwencją rozpościera się strefa utworów o większych ambicjach. Przykłady:

Na, statku, wskutek defektu zmienionym w sztucznego satelitę Marsa, przebywa wśród samych mężczyzn załogi kobieta z dzieckiem przy piersi. Aby je ratować, zabija kolejno wszystkich ludzi i zjada ich (napisane przez Anglika). To wariant makabryczny, naiwny, ale już nie tak prostacko ustereotypizowany jak *space opera*.

W czasie lotu na Marsa (meteor dziurawi zbiornik powietrza, starczy go tylko dla jednego człowieka. Jest ich na pokładzie dwóch, powstaje sytuacja konfliktowa. Jeden usiłuje zgładzić drugiego. To wariant dramatyczny z zaskakującą pointą, typu — zagadka kryminalna (A. Clarke).

Ameryka przyszłości. Boks zastąpiły walki robotów. Właściciel popsutego robota zajmuje jego miejsce, aby nie dopuścić do przegranej „walkoverem”. Zostaje zmasakrowany (R. Matheson).

Próba inwazji z Marsa poprzez zdalne zapłodnienie kobiety, która nic o tym .nie wie. Niepokalane poczęcie. Szalejący zazdrosny mąż. Dziecko umiera przy porodzie (melodramatyczne przeżycia męża, zapożyczone jakby z miernego dziewiętnastowiecznego romansu, uwarunkowane intrygą S–F).

Potwór z innej planety terroryzuje farmera, tak że ten zatrzymuje auta ‘na autostradzie (samotna okolica), a pasażerami, trzymanymi przez jakiś czas w klatkach, karmi potwora. (R. Matheson: *Being*). Między perypetie uwięzionej pary małżeńskiej wstawał autor krótkie partie „liryczno–niesamowitych bełkotów”, które mają odzwierciedlać „przeżycia potwora”.

Od wieków trwa wojna międzyplanetarna. Olbrzymie straty w ludziach. Biotechnieji wytwarzają z resztek trupich ciał nowych żywych żołnierzy (*Among the Dead Men* W. Tenna). Najczystsza makabra.

A. E. van Vogt: *The Vault of the Beast*. Przed wiekami przybył z „innego przestrzennego Kosmosu” na Marsa olbrzymi rozumny potwór. Marsjanie uwięzili go w gigantycznej budowli z

„ostatecznego metalu”, którego nic się nie ima, i opatrzili ją w niezwykle, „matematyczny” zamek. Minęły tysiąclecia, Marsjanie wyginęli, ludzie zdobyli Marsa, ale nie odkryli więzienia. „Koledzy” potwora, pragnąc go wyzwolić, wysyłają na Ziemię, w poszukiwaniu genialnego matematyka, który zdołałby rozwiązać zagadkę zamka — specjalnie skonstruowanego robota. Jest to właściwie swoista substancja materialna, która może dowolnie przyjmować wszelkie kształty otoczenia, zamieniać się w dowolne obiekty albo nawet w żywych ludzi, kopiując w sobie ich struktury atomowe. Jednakże utrzymanie się w raz przyobleczonej postaci wymaga od niego nieustających wysiłków, a udaremnia je pobliże większych mas metalu. „Robot” przybywa ziemskim statkiem, dostrzeżony podczas transformacji przez członka załogi, „dyfunduje” przez ścianę, spada na Ziemię, po zabójstwie kilku ludzi odkrywa na koniec genialnego matematyka, którego wprowadza w zastawioną przez siebie pułapkę: najpierw giełdowymi machinacjami czyni zeń bankruta, wskutek czego porzuca go ukochana kobieta, a potem zjawia się przed nim, obiecując — w zamian za otwarcie zamka — skarby ukrytych pod piaskiem miast wymarłych Marsjan. Matematyk zgadza się — ale otwarcie zamka powoduje śmierć uwięzionego potwora. Typowa, niesamowito–krwawa baśń S–F, w której van Vogt osiągnął najciekawsze bodaj rezultaty (inne jego opowiadanie, mniej szczęśliwe w realizacji, znalazło się w antologii „Czytelnika”).

Frederick Pohl: *Tunnel Under the World*. Tylerton, dziesięcioletnie miasteczko amerykańskie, zginęło wraz z mieszkańcami w wybuchu podziemnych zbiorników gazu. Skorzystał z tego miliarder Dorchin. Odbudował je całe, przy czym skopiowana została zarówno architektura domów i ulic, jak i architektonika ludzkich ciał i mózgow. Żaden z umarłych, a dzięki temu zabiegowi wskrzeszonych mieszkańców nic o tym nie wie. Jeden z nich, Burckhardt, w związku z pewnymi obserwowanymi fenomenami zaczyna podejrzewać coś złego. Po długich poszukiwaniach, w których toku przechodzi stadia najróżniejszych hipotez — dowiaduje się, że wszyscy otaczający go są robotami, wreszcie zaś tego, że i on jest „kopią samego siebie”. Przeżywa wtedy końcowy szok: sam Dorchin zdradza mu, że zrobił to, co zrobił, aby uzyskać absolutną władzę nad typowym miasteczkiem amerykańskim w celu prowadzenia badań nad skutecznością REKLAMY. Dorchin ukazuje się Burckhardtowi ogromny jak góra: aby oszczędzić środków, całe miasteczko wraz z kopiami żywych ludzi, zbudowane zostało w skali jeden do tysiąca... na stole! Jest >to odmiana bajki S–F bardziej „realistyczna” — z kolejnym stopniowaniem rozwiązań, z podporządkowaniem scenerii (roboty, reklamowe automaty)

tendencji uzyskania maksimum „elementu szokorodnego”.

Ray Bradbury: *A Sound of Thunder*. Towarzystwo *Time Safari Inc.* reklamuje się, że potrafi maszyną czasu przewieźć każdego klienta w dowolny punkt przeszłości, aby mógł zapolować na upatrzonego zwierza. W opowiadaniu odbywa się „safari” na dinozaury jurajskie. Myśliwym, przewiezionym w przeszłość, nie wolno schodzić ze specjalnego „antygrawitacyjnego” pomostu, gdyż najmniejsza ingerencja w to, co znajduje się poza nim, mogłaby spowodować ‘nieznane w skutkach konsekwencje, poprzez zakłócenie rozpościerających się na miliony lat łańcuchów przyczynowych ewolucji biologicznej i społecznej. Mimowiednie zejście z pomostu jednego z uczestników polowania, który przeląkł się tyranozaura, przy czym zdeptał kilka liści i motyla, sprawia, że kiedy myśliwi powracają wraz z przewodnikami „safari” do Nowego Jorku, zastają rzeczywistość odmienioną: reklamowy afisz na ścianie ukazuje... inną pisownię angielską, w wyborach prezydenta zwyciężył inny kandydat...

Opowiadanie traci w streszczeniu daleko więcej od przytoczonych dotąd, jak zwykle się to dzieje z utworami o większej wartości artystycznej.

Jest to wariant „podróży w czasie”, „pętli czasowej” — romantyczno–dramatyczny. Oto odmiana groteskowa tego samego tematu.

William Term: *The Discovery of Morniel Mathaway*. Krytyk malarski z odległej przyszłości przybywa we współczesność wehikułem czasu, aby bliżej poznać genialnego malarza, którego twórczości poświęcił wszystkie swe badania. Malarz okazuje się nędznym pacykarzem, pozbawionym krzty talentu. Korzystając z tego, że krytyk pozostawił nie strzeżony wehikuł czasu, malarz ucieka nim w przyszłość, gdzie, jako geniusza, oczekuje go wspaniałe przyjęcie. Krytyk, skazany na pobyt we współczesności, nie mogąc się już z niej wydostać, rozpoczyna osobliwą karierę. Podszywa się pod nazwisko malarza i kopiując obrazy według przywiezionego z sobą albumu w duchu twórczym znanej sobie dalekiej przyszłości, zyskuje powszechny podziw i najwyższe uznanie. Jest to nie tyle nawet pętla, co zamknięte w czasie koło przyczyn i skutków, nader dowcipnie skonstruowane.

Obok groteski dobroduszej, właściwie paradoksu, wyzyskującego zderzenie pojęć, wziętych z wysoko abstrakcyjnych dziedzin nauki (u Tenna — z ogólnej teorii względności), spotykamy groteskę szyderczą, sardoniczną. Robert Sheckley: *Pilgrimage to Earth*. Jesteśmy w dalekiej przyszłości. Stara Ziemia, ojczyzna ludzi, którzy zamieszkują całą Galaktykę, dawno już

została wyeksploatowana i pozbawiona bogactw przemysłowych i mineralnych. Jedyne przemysły, z jakich nadal słynie — to rozrywkowy i miłosny. Prawdziwej, prastarej, romantycznej miłości niepodobna już nigdzie znaleźć poza nią. Młody a naiwny człowiek, mieszkaniec odległej planety, udaje się na Ziemię, łaknąc romantycznej miłości, o jakiej nazywał się w starych poematach. Najpierw natyka się na lunaparkową budę, w której można za opłatą strzelać do kobiet (żywych), nawet z pistoletu maszynowego. Krew, agonie, itp. — gwarantowane. „Zabij kobietę! Pozbądź się nienawiści! Naciśnij cyngiel! Lepsze od masażu. Lepsze od alkoholu! Poczujesz, jak ci to ulży! Zabij kobietę!” — nawołuje właściciel budy. (Zboczeni mogą strzelać do mężczyzn). Młodzieniec, oburzony, odrzuca propozycję. Niebawem znajduje *Love Inc.*, towarzystwo, które gwarantuje autentyczną, głęboką namiętność, „nagie ciała kochanków bielejące na morskim piasku pod księżycem, długie godziny zapatrzania w najdroższe oczy, słowiki, spazm” etc. Podejrzewa zrazu, że proponują mu skorzystanie z prostytutki, ale szef firmy przekonuje go o czymś innym. Jakoż okazuje się, że miłość, którą nabył, jest autentyczna, od pierwszego spojrzenia, bezgraniczna itd. — tyle że trwa jedną dobę. Kobietę poddano uprzednio opartej na naukowych zasadach indoktrynacji hipnotycznej. Kiedy oszalała z tęsknoty wpada do biur *Love Inc.*, szybko osadzają go i ostudzają jego zapalę: romantyczna kochanka spoczywa już w innych objęciach. Następują niezmiernie przekonywające wywody, które wykazują, iż rzecz z prostytutką nie ma nic wspólnego. Po upływie czasu, przewidzianego kontraktem, „romantyczne kochanki” odzyskują nie tylko swobodę, ale i czystość psychiczną, albowiem firma zwraca im (nowy zabieg naukowy) ich dziewiczą osobowość umysłową, a wszelkie wspomnienia o miłośkach zostają z ich mózgow usunięte. Młody człowiek wypada jak z procy z biur *Love Inc.*, pędzi do strzelnicy i za niewielką opłatą poczyna strzelać do ustawionych kobiet...

Wydrwiona przez Sheckleya perfekcja przemysłu usług, który, jak wiadomo, rozrasta się w Stanach niebywale, reprezentuje typ „groteski stosowanej”. A oto przykłady groteski „czystej”:

Koń-mutant obdarzony jest mową. Szereg zabawnych sytuacji płynie stąd, że nikt w jego umiejętności krasomówcze nie wierzy (podejrzewają bruchomówstwo właściciela).

Redakcję S-F prowadzi grupa robotów — wielkich, ciężkich maszyn — które wymyślają słodkie i krwawe utwory typu *space opera*.

Wielkie jaszczury mezozoiczne wyginęły, bo pewni wynalazcy skonstruowali wehikuł czasu i wybili je w polowaniach (Fredric Brown). Temat „podróży w czasie”, który u

Bradbury'ego stanowił oś opowiadania „realistycznego”, dramatycznego, potraktowany został z jawną kpiną.

Do filmowego scenarzysty przybywa zabląkany w czasie robot z aparatem do zmieniania ludzkiej osobowości. Czyni z pisarza najpierw duplikat Iwana Groźnego, a potem Neandertalczyka, gdyż dopiero tak „mocny” człowiek daje sobie radę w pertraktacjach z producentami i reżyserami. Nasmarowany eliksirem miłosnym pewien młodzieniec przyciąga wszystkie kobiety, które (zbyt wielka dawka) rozdarły go w uniesieniu na strzępy.

Fredric Brown: *The Yehudi Principle*. Jest to ulubiona i nadużywana przez Browna forma opowiadania zamkniętego w koło — koniec wraca do początku, jak w piosence o Marku, który poszedł na jarmark kupić sobie oś. Opowiadacz rozmawia z przyjacielem, który wynalazł aparat do spełniania życzeń. Przy tym obaj pociągają gin w rosnących dawkach. Okazuje się, że ten, kto wkłada sobie aparat na głowę, właściwie sam spełnia swoje życzenia, ale z tak niesamowitym przyspieszeniem, że jego postać tylko na ułamek sekundy okrywa się jak gdyby mgiełką w oczach innych ludzi, on sam zaś nic o tym nie wie. Ale to tylko pierwsze przybliżenie. Motywem, powracającym w dialogu pijanych — opowiadacza i wynalazcy — jest wierszyk angielski „o małym człowieczku na schodach, którego nie było i dzisiaj go znów nie było — chciałbym, żeby sobie poszedł”. To on zostaje nazwany przez pijaków „Yehudi”. Niechcący wypowiedziane życzenie „zastrzel się” powoduje strzał — słychać go na schodach — ale nie ma tam nikogo. Tyle że aparacik przestał działać, a więc to nie on sam działał, ale „poprzez małego człowieczka, którego nie było”. Widać się zastrzelił. Podczas wypowiedzania życzeń opowiadacz zapragnął napisać opowiadanie. Teraz okazuje się, że zostało napisane — właśnie TO. Zaczyna je czytać — i tak koniec powraca do początku. Kostyczny humor Browna przepadł, niestety, w streszczeniu. (Inne, niegroteskowe opowiadanie, mniej typowe dla tego autora, *Something Green*, opublikował w swoim czasie „Przekrój”.) Dobrym przykładem humoru makabrycznego jest *Child's Play* Williama Tenna, gdzie w nie wyjaśniony bliżej sposób niejaki Sam Webster dostaje przesyłkę z przyszłości — wielkie pudełko z zabawką *Build A-Man-Set Nr 3*. Jest to budownictwo... ludzi. „To pudło przeznaczone jest dla dzieci między jedenastym a trzynastym rokiem życia. Komplet niniejszy, daleko bogatszy niż w rozmiarach 1 i 2, pozwala budować doskonale działających, dorosłych ludzi. Tylko mając komplet Nr 3 możesz sobie sam zbudować Żywego Człowieka!” — głosi wstęp do instrukcji. W pudle znajdują się ingrediencje chemiczne, wapń do budowy szkieletów, „dehydratyzowane preparaty neuronowe — tylko do konstrukcji człowieka” — itp.

Bohater zaczyna składać ludzi — przy czym zabawa ta znajduje makabryczny epilog (buduje własnego sobowtóra, który ożywa w chwili, kiedy przybywa z Przyszłości Technik, przysłany przez Wytwórnę, po stwierdzeniu, że przesyłka „zawieruszyła się w czasie i popadła w niewłaściwe ręce”. Biotechnik ów, biorąc się do rozdzielania na sztuki i zapakowania elementów zabawki — uznaje za produkt budowlanej zabawy samego Webstera, tak że na placu pozostaje tylko sztuczny sobowtór, który okazał się prawdziwszy od swego oryginału).

Ten sam temat, jak zaczynamy się orientować, przechodzi często interesującą ewolucję. Odkryty, pojawia się w postaci dramatycznej, tragicznej, romantycznej: Podróż w Czasie wywodzi się, w swej technologicznej fikcji, z *The Time Machine* H. G. Wellsa, motyw inwazji na Ziemię — z jego, też jednoznacznie dramatycznej, „Walki Światów”. Po pewnym czasie warianty „serio” ustępują miejsca nowym, pojawia się dystans wobec tematu, poczyna się szukanie — w jego obrębie — spięć paradoksalnych, nareszcie wraca on na karty magazynów jako groteska. Oto inwazyjny motyw zastosowany do krytyki koncepcji „wyzwalania siłą”:

Dwie, niezmiernie nad Ziemianami górujące technicznie cywilizacje Galaktyki toczą z sobą kosmiczną wojnę, przy czym Ziemia potrzebna im jest jako „baza w przestrzeni”. Kolejno opanowują ją i na przemian wyzwalają spod ucisku, po ostatecznym zaś wyzwoleniu zostają same tylko ruiny i zgliszcza.

Motyw pionierskiego zdobywania planet, eksploracji kosmicznej, również został wydrwiony (R. Sheckley):

Pewien młodzieniec kupuje planetoidę. Pracują nań roboty, odczuwa samotność i chce się żenić. Dostaje w ręce katalog firmy *Roebuck–Ward* ZAMROŻONE NARZECZONE POCZTĄ! Narzeczona *Roebuck–Ward*, model pionierski, kondycjonowana dla każdej planety, posiada niski środek ciężkości, skórę pigmentowaną odpowiednio dla wszelkich klimatów, silne, krótkie paznokcie u rąk i nóg, zręczność i powab. Pod względem budowy dobrze wyważona i kształtna, nie ma jednak konturów, mogących wprawić pioniera w dystrakcję. Oferowana w trzech wielkościach, Narzeczona Pioniera Model *Roebuck–Ward* dostarczana jest odwrotnie za pobraniem pocztowym. „Zamrożona po najniższych cenach!” Małżeństwo dochodzi do skutku, przy czym ślubu udziela specjalny, przysłany w tym celu przez firmę robot.

Temat „znikania ludzi” ma swoje warianty najróżnorodniejsze. Makabryczno–poważny: Firma *Disposal Service* na telefoniczne żądanie usuwa jak śmieci dowolne osoby.

Romantyczno–eskapistyczny: Istnieje rajska, niezemska planeta, na której życie jest

cudowne, panuje tam wieczna pogoda, młodość, stosunki godne bogów. Jest sporo takich opowiadań. W jednych bohater dostaje się na ową planetę — i zostaje członkiem „doskonałej społeczności” (realizacje są, niestety, jak to zwykle bywa z „pozytywną utopią”, naiwne i nieprzekonywujące). W innych — bohater może tylko obserwować, np. telepatycznie, idealne społeczeństwo „innego świata”. W jeszcze innych — wskutek stworzonych przez autora trudności podróż na wymarzoną planetę nie udaje się.

W wersji groteskowej (nowela Sheckleya *A Ticket to Tranai*) bohater przybywa na utopię, aby po pewnym czasie stwierdzić, że panują tam wprawdzie stosunki całkiem inne niż na Ziemi, ale bynajmniej nie rajskie (małżeństwa nie kłócą się, albowiem żony przebywają zasadniczo w stanie „zawieszenia procesów życiowych”, wskrzeszane tylko na krótko przez małżonka; nikt nie pożąda władzy, ponieważ każdy z członków rządu nosi „medalion”, połączony z dostępną dla każdego centralą — naciśnięcie przez niezadowolonego obywatela odpowiedniego guzika w centrali powoduje eksplozję „medalionsu” i śmierć „skrytykowanego” tak ministra czy prezydenta; roboty na tej planecie buduje się umyślnie nadpsute, łamliwe, aby ludzie mogli, niszcząc je, odczuwać swą nad nimi wyższość, itp.).

Tym, co najbardziej uderza w lekturze bieżącej S-F, jest nierówny poziom utworów, sąsiedztwo opowiadań dobrych z pretensjonalnymi i lichymi. Zjawisko to, zrozumiałe jeszcze w miesięcznikach, występuje także w antologiach, które winny przecież przynosić samą tylko śmietankę gatunku. W obrębie krytyki S-F, prowadzonej pod postacią krótkich recenzji i omówień we wszystkich periodykach, zachodzi proces przeceniania wartości utworów słabych i jednoczesnego spychania rzeczy najlepszych w skali ocen w dół. Czytając omówienia, można by sądzić, że Ray Bradbury ; jest nieco lepszym pisarzem od Asimowa, Frederick Brown tyle ma niemal do powiedzenia co E. F. Russel, A. Clarke , zaś jest jedną z najjaśniejszych gwiazd na firmamencie ; całej *science fiction*. Tymczasem ten ostatni to po prostu \ zręczny popularyzator, osiągający w najlepszym razie warsztatową poprawność; E. F. Russel jest zwykłym grafomanem (typowy twórca nie zamierzonych efektów: w *Second Genesis* ostatni człowiek, który przeżył atomową zagładę, jest obiektem chirurgicznego zabiegu ze strony... Pana Boga, który wyjmuje mu, dla wiadomych celów, żebro — i wszystko to serio, bez świadomości szyderczego brzmienia tej „repetycji Stworzenia”); Asimow, biolog z wykształcenia, obok zręcznych nowelek nie waha się publikować banialuk w typie *space opera* (przytoczyłem powyżej jeden z jego powieściowych melodramatów); Frederick Brown zaś należy do najnierówniejszych —

„jakościowy rozrzut” osiąga w jego twórczości bodajże amerykańskie maksimum.

Przywykli do produkcji seryjnej i masowej Amerykanie, nawet tacy, którzy dali po kilka oryginalnych utworów, często powtarzają się i kopią samych siebie. Każdy autor zaczyna zwykle od własnych wariantów tematyki „klasycznej” *science fiction*, pisze więc opowieści „inwazyjne”, „atomowe”, „mutacyjne”, potem wielu zaczyna zagrażać nieprzyjemne rutyniarstwo. Dzieje się wówczas tak, że nowel — późniejszych zwłaszcza — Heinleina, Pohla, Tenna niepodobna wprost od siebie odróżnić: mają anonimowy styl, stereotypowe rekwizyty, są to opowiadania o „zamiennych częściach”, w których temat bywa zajeżdżany na śmierć w celu wyciśnięcia z niego resztek niedoeksploatowanej jeszcze sensacyjności.

Teodor Sturgeon jest autorem przez część krytyki S-F bodajże najwyżej cenionym. Zdania tego nie podzielam — to mistrz wydziwiaczy, zwolennik komplikowania intrygi nowelistycznej, nie jasności, budowniczy pseudogłębinowych, paranoidalnych psychologii, który, jeśli uda mu się niezły utwór, to wbrew uporczywej tendencji „zaciemniackiej”, przepajającej całą jego twórczość.

Wszystko to prawda — a jednak *science fiction* nie przestaje być jednolitą, w czytelniczym odbiorze, całością. Wiele idei, społeczeństwom typu europejskiego obcych bądź nieznanym, w rodzaju perspektyw astronautyki, wielości zjawisk życiowych w Kosmosie („galaktocentryczny punkt widzenia”), tragicznych potencjalnie koń— ! sekwencji rozwoju technicznego — *science fiction*, działająca samą po prostu masą i nieustannym powtarzaniem wciąż tych samych, spetryfikowanych nawet ujęć i tematów, zdołała z niezwykłym sukcesem spopularyzować i upowszechnić w najszerszych kręgach amerykańskiego społeczeństwa. Szary człowiek otrząsał się dzięki niej z nowożytną koncepcją uczonego, z celami i metodyką jego działania, z podstawowymi (choć wulgaryzowanymi często) pojęciami naukowego światopoglądu — a tym samym jej wkład w kształtowanie sposobu myślenia Amerykanów jest nieproporcjonalnie większy od jej walorów artystycznych.

Czytelnik masowy jest bowiem — trzeba to powiedzieć wyraźnie — dosyć słabo zorientowany w prawdziwych różnicach rozpiętości pisarskich talentów i dość na nie obojętny. Opieram swój sąd na licznych, publikowanych przez redakcje, listach. Ale i krytyka S-F, jak powiedziałem, nie wykazuje dużo lepszego rozeznania. Zestawiać takich autorów jak E. F. Russel i Bradbury — to tyle, jakby się porównywało Leblanca z Dostojewskim, Arsena Łupina z Raskolnikowem. Ostatecznie obie te postacie znajdowały się w kolizji z prawem i posiadały

„racje moralne”, dla których się tak działo. Przykład wygląda nieprawdopodobnie, ale jest wykładnikiem sytuacji, zdarzającej się w *science fiction*, i to wcale nierzadko. Wspólnota tematu zdaje się tu tworzyć podstawę do takich zestawień, w najwyższym stopniu niesprawiedliwych. Jeszcze raz okazuje się, że temat jest niczym. Bradbury pozornie poddaje mu się, ulega konwencji, w rzeczywistości przewycięża ją swoim nieporównanym wizjonerstwem, darem nadawania blasku, świeżości motywom i sytuacjom najbardziej ograny. Odnosi się wrażenie, jakby intryga była dla niego tylko drabiną Jakubową, po której wprowadza czytelnika do nieba (częściej do piekła), zarazem cechuje go oszczędność i zborność środków (po tym poznaje się pisarza), dająca rezultaty większe od nagromadzenia całych eksplodujących Galaktyk w opowiadaniach fantastyczno–naukowych wyrobników.

Drugi po nim — Frederick Brown, pod względem temperamentu antyteza Bradbury’ego, twórca kostycznej groteski, geometrycznie suchego paradoksu, bez szczypty romantyki, szyderca zresztą raczej dobroduszny, o tyle tylko daje się wymienić jednym tchem z Bradburym, że obaj przedstawiają nieczęsty w *science fiction* typ szczęśliwych eksperymentatorów–poszukiwaczy. Dlatego właśnie obaj, wbrew własnym definicjom, nie utrzymują w swych utworach „sentyficznej” czystości gatunku, balansując na pograniczach *fantasy*, *science fiction*, filozoficznej bajki, a plonem takich „wykroczeń” bywają ich rzeczy najlepsze.

Brown warsztatowo nie ustępuje na pewno Bradbury’emu — ale obiera z reguły cele znacznie skromniejsze. Jest mistrzem budowania intrygi — i wie o tym. Ale jego po zegarmistrzowsku precyzyjne konstrukcje mają jedną wadę: tę, że nie wskazują żadnego czasu. *The Yehudi Principle* jest tu przykładem nie najgorszym, choć można by znaleźć jego opowiadania jeszcze kunsztowniejsze, jeszcze bardziej nasycone czystym paradoksem. Obsesja zamykania opowieści w krąg, którego nie rozerwiesz, który tym samym jak gdyby wyłącza się z biegu pozostałego świata, nie jest dlań chyba przypadkowa. Bradbury ryzykuje z reguły więcej. I bodaj dlatego wolę go od Browna.

Gdybym jednak kontynuował te uwagi, napisałoby mi się studium o mistrzach — a chciałem przedstawić zarysy całej budowli *science fiction*, wraz z jej wielce rozległymi oficynami. Przedstawię zatem kilka utworów, które, wbrew licznym głosom krytyki amerykańskiej, uważam za bezwartościowe, nie dla grafomaństwa autorów (wówczas nie byłoby o czym mówić), ale przez fałsz, jaki odczuwam w ich wykoncypowanej pokrętności, wymyślnym, jałowym dziwaczeniu.

Cordwainer Smith: *The Game of Rat and Dragon*. W przestrzeni kosmicznej czyhają na rakiety niesamowite stwory, utkane z międzygwiazdowego gazu czy pyłu — ‘ napadają na statki i pozornie nie czynią im nic złego, ale pasażerowie ich popadają w obłęd lub agonię. Tylko ludzie obdarzeni zdolnościami telepatycznymi odczuwają zbliżenie się owych stworów, zwanych potocznie „smokami”. Można je unicestwić wybuchem świetlnych bomb, które każda rakietka niesie na pokładzie, ale czas ostrzeżenia telepatycznego jest za krótki. Z pomocą przychodzą koty, dla których „stwory” są jakby kosmicznymi szczurami. Koty, działając wspólnie z telepatami–ludźmi, dzięki podłączeniu do „telepatycznej sieci”...

Doprawdy, nie jestem w stanie kontynuować tej historii.

Clifford D. Simak: *Drop Dead*. Ekspedycja na inną planetę wykrywa na niej dziwne zwierzęta, coś w rodzaju krów, porośniętych krzakami, które to istoty (nierozumne) od czasu do czasu przewracają się i padają martwe. W wodzie, w powietrzu tej planety znajdują się roje drobniutkich ciałek, z pozoru nieszkodliwych. Po pewnym czasie członkowie ekspedycji zaczynają znikać. Okazuje się, że ulegają przemianie w wielkie, kosmate jaja. Dzieje się tak za sprawą owych ciałek, przepajających wszystko, co istnieje na planecie. Ciałka te przechodzą zawiły cykl biologiczny: z wody dostają się do organizmów (w tym wypadku ludzkich), zamieniają je w jaja, z tych jaj wykluwają się potem larwy owych „krzaczastych krów” — itd.

Jest to typowa spekulacja, mająca przynieść, wraz z wyjaśnieniem, aurę grozy. Osobiście nie przestraszyłem się tych jaj.

Frederick Pohl: *Pythias*. Niejaki Larry posiadał sztukę psychokinezy oraz wszechpotęgę, równą boskiej. Konflikt: wiedzę tę Larry pragnie rozpowszechnić. Jego serdeczny przyjaciel zabija go — albowiem wszechpotężni ludzie byłiby prawdziwym nieszczęściem globu! (Cytuję to, bo napisał rzecz ten sam Pohl, którego „Tunel pod światem” przedstawiłem poprzednio. Dusza amerykańska, przynajmniej w formacie „science–fictionera”, okazuje się doprawdy nie mniej zagadkowa od „duszy rosyjskiej”).

Michael Cathal: *Rejuvenal*. Na planecie Rejuyenal działają nieznane siły, odmładzające starców. Tylko bardzo bogaci milionerzy mogą opłacić długą i kosztowną podróż. Po kilku miesiącach pobytu, gdy cofnęli się w czasie o trzydzieści–czterdzieści lat, przybywa rakietka, która zabiera odmłodzonych na Ziemię. Rakietka ulega katastrofie. Odmłodzeni muszą czekać na następną. Tymczasem stają się coraz młodszy — już dzieciennieją. Kiedy są niemal że niemowlętami, rakietka nadlatuje. Po kilkunastu latach (pauza w opowiadaniu) sympatyczny eks–

starzec ucina sobie romans z eks–staruszką, bo oboje już znowu osiągnęli wiek odpowiedni dla miłości. (By uniknąć nieporozumień, zaznaczam, że wszystko podane jest całkowicie serio, łącznie z dziecinnieniem nadmiernie odmłodzonych staruszków.)

W. Morrison: *Dead Man's Planet*. Na planecie, na której osiemset lat temu wylądował ziemski statek, osiada rakieta. Załoga jej znajduje grób pierwszego pilota oraz żywego, osiemsetletniego psa, który dzięki „siłom planetarnym” przeżył swego pana i stał się nieśmiertelny. Już.

Sądzę, że tych przykładów wystarczy.

6

Jak przedstawia się najbardziej syntetycznie ujęta mapa rozkładu tematycznego *science fiction*? Najliczebniejsza jest S–F „ziemska”; bajka technologiczna poszerza się w ostatnich latach o wątki biologiczne, biokonstruktorskie i psychologiczne; osobny rozdział technologii stanowi „robotyka” — świat maszyn myślących. Mutacje człowieka, i zwłaszcza wywołane wojną atomową (np. rasa niedobitków takiej wojny — telepatów), dalej — „importowane¹ na Ziemię przemiany, wywołane „siłami” działającymi w dalekich rejonach Kosmosu, zawieszanie czynności życiowych, wspomniane już zjawiska typu „psi” (psychokineza itp), powielanie osobowości — oto tematy, które pienia się ostatnio ze szczególną intensywnością.

Opowieść technologiczna, jeżeli się pojawia, to jako późny potomek problematyki verne’owskiej, wyzuta z optymistycznej, inżynierskiej krzepy — zamiast wszechmogącego konstruktorstwa mamy problemy „maszyny kalekiej”, j „maszyny obłąkanej” albo całej, mechanicznej, prześladowanej człowieka cywilizacji — wszystkie te motywy są aż nadto zrozumiałe w świetle współczesnych wydarzeń.

Rozmaite transpozycje lęku przed atomową zagładą zastąpiły dziś jej bezpośrednie antycypowanie. W latach pięćdziesiątych *science fiction* była wprost zalana wizjami „końca świata”, przy czym ulubiona akcja opierała się na przeżyciach ostatnich niedobitków. Czasem autor pozostawiał na Ziemi jednego tylko człowieka. Temat przeżył swe wariacje tragiczne, dramatyczne, szydercze (jak w cytowanym już przeze mnie kiedyś opowiadaniu Damona Knighta, gdzie na Ziemi została tylko jedna para, ostateczny zaś koniec świata przypieczętowało zatrzaśnięcie się zamka w drzwiach ubikacji, którą nawiedził bohater — towarzyszką jego była

zbyt purytańskich obyczajów, by wejść do przybytku z napisem „Dla mężczyzn”). Miał ów zwiastowany Koniec swoje odmiany metafizyczne (jak w podanym przed chwilą opowiadaniu Russela), miał wiele innych, aż wypalił się i znikł z kart periodyków i książek. Temat znikł, nie znikły jednak przyczyny, które powołały go do życia. Obecnie podlegają tylko dalej idącym transformacjom.

W samej rzeczy — nie tylko zagłada może być najgorszą z czekających człowieka możliwości. Ekstrapolacje z obrębu pewnych zjawisk ewolucji technicznej, z zakresu teorii informacji i zmatematyzowanej socjologii stanowiącą swoistą *reductio ad absurdum* doli człowieczej, jak choćby świat zaspokajający potrzeby człowieka tak doskonale, że nie pozostaje mu w nim nic już do roboty. To już nie naiwne bajdurzenie o „buncie” myślących maszyn, nie trzeba bynajmniej ich rewolty, aby uczynić życie koszmarem. Amerykanów już dzisiaj straszy wizja nadmiernej perfekcji, zbytniego udoskonalenia życia, sztuczności i niesamowitej sprawności syntetycznego otoczenia, które człowiek wytworzył, aby poczuć — jak „Morderca maszyn” R. Bradbury’ego — że jest przez nie w przeraźliwy sposób osaczony, że możliwość natychmiastowego spełniania, zaspokajania życzeń sprowadza prostrację, bezwład umysłowy i fizyczny (w noweli *Little Orphan Android* J. E. Gunna przeciętny obywatel Stanów Przyszłości ledwo się umie podpisać), a potem ślepy gniew i chęć niszczenia — i naraz napotykam w samym sercu *science fiction* odkryte przez Amerykanów epoki uranowej prawdy, które wygłosił ustami swego „człowieka z lochu” przed osiemdziesięciu laty Dostojewski!

Wizje końca świata skierowują swe obiektywy na dalszy nieraz etap bytowania Ziemi po zagładzie — w opowieści „Gdy przyjdą deszcze” Bradbury’ego (przetłumaczonej) jesteśmy świadkami powolnego niszczenia doskonale zautomatyzowanego domostwa ludzi, których cienie tylko pozostały na ścianach po wodorowym wybuchu; w innych nowelach świat maszyn automatycznych, przetrwawszy człowieka, rozpoczyna własną, samoistną już ewolucję (jak w *Lost Memory* P. Phillipa lub *Orphans of the Void*).

Tak więc trwożne zafascynowanie kierunkiem rozwoju naszej cywilizacji jest jedną z istotnych sił napędowych *science fiction*. Jedną, ale nie jedyną.

Konflikt dwu części świata odzwierciedla się w tej literaturze prawie od jej początków. Obraz „czerwonej półkuli Ziemi” znalazł najzręczniejszego pamphletystę, najbieglejszego „negatywnego utopistę” w Orwellu. Wszystko, co napisano w tym przedmiocie po nim, jest w najlepszym razie uproszczeniem, w najgorszym — bzdurą, jak w *Check and Checkmate* Waltera

Millera, gdzie prezydent USA dowiaduje się, że wszyscy otaczający go dostojnicy i członkowie rządu są plastikowymi kukłami, podsuniętymi na miejsce „oryginałów” przez okropnych Azjatów–komunistów (którzy też okazują się robotami z nylonu).

W większości utworów, poświęconych temu głównemu konfliktowi epoki, razła mnie najbardziej niesłyszana

chępliwość Amerykanów, poczucie wyższości, za którego sprawą nie traktowali Rosjan inaczej, jak z pełną szyderstwa pogardą (antologizowana *Historical Note* Murray Leinstera jest tu przykładem wręcz klinicznym — drwiną z nauki rosyjskiej i jej możliwości).

Nie trzeba dziś polemizować z takim stanowiskiem. Wspominam o nim, gdyż wykazuje ciasny, a nieświadomiany przez większość pisarzy konformizm *science fiction*, która przez lata rosła jako część „kulturalnej nadbudowy” propagandystycznej, głosząc supremację Stanów we wszystkich dziedzinach nad całą resztą ludzkości. Start pierwszych sputników okrył śmiesznością nieprzeliczone stopy utworów, powieści, nowel, w których Amerykanie wyruszali pierwsi w Kosmos, mając za plecami wpatrzone w siebie z podziwem i szacunkiem narody Ziemi. Tym samym zadał, także w dziedzinie S–F, śmiertelny cios amerykańskiej pewności siebie. Mam nadzieję, że wielkie przewartościowanie, zapoczątkowane wzejściem na niebie „czerwonych księżyców”, dobrze zrobi twórcom S–F, ucząc ich relatywizmu i bardziej obiektywnej oceny świata, w którym żyją. Nawiasem mówiąc, wydawcy nawet na katastrofie dumy narodowej pragną ubić interes: widziałem reklamy tłumaczeń radzieckiej fantastyki naukowej w licznych amerykańskich magazynach...

Drugim, choć całkowicie odmiennym przejawem konformizmu S–F jest strefa milczenia, jaka pokrywa w niej i problematykę erotyczną. Mam tu na myśli tylko utwory, niesatyryczne i niegroteskowe, albowiem (choć może to / nie wynika dość jasno z tych uwag) właśnie twórczość „poważna”, serio traktująca fikcję, stanowi trzon całego gatunku.

Problematyka erotyczno–seksualna stanowi nienaruszalne „tabu” amerykańskiej fantastyki. Opowieści S–F bywają okrutne, makabryczne, tragiczne, ale nigdy ani śladu w nich — nie to już, że wyzudania, ale bodaj próby naszkicowania przesunięć, zmian, przewartościowań w dziedzinie płci. To przemilczenie (a przecież jakaś, w skórze „fictionera” tworząca, amerykańska Simone de Beauvoir, mogłaby wznieść istne apokalipsy opętanego mechanicznością Seksu) jest zapewne wypadkową działania rozmaitych przyczyn. Poza względami cenzuralnymi mamy chyba do czynienia z ostatnimi relikdami „młodzieżowości”

gatunku. Innych przyczyn nie znam, a nie odważyłbym się, jak krytyka amerykańska, twierdzić, że problematyka seksualna wypełnia całą *science fiction*, tyle że pod postacią freudowskich symboli.

Wypadałoby, wciąż w ramach przeglądu tematów, zająć się socjologicznymi koncepcjami Amerykanów. Opowiadania tego rodzaju rozpadają się na kilka grup. „Międzynarodową Nagrodę S–F” zdobyła w 55 roku powieść Edsona Mc Canna *Preferred Risk*. Światem rządzi w niej *The Company*, Kompania, związek korporacji ubezpieczeniowych, który m. in. ubezpiecza od wojny całe narody (nie polisami opłacającymi skutki wojen, lecz przemocą, także atomową, która wybuch wojen czyni niemożliwym). Kompania posiada tajemnicze „kliniki”, w których zawieszają się czynności życiowe opozycjonistów; akcję powieści wypełnia podziemna walka z molochem Kompanii — bohater, dawniej wierny sługa Kompanii, gdy dzięki wyjaśnieniom, jakich udziela mu ukochana, spadają mu łuski z oczu, przyłącza się do ruchu oporu i w końcu udaje się obrzydlęgo, korporacyjnego Tyrana obalić.

Frederick Pohl i C. M. Kornbluth napisali *The Space Merchants*, powieść, w której Stany Przyszłości wyglądają tak: Kongres składa się z senatorów delegowanych przez wielkie Korporacje, olbrzymie agencje reklamowe toczą z sobą walkę nawet przy użyciu gazów i bomb, nie mówiąc o skrytobójczych zamachach, opinię publiczną zaś kształtuje potwornie rozbudowany aparat reklamy, który potrafi przymusić społeczeństwo nawet do podejmowania akcji w oczywisty sposób dla ludzi najniekorzystniejszych, ba — wysoce szkodliwych. Intryga przedstawia losy niejakiego M, Courtenaya, który był jednym z wybitnych twórców reklamowej kampanii i reklamowego sloganu, aż, gdy nakazano mu „sprzedać” społeczeństwu ideę kolonizacji nie nadającej się do życia Wenus, począł się reklamowej mafii przeciwstawiać — z takim skutkiem, że, wplątany w zbrodnię, o którą fałszywie go oskarżono, pozbawiony przytomności, nazwiska, miejsca pracy, zesłany do roboczych kolonii na Ziemi Ognistej, omal nie zginął.

Podobny temat powtarza się w powieści *The Syndic* Kornblutha: i tutaj mamy przed sobą Amerykę XXI wieku, wrzącą od chaotycznych zmagania, obywatele opłacają nie podatki, lecz „opiekę” (jest to koncepcja „upaństwowienia”

przemysłu masowych szantaży *Racket*, uprawianego przez gangsterów), znowu widzimy zwalczające się mocarstwa przemysłowe — temat nowotworowego rozrostu wielkich ekonomicznych potęg, karteli, monopoli powtarza się w S–F, występując w przeróżnych

wariantach — Kompanie są tak potężne, że następuje czasem zlanie ich z aparatem państwowym, to znowu znajdują się w opozycji wobec słabnącej centralnej władzy, reklama usamodzielnia się, staje się siłą groźną, celem samym w sobie, a nie środkiem do jego osiągnięcia; stosuje metody hipnotyczne, ba, zmienia — dla większej chwały jakiegoś mydełka — obraz niebieskiego sklepienia (jak w groteskowym opowiadaniu Browna, w którym pewien fabrykant specjalnym urządzeniem zmienił układ gwiazd na niebie, aby się ułożyły w nazwę jego produktu). Tak karykaturalne wizje są strawne właśnie tylko pod postacią groteski: gdy mają pretensje realistyczne, prawie wszystkie wpadają w poślizg ku *space opera* — z nieodzownymi porwaniami, pięknymi, fałszywymi kobietami, szpiegowaniem, mikrofonami w butonierkach itp.

Inna, nie tak już „z życia wzięta” grupa obrazuje społeczeństwa, rządzone przez mózgi elektroniczne. Mózg taki przedstawiany jest jako potworny Moloch, który decyduje o biegu społecznego życia na podstawie statystycznej analizy danych ekonomiki, psychometrii, bądź, jak w *Franchise* Asimowa, w oparciu o odpowiedzi jednego tylko, „wzorcowo przeciętnego” obywatela. W *Appointment in Tomorrow* okazuje się, że dane elektromózgu fałszują jego „opiekunowie techniczni” — koncepcja o tyle realna, że o rzeczywistym obliczu systemu społecznego decyduje całość jego sprzężeń zwrotnych, a nie „głowa państwa”, która może być człowiekiem albo maszyną myślącą, zarówno w jakiejś formie „demoliberalnej”, jak i w skrajnej tyranii (przytoczone opowiadanie napisał F. Leiber).

Inni autorzy powiększyli więc władzę elektronicznego dyktatora — u Rogera Dee w *Wailing Wall* hipnotyzuje on poddanych, w *The End of the Line* J. A. Schmitza na każdej, badającej Kosmos rakiecie znajduje się Dominator — mechaniczny przedstawiciel Centralnego Rządu, machina psychologiczna, panująca nad ludźmi dzięki skomplikowanym zabiegom hipnozy i sugestii, jakim poddano mózgi wszystkich obywateli w ich najwcześniejszej młodości.

(Tematem ostatniej noweli jest walka „silnej indywidualności” z takim Dominatorem.)

Osobną grupę stanowią Tyranie o władzy sprawowanej przez człowieka. Najczęściej wraca motyw zastosowania metod statystycznych, cybernetycznych, do osiągnięcia bezwzględnej władzy nad ludzkością (*The Serrant Problem* W. Tenna, gdzie dyktator zwie się „Sługą Wszystkich”). Czasem opowiadacz jest ostatnim żyjącym, który potrafi jeszcze oczami dwudziestowiecznego, nie poddanego indoktrynacji człowieka patrzeć na przerażający obraz bezwzględnie statycznego, znormalizowanego społeczeństwa. W *The Academy* Sheckleya centrum uwagi autora stanowią środki, jakimi takie społeczeństwo pozbywa się osobników,

mogących potencjalnie zagrozić jego strukturze (bądź zabiegami chirurgicznymi, dokonywanymi na mózgu, bądź zamknięciem w „Akademii”, gdzie resztę życia spędza się pod narkozą). W *Common Denominator* J. D. Mac Donalda przedstawiciel obcej planetarnej rasy ukazuje człowiekowi środki, jakimi jego społeczność zabezpieczyła się przed wszelkimi nadużyciami władzy — pod skórą czaszki każdy obywatel ma wszczepioną kapsułkę śmiertelnej trucizny i wystarczy, aby ją w specjalny sposób ucisnął, a zginie natychmiast — co też czynią wszyscy „niezrównoważeni psychicznie”, a tym samym rasa „oczyszcza się” od takich szkodliwych społecznie jednostek. (Rzekomo bardzo od siebie różne i obejmujące szeroką gamę możliwości — wszystkie „konstrukcje socjologiczne” f Amerykanów wydają się raczej monotonne i dosyć ubogie. Widzimy epigonów Orwella, „mechanizatorów” i „matematycznych usprawniaczy” jego koncepcji, ale też nic więcej. „Rzecz w tym, że dla Amerykanów tego rodzaju tematy stanowią abstrakcję, w dodatku wtórną, albowiem wyjściowym materiałem podobnych utworów są bądź paszkwile orwellowskiego typu (także pewien rodzaj pamiętnikarstwa rozmaitych renegatów komunizmu), bądź też ogólnikowe hipotezy oparte na pospiesznie popularyzowanych danych, zaczerpniętych z prac cybernetycznych. Konstrukcje Amerykanów są papierowe, ich Tyranie stanowią naiwne spiętrzenia „elektronowej grozy psychologiczno–policyjnej”, nadto zaś podstawowe problemy ustrojowe, w rodzaju kwestii własności prywatnej, okrywa w nich starannie milczenie — ze zrozumiałych względów cenzuralnych. Dlatego właśnie Kosmos Amerykanów zdobywają dla ludzkości Korporacje, Kompanie i podobne przemysłowo–finansowe potęgi, mimo zastrzeżeń wobec tych kolektywnych molochów, jakie wypowiedane są w innych (przytoczonych wyżej) utworach. Chaotyczne sceny walk w obrębie kapitalistycznej, wolnej konkurencji albo paralitycznie zeszywniałe w uścisku tyranii społeczeństwa — to właściwie jedyne alternatywy *science fiction*. Żaden z utworów, które czytałem, nie zająknął się nawet o jakiejś, choćby najodleglejszej od znanych dzisiaj, formie socjalizmu, uspołecznienia sił, środków produkcji itp. Wydaje mi się, że sytuacja ta odzwierciedla stan amerykańskiej socjologii naukowej, która w całości zrezygnowała z ujęć teoretycznych, otwierających perspektywę jakiegokolwiek społecznego rozwoju. Gdy „bio–fizyko–inżynierijni” *science–fictioneers* czerpać mogą obficie ze skarbcza gwałtownie narastających odkryć naukowych, twórcy „społeczeństw przyszłości” skazani są właściwie tylko na własną wyobraźnię, ograniczaną zasadniczym „tabu”, jakim są nienaruszalne granice kapitalistycznego społeczeństwa. Cytowany wyżej Olaf Stapledon ze swoją, w *The First and Last Man* ukazaną, miliardy lat obejmującą wizję losu człowieka,

pozostał całkowicie osamotniony w tej próbie odważnego spojrzenia w czekającą ludzkość otchłań czasu. Wyrazistym przykładem, demonstrującym, do czego prowadzi petryfikacja uświęconych pojęć, jest powieść Jamesa Blisha *Earthman, Come Home* — w czasowej skali umieszczona daleko poza granicą stapledonowskiego proroctwa. Mamy tam, jako obszar działalności człowieka, całą Galaktykę, przesywaną przez latające miasta, przyszłe jednostki socjo-gospodarcze. Te koczujące dzięki „nadświeltnemu” napędowi olbrzymy, które zachowały, *nota bene*, zasadniczą strukturę współczesnego miasta, z jego ulicami, placami itd. — dzielą się na miasta „uczciwe” i „pirackie”. Treścią książki jest los jednego „uczciwego” miasta i jego astronautycznych przywódców, kiedy dochodzi do kryzysu, wywołanego przez załamanie „galaktycznej jednostki monetarnej”, opartej o walor pierwiastka germanium. W obliczu tej katastrofy na „giełdzie galaktycznej”, która obraca roje krążących w Kosmosie miast w nędzarzy, rozpoczyna się gwałtowna walka o zawładnięcie ekstrahowanymi z pewnych rzadkich „ziół planetarnych” substancjami „anty-agatycznymi”, umożliwiającymi dowolne przedłużenie osobniczego życia. Substancje te zajmują miejsce starego, germaniowego standardu monetarnego. Z racji niejasnych przekroczeń i zaległości finansowych (podatkowych...?) opisywane miasto na Ziemię powrócić nie może i po długich perypetiach osiada wreszcie na planecie któregoś ze słońc Obłoku Magellana, dokąd — na razie przynajmniej — wojenne statki kosmiczne ziemskiej policji nie sięgają. W książce Blisha mamy nawet obraz „kosmicznego przetargu”, gdy finansisci obcej planety usiłują rozłamać jednolity front zbankrutowanych (chciałoby się powiedzieć — bezrobotnych) miast, zmuszając głodem miasto najsłabsze do przyjęcia oferowanych w owym przetargu warunków pracy (jako że ludzkie miasta stanowią zbiorowości specjalistów inżynierskich, sprzedających swą pracę na obszarze Drogi Mlecznej). Ta elefantiaza gospodarczego chaosu kapitalistycznego, który ogarnął w powieści cały nieomal Kosmos, stoi w jaskrawej sprzeczności z mnóstwem oryginalnych i ciekawych pomysłów technologicznych, świadczących dobrze o inwencji autora. Godne to zastanowienia i uwagi. *Science fiction* stała się, dzięki swej masowości, towarem, i jest traktowana przez wydawców — a w konsekwencji i autorów — jako towar. Dlatego, będąc „odważna” w pewnych kierunkach, w innych musi wykazywać skrajny konserwatyzm — w przeciwnym razie stałaby się — jeśli nie niecenzuralna, to „niechodliwa”. Wiemy przecież, jaki ładunek irracjonalnego niepokoju wobec wszelkiej myśli, podejrzanej o komunizm, wytworzyć zdołała w latach zimnej wojny amerykańska propaganda w głowach szerokich rzesz swych obywateli. Sądzę, że o horyzontach myślowych

„przyszłościowego fantastyka” rodem z USA może niejedno powiedzieć chronologiczna tablica, jaką Robert Heinlein (cytowaliśmy jego *The Puppet Masters*) umieszcza we wstępie do dwu swoich książek — *The Green Hills of Earth* i *Revolt in 2000*. Oto owa przepowiednia:

„Czasy dzisiejsze — do roku 1970. Szalone lata. Duży postęp techniczny z jednoczesną deterioracją moralności, obyczajów, kierunku rozwojowego i społecznych instytucji, kończący się masowymi psychozami lat sześćdziesiątych. Po Interregnum — w roku 1966 Wielki Strajk. W latach siedemdziesiątych — Fałszywy Świt. 1978 — pierwsza rakieta na Księżycu. Około 1990 — budowa *Luna City*, miasta na Księżycu. Uchwalenie Prawa Kosmicznego, powstanie Księżycowej Korporacji Harrimana. Okres rekonstrukcji, nowe idee ekonomiczno-finansowe, nawrót do ekonomii dziewiętnastowiecznej”.

„Lata 1970–2020: Okres imperialistycznej eksploatacji planet, kolonizacja ich, rewolucja w Małej Ameryce, zjednoczenie Ameryki i Australo-Azji. Trzy przewroty — na Antarktydzie, w USA i na Wenus zamykają krótki okres międzyplanetarnego imperializmu. Astronautyka ustaje do roku 2072.

Po przewrotach — powstanie nowego fanatyzmu religijnego (Nowy Pochód Krzyżowy). Rebelia i ogłoszenie niezawisłości kolonistów na Wenus, w USA dyktatura religijna. Znikome badania, mały postęp techniczny, skrajny purytyzm. Jedynie pewne wycinki psychometrii i psychodynamiki oraz psychologii mas (kontrola społeczna) opracowane przez kastę kapłańską. Po roku 2075 obalenie dyktatury. Pierwsza Cywilizacja Człowieka. Odnowa swobód obywatelskich, renesans badań naukowych, podjęcie astronautyki, odnalezienie *Luna City*, rozwój nauk społecznych” — itd.

Jak widać, wielce naiwnym prorokiem historii jest Heinlein; „nawroty do ekonomiki XIX wieku” czy „powstanie Korporacji Księżycowej Harrimana” świadczą o istnieniu w jego imaginacji świata, który nic wspólnego nie ma z rzeczywistością. Jest on zresztą niezłym nowelistą w tradycji verne'owskiej i opowiadania pierwszego tomu (składające się na cykl, którego lokalizacja chronologiczna jest z pedanterią naniesiona na zacytowaną „tablicę dziejów przyszłych”) o życiu w *Luna City*, o przygodach chłopca, który podczas wycieczki zabłądził na Księżycu — są wcale zręczne. Gorzej, gdy Heinlein sięga po laury romantyzmu: w opowiadaniu o genialnym, ślepym poecie Rhyslingu, piewcy astronautyki, miał pisarz nieszczęście przytoczyć fragmenty poematów swego bohatera — ze skutkiem raczej żalonym. Drugi tom cyklu jest dużo słabszy od pierwszego — opisuje podziemne knowania przeciw dyktaturze religijnego tyrana.

Sceny z życia kasty kapłanów w USA roku 2000 przypominały mi fatalnie pewne strony książki naszego rodaka, Antoniego Marczyńskiego, „W podziemiach Kartaginy”, tyle że w Kartaginie nie używano do wywołania masowej hysterii religijnej — telewizorów.

Gdy tak wyglądają perypetie historycznego rozwoju na Ziemi w książkach pisarza wysoko cenionego przez krytykę, ręka odmawia posłuszeństwa, by ukazać otchłanie bania-luków, wypisywanych na temat rozumnych istot z innych planet. Powstało tu kilka stereotypów. Pierwszy: Stany Zjednoczone są delegowanym przez Ziemię misjonarzem Kultury, niosącym jej światło niższym rasom galaktycznym. Drugi: sceny wojen, toczonych *przez* Imperia Galaktyczne, w których Ziemia włączona jest do kosmicznej federacji (najczęściej jest to *space opera*). Trzeci: motyw „pierwszego kontaktu” Ziemian z „Innymi”, w wersjach — dramatycznej, makabrycznej (najczęstszy) i najstrawniejszej — groteskowej. Nie znam ani jednej „biokonstrukcji”, ani jednego obrazu planetarnej społeczności, który byłby jako tako przekonywający. Z odmetu tysięcznych prób obronną ręką wyszła tylko groteska, wersje realistyczne natomiast kontaktów z innymi istotami są wielką zbiornicą wszelakiej tandety, mątwowatych wielonogów, obdarzonych telepatycznymi zdolnościami wirusów, naturalnie wirusów rozumnych, humanoidów uskrzydłych bądź pletwiastych, krabów–intelektualistów, przemysłnych szkarłupni i tym podobnych układanek, których natchnieniem jest mały atlas Brehma. Właśnie w sferach „istot nieziemskich” uwili sobie gniazdo twórcy nieodpowiedzialnego, pseudobiologicznego bełkotu, wymyślacze skomplikowanych „cykliów rozwojowych”, jak ten z jajami, twórcy grzybków panujących nad lodowatym otoczeniem księżyców uranowych — dzięki wykorzystywaniu „na odwrót” drugiej zasady termodynamiki. Prymitywizm wyobraźni walczy tu o lepsze z nieumiejętnością rysowania postaci ludzkich bohaterów, ukazując dowodnie, że marny pisarz nie znajdzie dla siebie miejsca nawet w najodleglejszym zakątku Galaktyki.

Nieco lepiej mają się rzeczy w „grupie inwazyjnej”. Najcenniejsza okazuje się i tu groteska. W *It could happen to you!* Damona Knighta inwazja następuje nagle — na Ziemię przybywa rasa niewielkich rozumnych stworzeń (*kreeth*), podobnych do żab — ale żaden człowiek nie dostrzega tego, że wśród przechodniów pojawiają się na ulicach owe *kreethy*, albowiem za sprawą ich niepojętej ingerencji we wszystkie dziedziny życia, w ludzkie mózgi, w książki, encyklopedie, w kroniki historyczne — obywatele Ziemi sądzą, że owe istotki żyły z nimi zawsze; odpowiednim korekturom podległa (momentalnie, w chwili inwazji) cała ludzka wiedza. Jeden tylko człowiek, bohater opowiadania, z nie wyjaśnionych przyczyn oparł się

powszechnej sugestii — i dlatego kończy w szpitalu dla obłąkanych. W *The Waveries* Fredericka Browna najeźdźcami są — fale radiowe, które okazują się żywymi, choć niematerialnymi istotami; opanowują Ziemię, nie czyniąc jej mieszkańcom szkody, ale udaremniając audycje radiowe. Następuje zmierzch elektryczności, którą *Waveries* się żywią — i powrót epoki pary. O *Puppet Masters* Heinleina już wspominałem.

Oto znów kilka wariantów „pokojowego współżycia” ludzi i innych istot rozumnych.

Richard Matheson: *Lover when you're near me*. Dlaczego wszyscy zakontraktowani na rok urzędnicy Kosmicznej Kompanii Wentnera po kilku miesiącach uciekają ze „Stacji Czwartej Planety” w stanie załamania psychicznego? Ponieważ samice (kobiety) humanoidalnej, poczwarnej rasy mieszkańców tej planety atakują ich telepatycznie w czasie snu, w każdej wolnej chwili, narzucając im się ze swą przeciwną naturze miłością.

Ten sam autor: *Shipshape Home*. Młode małżeństwo wynajmuje nad wyraz tanie mieszkanie w nowym bloku domów. Okazuje się, że dzieją się tam dziwne rzeczy. Dozorca domu ma dodatkowe oko na potylicy. Naraz nie można wyjść z mieszkania. Cały blok domów startuje w niebo. To mieszkańcy jakiejś innej planety wynajęli ludziom mieszkania w pocisku, imitującym domy, aby „zacerpnąć” z ludzkości jej próbkę i dla nieznanych bliżej celów uwieźć ją na inną gwiazdę. (Nie jest to już współżycie tak zupełnie pokojowe, jak w opowiadaniu poprzednim.)

Evelyn E. Smith: *Tea tray in the Sky*. Młody Michael, pragnąc poświęcić się ziemskiemu życiu, opuściwszy „Bractwo” (jakiś rodzaj zakonu), podróżuje rakieta po Kosmosie i z przerażeniem stwierdza, że pokojowe współistnienie istot nad wszelki wyraz różniących się od siebie w ramach Galaktycznej Federacji jest czymś nie do zniesienia. Szerokich swobód, panujących w Federacji, nikomu nie wolno gwałcić. Tak więc Michael musi się cierpliwie poddawać w rakiecie trójwymiarowym i barwnym audycjom reklamowym, ponieważ wyłączenie telewizora sprzeczne jest z zasadą *free enterprise*. Najgroźniejsze są atoli przestępstwa z zakresu „nietolerancji” planetarnych obyczajów. Ponieważ na planecie Theemim jedzenie w miejscach publicznych obraża moralność, nie wolno więc tak jeść w obrębie całej Federacji. Wymienienie w rozmowie słowa „historia” jest zakazane, ponieważ Meropiańczycy przeszli z barbarzyństwa do cywilizacji w jednym pokoleniu i nie mają historii. Po szeregu podobnych doświadczeń młody Michael wraca z ulgą do klauzury.

W poszukiwaniu wątków inwazyjnych przekartkowałem dwa roczniki *Galaxy* — i nie

znalazłem ani jednego opowiadania, co mnie zaskoczyło. Temat ten zdaje się więc wygasać; kiedyś należał do najchętniej eksploatowanych (nawiasem mówiąc, nie znam, poza klasyczną „Walką Światów”, ujęcia, dorównującego pomysłowi Stapledona z *The First and Last Man*: Marsjanie, stanowiący rodzaj „agregatu biologicznego”, który mógł to rozpaść się na osobniki, to w razie potrzeby scalać w jeden jak gdyby, wielki organizm o konsystencji żelatynowatej chmury, walczyli z Ziemią przez dziesiątki lat — a ludzie nie podejrzewali nawet, iż mają do czynienia z istotami żywymi czy rozumnymi; brali owe duszące obłoki, jedyne świadectwo inwazji, za „martwe” zjawiska natury!

W zamian pojawiają się ujęcia „cząstkowe”, a więc, na przykład, kontakty „indywidualne” (człowiek — inna istota), ulubionym motywem jest oczywiście lądowanie „talerza”, także karykaturowane przez groteskę.

Specyficznym i wyłącznie na terenie Stanów możliwym zjawiskiem jest stopniowe, powtarzające się coraz częściej, wprowadzenie elementu autoironii do tematyki S–F. Bohaterem przygód niejednokrotnie bywa sam pisarz, twórca latających spodków i uzdolnionych telepatycznie owadów, czasem zjawiają się u niego „istoty z innego wymiaru”, aby przekonać go, że nie był prorokiem „klasy pojęć pustych”, czasem jego wyjałowiona wyobraźnia znajduje podporę w elektromózgu, bądź kosmicznym przybyszu (ten motyw spotkałem aż cztery razy — typowe *wishful thinking!*). Także najbardziej ograne warianty S–F ulegają wydrwieniu — w antologii „perle S–F” z 57 roku mamy na czternaście opowiadań aż dwie kpiny z gatunku!

Sądzę, że zabawna mogłaby być encyklopedia zebranych i usystematyzowanych odpowiednio, wszystkich dotychczasowych pomysłów w obrębie *science fiction*. Trzeba powiedzieć, że mało jest dziedzin, w których umysł ludzki wykazał się tak benedyktyńską pracowitością. Małżeństwo Einsteina z Szecherezadą doprowadziło do powstania płodów najnieprawdopodobniejszych (nie większy od pigułki aparat dla „hyperspecjalnej łączności” z ojczystą planetą znajduje się pewnego dnia w żołądku jakiegoś włóczęgi, gdyż potrawą, w której się znajdował, poczęstowali go przebrani za ludzi „kosmiczni goście”; za czym opiekują się oni owym „nosicielem aparatu” — w oczekiwaniu inwazji, nastąpić mającej poprzez żołądek nieszczęśnika!). Być może, Amerykanie sami stworzą taki „katalog wszechmożliwości”, taką „Encyklopedię Wynalazków Pomyślanych” — usystematyzowanie zwałów materiału będzie w każdym razie wymagało jakiegoś nowego Linneusza!

Przejrzawszy wszystko, co dotąd napisałem, stwierdziłem z niezadowoleniem, że bardzo tylko szkicowo przedstawiłem stan istniejący w *science fiction* — nie poruszywszy przy tym kilku podstawowych, jak sądzę, zagadnień. Byłyby to, po pierwsze, miejsce S–F w obrębie literatury, po wtóre — przyczyny, które wywołały powstanie jej właśnie w Stanach Zjednoczonych, po trzecie wreszcie — dalsze perspektywy jej rozwoju.

Science fiction nie bardzo mieści się w tradycyjnie pojmowanej literaturze. Stanowi zarazem coś mniejszego i większego niż zwykle zjawisko literackie. Jest namiastką mitu czy po prostu mitem dwudziestowiecznej kultury amerykańskiej i dlatego nie można jej traktować w kategoriach wyłącznie literackich. To pokazałem chyba dowodnie na wielu przykładach. Ale i w kategoriach legendy nowożytnej, syntetycznego mitu czy baśni gatunek ten nie całkowicie się mieści. Literatura tradycyjna, wyrosła z określonych warunków historycznych, traktowała los ludzki jako kategorię w zasadzie niezmienną — a cywilizacyjno–technologiczną działalność człowieka uznawała milcząco za system kostiumów, masek, form, w które każdorazowo wcielają się konflikty i namiętności ludzkie, przemianom ulegał zatem jedynie wyraz losu, jego ukonkretnienie, świat natomiast, dostępny człowiekowi, bohaterowi powieści, pozostawał statyczny — jako wróg lub obojętny świadek jego zmagania. Oczywiście dostrzegała literatura przekształcenia historyczne, zmierzch jednych, powstawanie nowych formacji, przemiany jednak, jakim dotąd asystowała, rozłożone były w czasie, a przy tym — i to dla naszych rozważań bodaj najważniejsze — ostateczne kategorie bytu — materia, czas, przestrzeń — pozostawały poza kierunkami jej najintensywniejszych dociekań. Pewne nowożytne zjawiska literackie wskazują, że się ten stan rzeczy odmienia. Trudno mi wdawać się tu w analizę eksperymentów literackich spod znaku „antypowieści” — ale jakże nie zauważyć, że one właśnie podejmują próby nowego spojrzenia na tajemnicę czasu, na świat martwych przedmiotów materialnych; osiągnięcia na tym polu są, z ontologicznego punktu widzenia, nikłe, ale sam fakt owych usiłowań wyjścia na nie zbadaną, wolną przestrzeń operacyjną, poza tereny zryte już przez tysiące piór, pozostaje niezbity.

Ośmielę się twierdzić, że tu właśnie leży strefa styku *science fiction* i tak zwanej „prawdziwej” literatury. Różnice są oczywiście zasadnicze. „Antypowieść” (używam tego terminu umownie) zaczyna od zburzenia tradycyjnego warsztatu pisarskiego i szuka dla swych

treści nowych metod i form wyrazu. *Science Fiction* pozostaje jak najbardziej tradycyjna, nawet konserwatywna formalnie, przejmuje od „starej” literatury gotowy warsztat i nowe są tylko materiały, jakie na nim kładzie. Obie drogi najeżone są niebezpieczeństwami. Antypowieści grozi spekulacyjna jałowość, wywołana odcięciem się ód rezultatów dwudziestowiecznego poznania pozaliterackiego. *Science fiction* — przeciwnie — gotowa jest widzieć klucz do tajemnic bytu, kamień filozoficzny nowo odkryty w każdym wynalazku, w każdej teorii naukowej, potrzęsającej „nowości kwiatem”. Pierwsza gubi się w labiryntach szczegółu obserwacyjnego bądź zamyka się w hermetycznie wykoncypowanej konstrukcji. Druga prostodusznie, naiwnie, nieraz nachalnie nawet dąży do uogólnienia — formuły; zdaje się jej, że kiedy Ziemię rozszerzy do granic Galaktyki, a ludzi obdarzy mocą czynienia dozwolonych termodynamiką cudów, stanie u celu.

Obie chyba błędzą. Ale w błędzeniu tym odciska się stygmat epoki — tego wielkiego przejścia, które jest nie

przejściem nawet, ale skokiem, gwałtownym wtargnięciem w obszar przyszłości. Kumulatywnie gromadzony przez ubiegłe wieki ładunek rozwojowy cywilizacji wybuchł i znajdujemy się właśnie w początkowej fazie tego wybuchu. Nie ma w tych słowach ani cienia przesady. Odległe od siebie i niezależne pozornie, odosobnione odkrycia dały początek procesom lawinowym i masowym, stwarzając świat, który będzie trzeba przyjmować, bezustannie rozstrzygając problemy wagi globalnej, takie, że dawniej nawet ich drobnej cząstki nie zaznawały całe pokolenia. Nastąpiło zatem — już na wstępie Nowej Ery — scałkowanie świata, rozpełtały się rewolucje przemysłowe, druga — atomistyki, trzecia — cybernetyki, i jakby tego było nie dość, nauka wewnątrz swych laboratoriów przygotowuje dalsze odkrycia, które — tak możemy sądzić — wstrząsną fundamentalnymi naszymi wyobrażeniami o istocie czasu, przestrzeni, świadomości ludzkiej, starzenia się, śmierci — a w tym świecie walących się, anachronicznych i kiełkujących, nowych wartości literatura musi odnaleźć swoje miejsce, niewiadome jeszcze i nikomu nie znane. Nic dziwnego więc, że pierwsze usiłowania cechuje jakże często śmieszność. Inżynierowie, biotechnicy, teoretycy informacji dziwnie wyglądają w roli bardów i Minnesangerów epoki, a wypisywane ich żargonem laboratoryjnym dyskusje o stosunku duszy do ciała, o losie człowieka, o sensie historii zasługują słusznie na miano prostactwa. A jednak uporczywość tych wysiłków ma w sobie coś krzepiącego, na równi ze zdumiewająco masowym zainteresowaniem, jakie wobec S–F przejawia publiczność.

W obliczu pierwszego kroku człowieka w Kosmos będziemy teraz niewątpliwie

świadkami powstawania lawiny utworów bardzo złych, bo przynaglanych pośpiechem, chęcią nadążenia przemianom, być może wartości artystyczne tego pisarstwa nawet się jeszcze obniżą w stosunku do stanu obecnego. A jednak z tych pierwocin, poprzez *Sturm-und Drang-Periode* nowej ery, wykluje się, być może, nowy obraz człowieka i nowy jego horyzont. To, co ktoś nazwał „galaktocentryczną postawą”, jednością ziemskiego losu i odwagą rezygnowania świadomego z wartości niegdyś cennych, które doszły swojego kresu.

Dlatego ośmielę się twierdzić, że gdyby działało dziś kilku czy kilkunastu nawet pisarzy o prawdziwie wielkim talencie, poza nimi zaś nikt by *science fiction* nie uprawiał, przedstawiałaby zjawisko daleko niniejszej wagi aniżeli taka, jak jest naprawdę: zbiorowa własność setek twórców i milionów czytelników, świadectwo trosk, niepokoju i nadziei dzisiejszych czasów — pod gwiazdami, które na nas czekają.

1959

O POWIEŚCI KRYMINALNEJ

1

Pierwociny powieści kryminalnej datują się od dziewięćdziesiątych lat ubiegłego stulecia. Ojcami gatunku byli w Europie Gaboriau, Leroux, Conan Doyle i Leblanc. Już w tym niemowlęcym okresie powstały prototypy bohaterów powieściowych. Conan Doyle stworzył klasyczną postać detektywa-amatora, Sherlocka Holmesa, mistrza dedukcji, zalatującego co nieco fin-de-siècle'ową bohemą, Gaboriau — detektywa-policjanta, Leroux — reportera-detektywa, i Leblanc wreszcie — Arsena Łupina, dżentelmena-włamywacza, dzisiaj mocno już tracącego myszką.

Wpisany w książki kodeks moralny owych bohaterów różni się od siebie dość znacznie. Policjant jest postacią najbardziej szarą. Ten sługa prawa reprezentuje wymiar sprawiedliwości, a jego siłą jest nie tyle rozum, co organizacja, której część sam stanowi. Etyka jego musi być najbardziej konwencjonalna i przylega dokładnie do norm, uznanych przez dziewiętnastowieczne społeczeństwo burżuazyjne za obowiązujące. Pozostałe trzy postacie znamionuje, rozmaicie wydozowany, rys indywidualizmu w ocenie problemów przestępstwa czy zbrodni. Najbardziej „niezawisły” jest w swych ocenach naturalnie włamywacz. Posiada on swoisty kodeks honorowy i jest dalekim potomkiem Villona oraz tych dzikich „brygantów”, którzy z kaprysu bądź zawadiackiej wspaniałomyślności rozdawali wyrwane bogaczom łupy, uszczęśliwiając najuboższych i skrzywdzonych. Przeprowadzane przez taką postać drobne korektury rozdziału dochodu społecznego nie mają w sobie

nic naturalnie z jakiegoś buntu przeciw ładowi państwa — stanowi ona któreś tam z rzędu powtórzenie mitycznego, groźnego dla możnych, a dobrotliwego dla szaraczków rozbójnika z własnym poglądem na świat. Rzecz ciekawa, że Doyle, jak i Leblanc, swoim, tak różnym z pozoru, bo przecież antagonistycznym postaciom detektywa-geniusza i genialnego przestępcy nie poskapili cech „artystowskich” — widać skłonność taka leżeć musiała w aurze czasu. Leblancowski Łupin jest artystą występku, obca mu jest chciwość, działa z kaprysu, fantazji, atakuje problemy trudne, między jednym a drugim kunsztownym włamaniem nie cofa się i przed rozwiązaniem zagadki kryminalnej, wykazując wówczas, że jest w gruncie rzeczy detektywem, tyle że (w sposób wcale szlachetny) wykolejonym. Nie zawsze zresztą czuje się Arsen Łupin

wzniesiony ponad konwenans obowiązujący społeczeństwo policjantów i filistrów, albowiem spotkanie cudnej, niewinnej dziewczyny, która bierze go za dżentelmena bez żadnego przydomku przyprawia go o bolesną rozterkę duchową; jest więc ten francuski watażka postacią doskonale sentymentalna i kryjąc pod powierzchownością cynika, indywidualisty i zuchwalca gorące, skore do skruchy serce, doskonale mieści się w kulturowym tle lat dziewięćdziesiątych.

Nieco inny, może bardziej niekonwencjonalny, jest Sherlock Holmes. Pierwowzorem jego był Dupin Poego; Doyle uczynił swego detektywa naturą nerwową, kapryśną (narkomania, gra na skrzypcach, okresy depresji), jaskrawym zjawiskiem na tle przyciężko, monotonnie funkcjonującego aparatu policyjnego, który Holmesa nie umie ani użyć trafnie, ani właściwie ocenić. Metoda dedukcji holmesowskiej nieraz, i to nieźle, została w rozlicznych pastiszach i persyflażach wyśmiana, bo też na materiale przypadków, opisanych w nowelach, ukazuje się jako proceder w najwyższym stopniu zawodny — w rzeczywistości zresztą z dedukcją typ holmesowskiego rozumowania nic nie ma wspólnego, cały będąc właśnie indukcją, wnioskowaniem o całości z części najdrobniejszych (więc, na przykład, z kilku zarysowań koperty złotego zegarka, ze strzępka materiału, z wyglądu starego kapelusza wywodzi Holmes portret właściciela owych rzeczy, narysowany w przestrzeni i w czasie — portret, który, ze względu na rzeczywistą wieloznaczność owych drobnych szczegółów, mógłby — gdyby nie ręka pisarza — okazać się zupełnie błędny).

Detektyw-reporter Gastona Leroux jest już postacią w znacznej mierze wtórną. Wspominam go, bo w osobie Rouletabilla wprowadził Leroux na powieściowe karty przedstawiciela potęgi społecznej — prasy, dziennikarza, który tropi zbrodnie, aby powstał z tego duży artykuł, a może nawet nadzwyczajne wydanie.

2

Prywatny detektyw ze swoim przyjacielem, roztropnie głupawym, skłonny do zachwyków Watsonem, w miarę bezwzględny dżentelmen-włamywacz i wścibski, przedsiębiorczy reporter — trzech rycerze burżuazyjnego społeczeństwa — zostali w ten sposób powołani do życia, aby działać w jego powieści kryminalnej.

Klasyczny kryminał jest zagadką, której ostatnie strony odpowiadają na pytania: kto popełnił występki, w jaki sposób i dlaczego. Autor — tego wymaga konwencja — zobowiązany

jest wyjawić czytelnikowi sprawcę, jego motywy oraz technikę działania.

Uzyskanie w tej mierze harmonii należało zawsze do celów trudno osiągalnych. Z reguły zawodzi jeden z trzech członów konstrukcyjnych: już to osoba sprawcy jest nieprawdopodobna, już to jego motywy „wytłumaczone” na siłę, już to wreszcie technika zbrodni ociera się o cud.

Bardzo szybko — bo już na samym początku popularności „kryminałów” — autorzy zorientowali się w dobrych stronach posiadania własnego, z książki do książki przechodzącego, detektywa. Z reguły amatorzy — rekrutowali się oni z przeróżnych środowisk. Nie brak było wśród nich ani gospodyni domowej (u Mary Rinehart), ani egzotycznych obcokrajowców (Chińczyk Chan Earl der Biggersa), ani tłustych, na zaburzenia hormonalne cierpiących olbrzymów (Nero Wolfe Rexa Stouta), ani nawet księdza (ojciec Brown Chestertona).

Rozmaitość tę spowodowała po prostu zaciepła walka konkurencyjna na powieściowym rynku, inaczej mówiąc — każdy autor w poszukiwaniu własnej złotej żyły uciekał się do bohaterów i powikłań coraz osobliwszych, zatracając na koniec ostatnie związki z rzeczywistością. W ten sposób powstała na przykład rodzina bogatych nierobów, których konikiem jest tropienie zbrodni (Philo Vance Mac Donalda, lord Peter Wimsey Doroty Sayers); cała ta walka konkurencyjna toczyła się jednak w obrębie spetryfikowanego schematu — konstrukcja intrygi u wszystkich autorów pozostawała bez zmiany. Rzecz zaczyna się od ekspozycji. Czytelnik musi się wyuczyć paru nazwisk i elementarnych cech, po których rozpoznaje działające postaci; dla ułatwienia tej „pracy umysłowej” modne jest, zwłaszcza u Amerykanów, podawanie na wstępie powieści spisu występujących osób wraz z jednowierszową charakterystyką. Potem pada trup, pierwszy, bądź — w całej powieści — jedyny; konstrukcja jest zamknięta (dom odcięty od świata, jeden z mieszkańców popełnił morderstwo), bądź otwarta (mordercą jest X, jeden z miliona mieszkańców wielkiej metropolii — wówczas najczęściej obserwujemy serię zbrodniczych czynów); podejrzenie kieruje się na rozmaite osoby, detektyw podejmuje śledztwo, prowadzi przesłuchania, bada poszczególne alibi — szczywany czytelnik wie już dziś doskonale, że sprawcą okaże się osoba najmniej ze wszystkich podejrzana.

Motywy zbrodni są w przytłaczającej większości wypadków pieniądze; ludzie zamożni są — wedle obrazu, malowanego przez powieść kryminalną — otoczeni przez rodzinę, stanowiącą bandę potencjalnych morderców; nie spotkałem bodaj „kryminału”, w którym bogaty testator przeżyłby wiele więcej nad trzydzieści pierwszych stronic. Nie przeprowadzałem statystycznych obliczeń, ale sądzę, że można spokojnie na drugim miejscu ulokować tak zwane

„stare porachunki” — więc zabójcą okazuje się mściciel, który (ale to może dotyczyć i ofiary) prowadzi „podwójne życie”; motyw natomiast namiętności erotycznej jest stosunkowo rzadki — to znaczy używa się go raczej chętnie dla stworzenia fałszywego oskarżenia, jak w ogóle autorzy bardzo lubią igrać z poszlakami, omotując ich nierozzerwalną pozornie siecią osoby w istocie niewinne. Na koniec niezbyt rzadki jest motyw, polegający na braku motywu, innymi słowy — zabójstwo ma za cel „czystą sztukę zbrodni” i osoba zamordowana wybrana została przez „artystę” mniej czy bardziej przypadkowo albo wreszcie — jest to względna nowość — osoba zamordowana stała się ofiarą przez pomyłkę; zgładzony miał zostać ktoś inny, ale morderca — za sprawą skomplikowanych na ogół okoliczności — popełnił błąd w adresie kuli, noża czy trucizny. Nareszcie zdarza się — ale to już jako rzadkość prawdziwa — zabójstwo mimowolne (dziecko zamienia flaszkę z lekarstwem na inną, zawierającą truciznę).

Tyle powieść europejska. Charakterystyczny jest dla niej „detal”, to znaczy — przepraszam za wulgarność terminologii, ale jakoś przedmiot omawiany mnie ku niej sprowadza — jednostki występują przeciw jednostkom, zabija się na własną rękę i we własnym, indywidualnym interesie. Ameryka XX wieku — ze swymi korporacjami, wśród których nie brak naturalnie i nieoficjalnej, ale jakże popularnej w kryminałach *Murder Inc.* — wprowadziła na scenę gangi, ścierające się wzajem za pośrednictwem wyspecjalizowanych wybornie „gunmanów” (ja zabijam twego gangstera, a ty — mego); pojawiają się na powieściowych stronach mafie, skomplikowane, na nieszkodliwe instytucje ucharakteryzowane organizacje przemytu narkotyków, wszelkiego rodzaju specjaliści–racketery, a trup pada wówczas, kiedy ktoś komuś przeszkadza w zbrodniczo–handlowej działalności. Rzecz zrozumiała, że pistolety maszynowe w rękach „gunmanów”, jako też rozległość interesów i wysokość sum, o które toczy się gra, pociągają za sobą prawdziwy „hurt” zbrodni; tym samym — trzeba rzec z pewnym żalem — wysubtelniona przez autorów europejskich, owych indywidualistów niepoprawnych, technika zbrodni, zawiłość i precyzja mordowania ulega poważnemu zaniedbaniu.

A technice tej warto poświęcić kilka słów. W miarę jak zaciekłość konkurencyjnej walki rosła, kryteria życiowego prawdopodobieństwa — nigdy *nota bene* zbyt serio nie przestrzegane — ulegały w rosnącym stopniu zlekceważeniu. Wytrawnego czytelnika niełatwo już zaskoczyć — podetkanie ofierze mamby czy grzechotnika w bombonierce, to już właściwie banał; narzędziem zbrodni okazuje się kij golfowy, z którego, przy uderzeniu w piłkę, wyskoczy i wpije się w brzuch ofiary zatruty bolec (Rex Stout); to znów nagrany na płytę gramofonową głos

służy do stworzenia zbrodniarzowi żelaznego alibi (*The Canary Murder Case* — Mac Donald) — jednym słowem technika, toksykologia, całokształt ludzkiej wiedzy stają na usługach zbrodniarza.

Ale osobliwość aplikacji zabójczego medium już się raczej przeżyła. Współczesny wariant europejski główny nacisk kładzie na organizację, by tak rzec — miejsca pracy. Plan zbrodni, jego *timing* — dokładne rozłożenie w czasie szczegółów — staje się rzeczą najważniejszą. Spotykamy tu szereg ulubionych sytuacji: klasyczną jest „zamknięty na wszystkie spusty pokój”, w którym znajdujemy nieboszczyka; pierwowzorem jest bodajże „Tajemnica Żółtego Pokoju” Gastona Leroux; ten typ powieści załącza usłużnie plany miejsca zbrodni, aby tym przeraźliwiej unaocznić tajemnicę umknięcia sprawcy. Prezentowane w tym dziale okropieństwa roją się od absurdów. U Edgara Wallace’a ofiara zostaje zabita... telefonicznie (połączywszy się z nią, morderca włączył do słuchawki wysokie napięcie; oczywiście sposobem tym można co najwyżej zniszczyć własny telefon). Leroux we wspomnianej już powieści stworzył zbrodniarza–demonia, który (dosłownie) zmieniał twarz w biegu: uciekał w jedną stronę korytarza jako X, a wracał jako niewinny Y, przyprawivszy sobie nowe całkiem oblicze. Dla usprawiedliwienia autora trzeba dodać, że takie przyrządzenie twarzy, które sprawiało, iż żona i dzieci przyjmowały zbrodniarza, ucharakteryzowanego na ich męża i ojca z okrzykami czułości, było, gdy pisał Leroux, monetą obiegową; dzisiaj żaden szanujący się autor chwytów charakterystycznych, poza „kamuflażowymi” (ciemne szkła, kapelusz na oczy, przebranie się kobiety za mężczyznę lub na odwrót) nie stosuje.

Powiada się nieraz, że powieść kryminalna to istny podręcznik zbrodni, a masowa lektura może uczynić każdego niemal że wytrawnym (potencjonalnie) mordercą. Co się tyczy gęstwy mordobić i oparów krwi, jakimi przystrojona jest dzisiaj „czarna seria” amerykańskich kryminałów — chyba i jest w tym coś na *rzeczy*, bo masowe czytelnictwo może przynajmniej otrząsać człowieka z objawami agonii, pośmiertnym stężeniem ciał, etc. — wszelako techniki zabijania od autorów wyuczyć się niepodobna. Czytelnicy nie kwestionują naturalnie rozwiązań, przedstawianych w książkach, bo to sprawa konwencji — ale pod pozorami realizmu działań kryje się z reguły najzupełniej bajkowa niemożliwość. Jakże często zbrodzień, stworzywszy sobie alibi, dajmy na to pod postacią partii brydża, w której bierze udział, mając do dyspozycji tych kilka minut, kiedy jest „stołem”, wspina się po linie na wyższe piętro, morduje ofiarę, zaciera wszystkie ślady, nieraz przebiera jeszcze trupa, aby trudniej było zgadnąć, kto, jak i

dlaczego, myje się, wraca po linie i kończy robota, jak gdyby nigdy nic — lub nawet morderstwo (u pocziwej Agaty Christie) odbywa się właśnie w pokoju, w którym grają w karty, z tym że ofiara zdrzemnęła się na fotelu opodal, a zręczny zbrodniarz między jednym a drugim przebicciem lewy ścichapek przekłuwa jej serce szpilką.

Tej doskonałości działań nic naturalnie w świecie rzeczywistym nie może odpowiadać; brydżyści słabo wspinają się po linach, mordowanie na czas jest bzdurą, a żaden najgłębiej uśpiony człowiek nie zemrze cicho, jak domaga się tego autor, kiedy poczną go nakłuwać publicznie sztyletem; za pozorami jakiegoś tam realizmu (pokój, kominek, zwyczajni ludzie, partia brydża) mamy w istocie przed sobą scenę równie fikcyjną, co rozmowa Jasia i Małgosi z przebranym za babcię wilkiem; jednakże nikomu z czytelników to nie przeszkadza, choćby był nawet kryminologiem albo lekarzem. Podkreślam te nieprawdopodobieństwa, nie żeby się wybrzydzać na Agatę Christie (nudzi mnie czymś innym — babskim, niezmożonym gadulstwem i psychologią z trzeciej ręki), ale by ukazać, w jakiej mierze jest odbiór kryminału zjawiskiem umownym, tak że nieprawdopodobieństwa pewnego typu bynajmniej nie są przyjmowane jako mankamenty wykonania. Trupy, liny, plamy krwi są znakami umownymi, których sprawdzać nie należy, a kto by to robił, ośmieszyłby się w takiej mierze jak dzikus, który z niezadowoleniem opukuje palcem forteczne mury teatralnej dekoracji. Karkołomność metodyki zabijania, to gimnastyczne „raz–dwa–trzy–cztery” zbrodniarza, który, jak dobrze naoliwiona maszyna, wkrada się, uderza, wyciera, przebiera, wychodzi i już znowu prowadzi ożywioną rozmowę towarzyską, jest, chociaż to może wydać się dziwne, bardziej dla mnie cudowne od małych zielonych człowieczków z latającego talerza, ponieważ człowieczków takich można spotkać choćby we własnej halucynacji, natomiast człowiek, który morduje, pozostaje dalej człowiekiem, więc kiedy dla ocalenia kryminalnej szarady gwałci się elementarne prawa psychologii czy fizjologii, znajdujemy się na terenie fikcji tyleż jałowej, co nieszkodliwej. Kto nie wierzy, może spróbować.

Gatunek europejski, bo o nim wciąż mowa, urzekający swym zegarkowo–matematycznym ładem, ma w sobie coś z budowania maleńkich żaglowców we wnętrzu flaszek. Żaden z tych okręcików nie mógłby pływać, ale nie o to przecież chodzi; rzecz w tym, że fakt znalezienia się żaglowca wewnątrz flaszki zdumiewa nas i zachwyca; jeśli nie nas — to nasze dzieci; kryminał — przynajmy się do tego — to zabawka dla dorosłych.

Wszystko to prawda; jedyną niewyraźną i nie wyjaśnioną dotąd sprawą są te postaci powieści kryminalnej, których obecność jest najniezbędniejsza, choć same bynajmniej nie działają; mam oczywiście na myśli trupy. Prawda, że okropieństwa, jakie europejski (podkreślam to!) autor prezentuje czytelnikowi, mają w dużej mierze charakter umowny; jeśli ze zwłokami dzieją się nawet niesłychane rzeczy, jeśli ciało nieszczęsnej ofiary zostaje pośmiertnie wykradzione, ucharakteryzowane, przebrane, bądź pochowane i ekshumowane, jeżeli znikają lub zostają zamienione głowy trupów, to nie przerażamy się nadmiernie, bo wiemy, że nie zamierzony, makabryczny humor tej kadawerystycznej prestidigitatoryki służy przecież tylko niewinnemu zamąceniu umysłu odbiorcy, który jest wszakże wytrawnym smakoszem i pojmuje, że nie chodzi o trupi czad, a tylko o zwyczajny manewr, odwracający uwagę.

Powieść kryminalna bez trupa... czy to możliwe? Nie. Dlaczego? Jest ona pod wieloma względami podobna do powieści produkcyjnej i w końcu tylko krew jest owym szczególnym namaszczeniem, które sprawia, że w odróżnieniu od grzeczniejszej swej odmiany nie cierpi na śmiertelną nudę (choć czasem i krew nie pomaga...). Wbrew pozorom ludzie nie interesują jej inaczej, aniżeli jako elementy pewnej maszyny; jest to „maszyna zbrodni”, z tym, że najpierw przedstawia się nam jej schemat fałszywy.

W pewnym sensie kryminał — zwłaszcza europejski — stanowi jakąś namiastkę myślenia naukowego, logicznego, szeregowania łańcuchów przyczynowo–skutkowych (charakterystyczne jest na przykład, że konwencja wyklucza wprowadzenie na scenę czynników nadnaturalnych — zbrodniarz musi działać środkami jak najbardziej „materialnymi”). Nie ma się jednak co łudzić: umowność — umownością; formalne podobieństwo do „produkcyjniaka”, choć niezaprzeczone, nie wyjaśnia (wprost przeciwnie raczej!) poczytności gatunku; eksperymenty wykazały, że motorem, ożywiającym te mechanizmy, jest i musi być ludzka, przelana krew. Potrzebujemy jej — zgoda, że na niby, że konwencjonalnie — ale jednak. Skąd ta potrzeba szczelnego przemieszania intelektualnej z pozoru, więc oschłej zagadki z mordem? Bo powieść kryminalna, w której śledzi się włamywaczy, niechby i o światowej sławie, niechby i najcięższego kalibru — kasiarzy — zawsze pozostanie bladym cieniem tej prawdziwej, pasjonującej legiony czytelników, której otwarciem właściwym jest Pierwszy Trup.

Czy o to idzie, abyśmy się przelękli? Bo lubimy się lękać — lubimy być straszeni; groza,

umiejętnie stworzona i dawkowana, jest rzeczą doskonałą! Dlaczego? Czy to może najbardziej pospolita i szcążkowa z perwersji, właściwych ludzkiej naturze? Ale co to jest ludzka natura?

Mamy mówić o kryminałach, a znajdujemy się naraz na jakimś trzęsawisku; zabawa z trupami — i wszyscy (czy też prawie wszyscy) to lubią; skurcz lęku, niepewność winy, problem odnalezienia i ukarania sprawcy; dlaczego to nas tak obchodzi — wszystkich?

Śmierć — to ostateczność. Zabójstwo człowieka przez człowieka — to najstraszniejsze, czego można doświadczyć; stąd zaciekłość lektury, współbrzmienie z działalnością tropiciela zbrodni, stąd pożądanie odpłaty, przywrócenia naruszonego w najgłębszym naszym poczuciu porządku naturalnego ludzkich spraw — gdy niewinni znajdują się na wolności, a zbrodnień zadynda, jakże sprawiedliwie... Czy kryminał jest jakąś wulgarną wersją apelu do naszego poczucia moralnego? Produkcyjniakiem zaprawionym eschatologią?

Obawiam się, że nie jest to takie proste. Najpierw autorzy z reguły nic lub prawie nic nie czynią, abyśmy poznali — za życia — ofiarę; bardzo często poznajemy ją dopiero po śmierci; można by powiedzieć, że wywołanie sympatii jest całkiem zbędne, jako że każde morderstwo domaga się społecznej odpłaty — ale dlaczego w takim razie tak łatwo godzimy się na zabójstwa dozwolone prawem czy nawet stojące z nim w jaskrawej sprzeczności, których dopuszcza się, powiedzmy, detektyw, walcząc ze zbrodniczą mafią, i to nie zawsze w obronie koniecznej? Powiedzieć, że kryminał apeluje do jasnych tylko, pożądających równowagi, sprawiedliwości i dobra stron naszej natury — byłoby to, obawiam się, porządnie rzecz zafałszować. Sprawa bowiem w tym, że — z reguły — dostarcza on pozorów: i śmierci, i życia, i wymiaru sprawiedliwości; że jest systemem sztuczek, zonglerką, wywiązaniem się z pewnej milczącej obietnicy; śmierć, która w nim działa, zaostrzyć ma nasze zmysły, wciągnąć nas, poruszyć, zaciekawić, nawet wywołaną momentalnie odrazą; że, jednym słowem, jest to spekulacja na tym, co w nas niezdrowe i pożądające obrazów sprzecznych ze zwykłym porządkiem, przewrotne, na okrucieństwie, na tych wszystkich nie uświadamianych na ogół feblikach i żyłkach, które, rozwinięte w solidne konstrukcje i naszpikowane łacińską nomenklaturą, odnaleźć można w fachowych dziełach psychologicznych i psychiatrycznych. A ten zakazany towar sprzedaje się nam w opakowaniu sprawiedliwości, z etykietkami gwarantującymi, że wraz ze słowem „koniec” wszelkie rachunki tak dokładnie zostaną wyrównane, iż będziemy mogli pozostać całkowicie spokojni, albowiem wszystko będzie uregulowane, wyjaśnione i zamknięte. O tym, w jakiej mierze spekuluje się właśnie na takich naszych stronach, zaświadczy najwyraziściej kryminał —

we współczesnej swojej wersji amerykańskiej.

4

Gdzieś w latach trzydziestych–czterdziestych praktyka powieści kryminalnej przeżyła odwrót od konwencji europejskiej, która zmierzała ku rosnącej doskonałości zbrodni. Tego platońskiego idealizowania, tego „konstruktywizmu w obrębie kryminalistyki, wypranego z ostatnich omal życiowych pozorów, dwójdoskonałości zbrodniarza i detektywa wyzbyła się powieść amerykańska za jednym zamachem, wprowadzając wybitymi na zwyczajne życie drzwiami element podwójnej omyłności: podwójnej, bo w równej mierze obarcza ona detektywa, jak i zbrodniarza.

Doskonałość obu była milcząco przyjmowanym przez Europejczyków aksjomatem. Detektyw, będąc geniuszem, musiał mieć równego sobie przeciwnika. Holmes dedukował; ojciec Brown wczuwał się w swoich zbrodniarzy, niesamowitą sztuką intuicji przekształcając się w każdego z nich; pan Poirot genialnie analizował; jednym słowem — natura detektywa była doskonale logiczna, a zbrodniarza — zupełnie podobna, tyle że opatrzona przeciwnym niejako znakiem.

Pod względem czysto formalnym zabiegi autorów europejskich miały wyraźny charakter działań, opóźniających rozwiązanie. Główną wadą książek, pisanych według tej recepty, jest natarczywa wyrazistość owego przewlekania i odraczania rozwiązań, proponowania komentarzy zaciemniających, a cała biegłość pisarska służyła takiemu kształtowaniu plejady kunktatorskich zabiegów, żeby czytelnik rozciekawiał się, a nie zżymał, i żeby w nim rosło zainteresowanie, a nie nuda; niestety, często bywa właśnie na odwrót.

Nowy typ kryminału począł się w Stanach od złamania obowiązującej w Europie konwencji. Autorzy zrezygnowali, po części przynajmniej, z geniuszów zarówno zbrodni, jak i śledztwa, i wyszło im to na korzyść. Pojedynek prawa ze zbrodnią sprowadzony został w jakiejś mierze z nieba platońskich idei na Ziemię i nacechowany licznymi jej ułomnościami.

Proszę zważyć: Sherlock Holmes wstrzykiwał sobie wprawdzie morfinę, ale zamrozonego Holmesa autor dyskretnie nam nie ukazał; już zaś obitego Holmesa nie potrafimy sobie wyobrazić. Filip Marlowe Raymonda Chandlera przez połowę książki chodzi włany, z głową huczącą od kaca, a zbieranie cięgów jest dlań chlebem powszednim. Nowa konwencja nie

ograniczyła się do rezygnacji z europejskich recept i prawem reakcji przeskoczyła do przeciwnego bieguna; tak powstał kryminał „czarny”. Raymond Chandler jest jego reprezentantem najwybitniejszym i przez to, że umie pisać, nie całkiem typowym. Co dzieje się w powieści „czarnej”? Aby znowu ująć to najkrócej: wszystko tam nadgnięło. W oczach europejskich pojedynków prawa ze zbrodnią toczył się jako proces, izolowany od zdrowego tła społecznego; w czarnej powieści kryminalnej występkiem, zgagą moralną, dwuznacznością trącą wszystkie bez wyjątku postaci, nawet bohater–detektyw. To jedno. Dalej: w konwencji europejskiej pewne osoby nie mogły okazać się zbrodniarzami – dotyczyło to na przykład młodych pięknych kobiet. Zadaniem ich było uwieńczyć na końcu cnotą detektywa, lub, ewentualnie, wiernego jego Watsona. Przywilej ten odebrali im Amerykanie, głosząc, że ładne dziewczęta mogą mordować, a także być mordowane. Po trzecie wreszcie — i kto wie, czy to nie było najdrastyczniejsze — Amerykanie wprowadzili na scenę zbrodni pieniądź jako powszechną i wyłączną motywację działania.

Chciwości materialnej przypisywali, jak wspomniałem, autorzy europejscy rolę pierwszorzędną, ale zachodzi tu istotna różnica. Dla pieniądza działał tylko nieczny zbrodniarz; w powieści amerykańskiej rycerzem dolara okazuje się także detektyw.

Jakoś nie słyszymy o wysokości honorariów, gdy Sherlock Holmes rozwiązuje problemy swoich klientów. *Monsieur Poirot* Agaty Christie też sprawy te wytwornie przemilcza, ojciec Brown od nikogo nie wzięłby i grosza — taka wstydlivość obca jest Filipowi Marlowe Chandlera czy adwokatowi Perry Masonowi Erle Stanley Gardnera. Ledwie wyłuszczy się sprawę, już trzeba bulić, już są targi, a to wydatki na benzynę, a to stawki aa dniówkę, a to dodatkowe koszty angażowania detektywów — przed oczami czytelnika jak najbardziej realistycznie wypisuje się czeki i przelicza banknoty.

Tym samym degradacji ulega świetlana misja tropiciela zbrodni: nie działa on ani z pańskiej fantazji, jak Philo Vance, ani dla zbawienia duszy bliźnich, jak ojciec Brown, ani wreszcie dla czystej sztuki, jak Holmes, ale zwyczajnie, dla chleba. Bardzo to dla miłośnika realizmu pocieszające.

Skoro wspomnieliśmy już obu czołowych pisarzy gatunku — Chandler, zmarły niezbyt dawno mieszkaniec Kalifornii, autor stosunkowo niewielkiej serii książek, stworzył postać detektywa prywatnego, trochę samotnika, będącego bardzo amerykańskim i zupełnie do swego pierwotnego niepodobnym wcieleniem Holmesa. Jest to mężczyzna nie pierwszej młodości,

który dobrze zna „brudy życia”, człowiek bez złudzeń, a jednak pod skorupą cynizmu i brutalności (nie mówiąc o zamiłowaniu do alkoholu; w powieściach Chandlera bohaterowie poruszają się stale pod lekkim „szmerkiem” — podpici, ale tak, aby móc jeszcze prowadzić auto) ukrywa, nieco starokawalerstwem tracące, ideały anachronicznego romantyzmu, prawości, cnoty naturalnie liberalnej, bo nawet przespać się ze śledzoną przez siebie kobietą pozwala Marlowe’owi sumienie, tak że doskonałą czystość wykazuje tylko w sferze finansowej: od tych, z którymi spał, pieniędzy nie bierze. Złośliwostki moje o tyle są może nie na miejscu, że Chandler, jak się rzekło, umie pisać; szczególnie dobra jest w jego książkach „gęsta” atmosfera środowiskowa i owa, wspomniana już przy ogólnej charakterystyce nowego gatunku, immanentna zgnilizna, przepajająca wszystko w świecie bogatych Amerykanów, którzy wzywają na swe usługi prywatnego detektywa. Pokazuje więc Chandler drugie, ponure oblicze Hollywoodu, w ogóle najlepiej czuje się w Kalifornii, którą znał doskonale, gdyż spędził w niej kawał życia; detektyw jego działa w środowiskach wiecznych rozwodników i rozwódek, zblazowanych mężczyzn i promieniujących seksem kobiet, zmieniających partnerów w ospałym promiskuityzmie; jednym słowem, książki jego oddychają jakąś Ameryką, poruszają się w nich ludzie podobni do prawdziwych, a nie same tylko umowne schematy i cienie. Poznajemy to po tym, że przedwczesne ujęcie w rękę klucza kryminalnej zagadki nie czyni całkowicie zbędną lekturę całości.

Inaczej przedstawiają się podstawowe rysy jednego z najbardziej płodnych, choć nie całkiem typowego, bo z „czarną serią” luźno tylko związanego, Erle Stanley Gardnera. W osobie Perry Masona, adwokata–detektywa, stworzył on bohatera nie kończącej się galerii powieści, powtarzających wiecznie jedną i tę samą sytuację. Mason ucieka się nieraz do kolidujących z prawem sztuczek, byle wygrać sprawę klienta (naturalnie niewinnego); Chandler ani Gardner — w tym tkwi podobieństwo — nigdy nie bronią złej sprawy, lecz są rycerzami „prawdziwej” sprawiedliwości, tej, której niepodobna spisać, bo kodeksy nie są dostatecznie „życiowe”. Naturalnie już tylko autorska ingerencja sprawia, że ich, zawsze poszlakami obciążeni, klienci nie okazują się na końcu sprawcami zbrodni.

Bohater Chandlera przez to jest ciekawy, że, działając zawsze w pojedynkę, tkwi w środowisku do cna skorumpowanej policji, stojącej na usługach lokalnych „bossów” politycznych czy nawet zwykłych gangsterów. Pije sam w domu lub w pustym biurze, ale uczęszcza też (zawodowo) do wytwornych lokali, będących jaskiniami gry bądź parawanami

luksusowej rozpusty kalifornijskich bogaczy, zdobywających majątek ciemnymi machinacjami, choćby przemyceniem i handlem narkotykami. W świecie tym co drugi policjant jest szują na usługach brudnego dolara i właśnie od owych przedstawicieli prawa zbiera Marlowe solidne nieraz ciągi. Ci skorumpowani bądź na pół skorumpowani policjanci pod koniec — wobec okazanych im przez uczciwego detektywa niezbitych dowodów — aresztują właściwego sprawcę zbrodni, tak zatem sprawiedliwości staje się w tym nadgniłym świecie zadość tylko, by tak rzec, chwilowo i lokalnie: Chandler nie należy do tych autorów amerykańskich, którzy nakazują swemu detektywistycznemu supermanowi uporać się z całą, ukazaną w książce, stajnią Augiasza. U Chandlera morderca idzie na krzesło elektryczne, ale przekupni policjanci, także i ci, którzy po kryjomu masakrowali Filipa Marlowe, pozostają na stanowiskach. To bardzo realistycznie, nieprawdaz?

Prywatny, za dolary pracujący dniówkowy detektyw — to postać w amerykańskiej powieści kryminalnej najpopularniejsza. Jest nim Peter Chambers Kane'a, szalenie silny i przystojny facet, na którego lecą najwytworniejsze klientki, przy czym autor, daleki od wiktoriańskiego pu-rytanizmu, pod którego auspicjami narodził się Sherlock Holmes, bynajmniej bohaterowi swemu zmysłowych uciech nie wzbrania; jest nim Mikę Shayne Bretta Hallidaya, który to autor konsekwentnie (we wstępach do książek) traktuje tego wspaniałego detektywa jak postać absolutnie realną, odpowiada nawet czytelnikom na listy, donosząc o najbardziej prywatnych Michaela perypetiach; jest nim Milo March — detektyw M. Chabera — pracujący na usługach wielkich ubezpieczeniowych towarzystw (które rzeczywiście używają często w swych interesach detektywów); wszyscy ci atletycznie zbudowani mężczyźni mają mnóstwo miłosnych (czy łóżkowych raczej) przygód, rozpoczynają dzień (koło dwunastej) od jednej głębszej, noszą „lugery” na szelkach i nie są dobrze widziani przez miejscową policję.

Gardner, ten Kraszewski kryminału amerykańskiego, z wykształcenia adwokat, najlepiej czuje się na Soli sądowej i z precyzją demonstruje pojedynki obrony z oskarżeniem — jego Mason wychodzi z nich zawsze, oczywista, zwycięzcą. Mityczność książek Gardniera występuje wyraźnie, gdy zestawić z sobą ich kilka — okazuje się wtedy, że Perry Mason, adwokat o barach atlety, jak i jego urocza sekretarka Delia Street, są osobami bezwiecznymi niczym bóstwa olimpijskie; podobnie zawieszony jest stosunek obojga: Delia ubóstwia szefa, szef podziwiał Delię, ale Gardner uniemożliwia im pójście do łóżka, być może dlatego, że zmąciłoby mu to klarowność kryminalnych wątków. Innymi słowy, wszystkie razem powieści o Masonie są

właściwie jedną, powtarzaną dowolną ilość razy sytuacją, z nieco inaczej rozpisanyymi dialogami i nowym, za każdym razem równie nieprawdopodobnym rozwiązaniem kryminalnym.

Typowy kryminał z amerykańskiej czarnej serii znajduje się jednak daleko od czołówki, jaką tworzą Chandler z Gardnerem; pełen jest głuchych odgłosów mordobicia, strzelanin, nad wyraz podobnych do „westernowskich”, bo stamtąd zapożyczonych (strzela się jawnie, szybko, według zasady „kto pierwszy”), dużo w nim bardzo rozebranych, wygibaśnych kobiet, występujących często — jak się powiedziało — także w roli nieboszczyków; całość ta wyzbyta jest w zasadzie pretekstu choćby zagadki kryminalnej, gdyż od początku wiemy, kto i dlaczego, a całych dwieście stron służy tylko dokładnemu przedstawieniu tego — jak. Od czasu do czasu któraś książka, w dążeniu do autentyczności, opisuje — po reportersku prawie — autentyczne śledztwo, a spotkałem i taką, której autor (R. Demig w *The Case of the Curteous Killer*) legitymował się we wstępie z dłuższego pobytu w kwaterze chicagowskiej policji — na prawach „artysty w terenie”. Zabawnie podobne to do genezy niektórych naszych produkcyjniaków...

5

Jak widać, *thriller*, poczęty jako odnowa gatunku, szybko zastygł w gorsecie rodzimej konwencji. Model amerykański przenosi po prostu akcent z intelektualnej satysfakcji rozwiązywania zawilej łamigłówki na samą intrygę, czyniąc ją interesującą bieżąco i nieustannie (rozebrane kobietki, większa ilość krwi), a nie tylko poprzez element kunsztownie dawkowej i rozciągniętej tasiemcowymi przesłuchaniami zwłoki. Okazało się, iż argument rozumowy ustępuje przed soczystym ciosem w szczękę. Różnice formalne konstrukcji są niewątpliwe, merytoryczne — żadne. Oba modelom brak autentycznej problematyki winy i kary, oba są puste, a wygniecione rozpustą łóżka, tlenione *call girls* w motelach i rzetelnie, z krwawym smakiem odrobione masakry, zrywające z symboliczną umownością romansu europejskiego, w którym trup jest tylko przesłanką działania policyjnego, a nie „rzeczą w sobie” do delektowania się — to po prostu kwestia ujawnienia i obnażenia tego, co kryminał klasyczny podawał zawoalowane i domyślne; różnice są ilościowe, nie jakościowe. Twórcy takich książek to precyzyjni konstruktorzy i projektanci intrygi w Europie, bądź dostawcy sadystycznych smaczków w Ameryce — wszystko jednak kończy się w obrębie opisów technicznych, a zrozumiałe, że technologię zbrodni dzieli od jej psychologii przepaść. W ostatnich latach Europę (Francję i

Skandynawię zwłaszcza) zalewają już także rodzime, pisane przez autorów „tubylczych”, powieści „czarne”, świadczące, jak pojętnymi okazali się Europejczycy uczniami mistrzów kryminału „naturalistycznego”, zaledwie się wyjaśniło, że jego pieprzność odpowiada podniebieniu starego kontynentu.

6

Ciekawym, a socjologicznie nie zbadanym właściwie fenomenem są pewne sztampy, pojawiające się w drugorzędnej literaturze, którym na dobrą sprawę nic zupełnie w rzeczywistości nie odpowiada, tak że stanowią zjawiska równie fikcyjne, co na przykład potwory z bajek, a jednak ani w intencji swych twórców, ani w przekonaniu masowego odbiorcy te z palca wysane, współczesne namiastki mitów — wcale baśniowego, irracjonalnego charakteru nie mają. Rozpaczam w ten sposób ustęp, poświęcony postaci zbrodniarza, jak ją malowała literatura kryminalna, bo już pierwowzory nosiły wszelkie cechy fikcji oderwanej od życia. Jedną z popularniejszych była postać „genialnego zbrodniarza”. Osobnik ów działał okropnie, lecz wzniosie, to jest uprawiał „sztukę dla sztuki”. Tego, że się na swojej niecnocie mógł dorobić, na ogół nie brał pod uwagę. Rozwój i warianty tej postaci obserwować możemy u autorów europejskich: od Conan Doyle’a (profesor Moriarty, który omal że nie pokonał Holmesa), przez E. Wallace’a (dla siebie tylko znanych przyczyn autor ów podniósł do rangi doskonałych zbrodniarzy w większości swych książek... przedstawicieli angielskiej palestry), aż po Agatę Christie (np. *sir Estace* w *The Man in the Brown Suit*). Jak z tego widać, „geniusz zbrodni” nie zeszedł z książkowych kartek do dnia dzisiejszego. Oczywiście kryminologia światowa milczy o osobnikach, którzy zbrodnie komponują tak, jak Wagner — symfonie.

Twardy żywot mitycznego „artysty” daje się wytłumaczyć kilkoma przyczynami. Coś niecoś dodatkowo wyjaśni nam to, że w okresie dawniejszym nieprzeciętna ta postać była często profesorem (p r o f e s o r Moriarty Doyle’a, szaleni naukowcy Edgara Wallace’a). Naukowiec był istotą nieznaną, pojęciem pustym, workiem, do którego można było wtłoczyć, co kto chciał; dzisiaj „uczonych wariatów” nie spotyka się w kryminałach, z wyjątkiem książek absolutnie wtórnych, które usiłują po prostu zerować na starych schematach. Dalszym czynnikiem, który patronował narodzinom geniusza występku, była genialność samego detektywa: musiał on przecież znaleźć godnego siebie adwersarza! Na koniec bohater taki ułatwiał piętzenie

najniesamowitszej intrygi, skoro obca miała mu być normalna ludzka motywacja, oscylująca w wąskim wachlarzu namiętności pomiędzy chciwością, nienawiścią i zazdrością. Z tej samej rodziny pochodzi zbrodniarz–szaleniec, któremu rozum mógłby pozazdrościć niejeden człowiek normalny. Szaleństwo jego jest furtką, przez którą autor wymyka się na końcu książki przed domagającymi się jakiego–takiego wyjaśnienia czytelnikami. Słowa „przecież to wariat” mają im zamknąć usta. Chwył ten, uznany powszechnie za partacki i w obrębie obowiązującej konwencji nieuczciwy, porzucili autorzy dawno i zbrodniarz–szaleniec zmarł bezpotomnie, czego, niestety, o jego genialnym pobratymcu powiedzieć nie można.

Drugim, równoległym niejako, wielkim kłamstwem powieści kryminalnej jest zaniedbanie przez nią realnego problemu zawodowstwa zbrodni. Nie dotyczy to powieści amerykańskiej, obrazującej działalność gangów. Jak wiadomo, lwią część wszelkich przestępstw popełniają zawodowi kryminaliści, najczęściej — recydywiści, na ogół dobrze znani policji, natomiast zbrodni w książkach dopuszczają się z reguły — jeśli nie „geniusze”, to osoby z tak zwanych „lepszych sfer”.

Powiedziałem już wyżej o predylekcji, jaką wyjawiał Wallace w stosunku do adwokatów, z rzadka tylko przetykając ich naukowcami, bądź lekarzami (lekarzom łatwiej niby zabijać, bo i wiedza fachowa odpowiednia, i dostęp do trucizn łatwy).

Wytlumaczyć taką selekcję przy rekrutacji zbrodniarzy nie jest trudno. Powieści kryminalnych nie czytają zawodowi przestępcy, chyba żeby się uśmieć, czytelnicy pochodzą zaś na ogół z podobnych warstw co autorzy, więc i zakresy życiowych doświadczeń w jakiejś mierze się pokrywają. O zawodowych przestępcach autorzy niewiele mają do powiedzenia, bo ich nie znają, a zresztą wprowadzenie zawodowca na scenę uważane bywa za chwyt niewłaściwy, tani. Im szanowniejsza osoba okaże się na końcu sprawcą zbrodni, tym przecież większe zaskoczenie.

Oba te czynniki: eliminowanie sprawców takich, jakich zna rzeczywistość, i zastępowanie ich wydumanymi, wspólnie przyczyniają się do odrealnienia intrygi powieściowej.

7

Robota pisarska przy tworzeniu powieści kryminalnej zaczyna się z reguły — to rzecz oczywista — od wymyślenia intrygi, to znaczy: trzeba wymyślić ofiarę zbrodni, osobę mordercy oraz taktykę i strategię jego działania. O tych ostatnich chciałbym teraz powiedzieć kilka rzeczy

dosyć istotnych. Autorzy kryminałów są — w praktyce — preformistami, nie ewolucjonistami. Plan zbrodni powstaje z zasady — do tego prowadzi analiza faktów *ex post* — w umyśle zbrodniarza i następnie realizowany jest biegle i bez zakłóceń, wcielając się w życie z precyzją, która na myśl nasuwa chyba koncepcje harmonii przedustawnej. W fazie pierwszej działania mordercy wszystko „idzie”: wykonuje kolejne czynności akurat tak, jak je zamyślił, i tylko nadzwyczajności detektywa zawdzięczamy, że w następnej fazie, właściwego śledztwa, cały ów w życie (czy raczej w śmierć) wcielony mechanizm postępów zostaje z najwyższą dokładnością odtworzony. W fakcie tym — podobnej metodyki konstruowania akcji — kryje się jedno z największych, choć nieraz z trudnością (u biegłego zwłaszcza pisarza) wykrywalnych kłamstw całego gatunku. Mam na myśli zjawisko tak oczywiste, że wielu ludzi w ogóle nie zdaje sobie z niego sprawy. Oto jakiegokolwiek, zaplanowane z góry, działanie ludzkie nadzwyczaj rzadko realizuje się w swej zamysłonej formie. Czynniki zewnętrzne, niezależne od planu ja-cego, wprowadzają drobne zmiany, korektury, potknięcia w trakcie urzeczywistniania zamysłu, i to, co zachodzi w materialnym świecie, jest z reguły wypadkową woli sprawcy i wszelkiego rodzaju wtargnięć, bądź zakłócających, bądź, rzadziej, sprzyjających, a jedne i drugie sterowane są ślepym trafem.

Owych, nie ustających właściwie, interwencji zewnętrznych w nasze działania na ogół nie dostrzegamy, gdyż nie mają większego znaczenia; jeśli pragniemy kupić wyłącznik, a sklep elektrotechniczny, do którego .’kierowaliśmy kroki, okaże się zamknięty, udamy się do następnego; przy zmianie programu kina pojedziemy do drugiej dzielnicy, nieoczekiwane spotkanie znajomego, choćby i miało rozsadzić nam cały plan popołudnia, może być przyjęte w dobrym duchu — wszystko ma się, oczywiście, inaczej, jeśli w grę wchodzi zjawiska ostateczne. Okupacja na przykład dała sporej ilości ludzi w Polsce (aż nadto sporej...) możliwość przeżycia takich chwil, czy to w roli niedoszłych ofiar, czy to konspiratorów, gdy na przykład mieli z bronią w ręku dokonać jakiegoś napadu bądź egzekucji na hitlerowcu. Każdy, kto znajdował się w podobnych sytuacjach, wie z własnego doświadczenia, jak najklarowniej (mówię o ich strukturze, nie o grozie) z pozoru sytuację zamącić, ba — do góry nogami odwrócić może najbliższy przypadek: jakaś zachodząca na trzecim planie kłótnia odwraca uwagę decydującego o rozstrzelaniach oficera niemieckiego na sekundę lub dwie, ale w tym czasie ten, o kogo szło, zdążył już minąć krytyczny punkt egzekucyjnego szpaleru; ktoś chce napić się zimnego barszczu, wraca do domu z piwnicy w czasie nalotu — i zostaje przy życiu, gdy całą rodzinę zabija mu

zapadający się przy wybuchu granatu schron; zdenerwowanie powoduje, że, strzelając z trzech kroków do gestapowca, świetny strzelec wypróżnia magazynek — w powietrze; pusta beczka, spadająca z jakiegoś tam wózka na skrzyżowaniu, na którym miano zatrzymać karetkę więzienną, aby odbić więźniów — obala cały wypracowany starannie plan akcji; wskutek zepsucia telefonu niepodobna przekazać wiadomości, od której zależy zgranie wszystkich części planu; zamiast osobnika wyznaczonego zabija się — omyłkowo — kogoś całkiem innego...

W sytuacjach eschatologicznych najwyraźniej przejawiać się lubi immanentna, by tak rzec, tragikomiczność ludzkiego losu. Umyślnie używam słów podobnego kalibru, bo przemieszanie namiętności ze śmiesznością, grozy z humorem, jakie spotykamy u największych pisarzy, przedstawiających sceny omawianego rodzaju, nie jest, rozumie się, ich wymysłem ani wynalazkiem, lecz trafnym odczytaniem rzeczywistości, która posiada swoją typowość, właściwą sytuacjom najbardziej niezwykłym.

Element chaosu, przemieszania czynników ważnych, wstrząsających, z nieważnymi i błahymi, ale — w owym krytycznym, jedynym momencie — jednakową, równą mocą wyrokujących o jakimś „być czy nie być” bohatera, akcji, planu — przejawia się ze szczególną natarczywością właśnie w sytuacjach nieodwracalnych i gwałtownych, ostatecznych, jak egzekucja czy dokonywany mord — a wprowadzić ową cechę w dzieło sztuki, w romans, w powieść kryminalną, nadać im chropawą fakturę rzeczywistości — jest zadaniem, spośród omawianych, bodaj że najtrudniejszym. Trzeba tu działać (o pisaniu mówię wciąż, rzecz jasna, nie o mordowaniu) intuicyjnie, na wyczucie, żeglując pomiędzy Scyllą martwo zrodzonego, nadmiernie na naciach prowadzonego szkieletu akcji, a Charybdą kompletnego chaosu, absurdałnego nadmiaru przypadkowych pociągnięć, ślepej loterii, w którą zanurzona wola człowieka redukuje się do zera.

Urzeczywistnić w książce wszystkie te, raz nieznośne, raz komiczne rykoszety naszych zamierzeń, potknięcia i nie-do-wiary-trafy, w które tak obfituje życie, odtworzyć je z ich puszką przelotności, byle jakości, którą tylko dramatyczna sytuacja dźwiga na wyżyny Losu, jest rzeczą, o jakiej marzy każdy pisarz — oprócz, bodaj, kryminalnego, temu bowiem sama myśl o wprowadzeniu elementu nieobliczalności w plany zbrodniarza zamąciłaby krystaliczny charakter książki — on przecież wykonc-powuje nowe, wspaniałe alibi, które zeskamotuje dla zbrodniarza kilka minut, potrzebnych dla zabicia ofiary, wytarcia odcisków palców i przeprowadzenia (zmienionym głosem) mylącej rozmowy telefonicznej... Ale zaoszczędźmy

sobie wyliczania tych elementów, koczujących z książki w książkę, zamienialnych jak poszczególne figury wszystkich szachów świata. Zegarkowość intrygi zabija życie w powieści kryminalnej; wyjątków jest tak mało, że potwierdzają regułę.

8

Poznaliśmy dwa modele, czy raczej dwie skrajności kryminału: europejską — „retardacyjną” i amerykańską — „brutalizującą”. Czy istnieją jakieś inne odmiany, warianty, nowe na polu sensacji wynalazki?

Nieustanne wysiłki, podejmowane przez tysięcznych autorów, od czasu do czasu doprowadzają, naturalnie, do powstania książki, jeśli nie całkowicie nowej, to w każdym razie odstrychniętej nieco od baraniego stada zbrodni. W wypadku powodzenia książka taka pociąga za sobą naturalnie ogon mniej lub bardziej nędznych naśladownictw.

Normalny schemat śledczy bywa okraszony niebezpieczeństwem, jakie, z racji fałszywego posądzenia, grozi bohaterowi; często siedzi on już w celi skazanych na śmierć i detektyw, aby go uratować, musi odnaleźć zbrodniarza w ciągu kilku godzin. Ale to już było. Więc ten niewinnie posądzony nie może się wybronić, autor wiesz go, i jedynym świadkiem mordu dokonanego przez wymiar sprawiedliwości jest czytelnik.

Wykorzystany jest i motyw straszliwego zbrodniarza, terroryzującego strachem opinię publiczną mordercy, który, dajmy na to, urągliwie przesyła policji odcięte uszy swych ofiar — ale ten pomysł pochodzi jeszcze z opowiadań Conan Doyle’a. Morderca–psychopata ma swój realny pierwowzór w osobie legendarnego Kuby–rozpruwacza. Żaden jednak autor, o ile wiem, nie odważył się przedstawić łańcucha mordów seksualnych (pomijam powieść Dürrenmatta, która nie jest przecież zwykłym „kryminałem”). Rzecz charakterystyczna: spotkałem ze trzy, cztery powieści amerykańskie, które na wstępie prezentują czytelnikowi ciało młodej kobiety, zmasakrowanej, jak gdyby przez zwyrodniałego sadystę, ale za każdym razem na końcu okazywało się, że zbrodni dopuścił się ktoś, kto usiłował symulować tylko mord seksualny, gdy w rzeczywistości szło o coś całkiem innego, na przykład o zemstę, o zabójstwo z zazdrości, itp. W taki sposób konwencja na naszych oczach unicestwia szansę uautentycznienia (mniejsza o to, za jaką cenę, płacona w realiach) powieści kryminalnej.

Dość rzadki wariant fabularny przedstawia, z książek starszych, *The Red House Mystery*

A. A. Milne'a (autora „Puchatka”), w jakiejś mierze powtórzony na przykład w *The Red Right Hand* J. T. Rogersa. Przedstawię rzecz na tle książki Rogersa, bo jest szczególnie dobrze przeprowadzona. Narrator wprowadza nas od razu w atmosferę niejasnej grozy, wybiegając w przód, to znowu cofając się do rozmaitych wypadków, które — w sumie — dotyczą jakiegoś czerwonoookiego, demonicznego trampa. Włóczęga ów, jak się wydaje, zamordował narzeczonego pewnej panny, przysiadłszy się do auta młodej pary. Okazuje się potem, że wszystko było „nie tak”: mordercą był naręczony, zamordowanym — tramp, a panna miała być także ofiarą, tyle że okoliczności nie pozwoliły przestępcy zrealizować planu do końca. Jest to typowa maskarada, z charakteryzowaniem zwłok, podstawieniem *qui pro quo*, stawiająca — w finale — całą naszą, w toku narracji zdobytą, wiedzę do góry nogami. Innowacja polega na tym, że nie tylko podejrzenia co do osoby sprawcy okazują się fałszywe, ale niespodzianką jest właściwa identyfikacja ofiary, jak również całej intrygi. Tendencją oszołomienia czytelnika za wszelką cenę przynoszą też książki takie, jak *The Bride Wore Black* Woolricha, w której jesteśmy świadkami szeregu nagłych zgonów przeróżnych mężczyzn — zwiastunem śmierci i zarazem jej sprawczynią jest tajemnicza kobieta, a śledztwo usiłuje wykryć jakiś dawny fakt, który by — w przeszłości — łączył jakoś kolejne ofiary z demoniczną (jak się wreszcie okaże) mścicielką.

Warto zanotować kilka jeszcze osobliwości amerykańskiego kryminału ostatnich lat. Tak więc, by wzmóc autentyczność narracji, autor niejednokrotnie występuje jako prywatny detektyw, tj. utożsamia się całkowicie ze swym bohaterem. (Na przykład Anthony Rome, George Bagby, publikujący jak gdyby pseudopamiętniki swych sukcesów.) Ten pierwszy przy tym (Rome) osiągnął chyba swoisty rekord zbierania guzów: jego bohater, więc niby on sam, bywa bijany tak długo, dokładnie i z takimi szczegółami, jak chyba żaden inny *private investigator*. Czynione są też próby „odświeżenia” środowiska akcji. U Bagby'ego mord zachodzi wśród „nowoczesnej młodzieży” — tak zwanych *beatniks*, przy czym ofiarą zbrodni pada (naturalnie piękna) *beatnik babe* — po naszymu kociak, a śledztwo toczy się wśród amerykańskich „egzystencjalistów”. Rzecz jasna pokazuje się nam tylko wytarte rekwizyty (*jam-session*, potargane swetry, brak własnego rachunku czekowego w banku, swobodę seksualną). Oslawiony Mike Spillane i James Hadley Chase trudnią się przedstawianiem morderstw głównie od strony zbrodniarza. Ten ostatni (jego *chef d'oeuvre*, *No Orchids for Miss Blandish*, omówił w swoim czasie Z. Kałużyński) niekiedy przedstawia motywy zbrodni (miłość do kobiety zameżnej, której małżonka trzeba zgładzić w *Shock Treatment*) — czasem jednak (*The Case of the Strangled*

Starlet) brak ich, w konwencjonalnym czasie, w ogóle. Po prostu bogaty, śmiertelnie znudzony młodzieniec planuje morderstwo (zaduszenie młodziutkiej „gwiazdki” w Cannes), reszta zaś jest już tylko rutyną. A zatem z miłości, dla pieniędzy albo po prostu — tak sobie, bo nic lepszego nie ma do roboty. W powieściach ostatniego typu (a jest ich sporo!) kwestie motywacji psychologicznej ledwo są zresztą muśnięte. Obraz jest szczególnie uderzający, jeśli zestawić go z górami skomplikowanych przeżyć i popędów, jakie gromadziła literatura europejska („Zbrodnia i kara”...), zbliżając się do strefy zbrodni. Cała ta, doprawdy czerwona od krwi, wzbierająca ostatnimi laty seria zdaje się po łaż nie wiadomo który tłumaczyć, jak łatwym procederem jest zabójstwo, ostatnim zaś haraczem na rzecz „moralności” jest (z reguły) klęska osaczonego przez policję zbrodniarza. Jak na razie, książki, które ukazywały mordercę bezkarnego, nie spotkałem, ale ciśnienie konkurencji na rynku zrobi chyba wreszcie swoje.

9

Wytknęliśmy kryminałowi zakłamania i błędy najróżnorodniejsze — poczynając od lekceważenia fizjologii i psychologii, aż po wprowadzenie nieprawdziwej (niemożliwej) struktury wypadków. Daliśmy też do zrozumienia, na jak mało godnych poszanowania stronach naszej natury gatunek spekuluje.

Rejestr tych zarzutów można by konsekwentnie poszerzyć. Tak na przykład twórcy literatury „zwykłej” dawno już wyrzekli się boskiej wszechwiedzy o swych bohaterach; powieść kryminalna nie zamierza rezygnować z tego przywileju — i dlatego to, co przedstawia, jest abstrakcyjnym szkieletem logicznym w wariacie anglo-europejskim, bądź jatką — w wersji Nowego Kontynentu. Wszechwiedza autorska stanowi oczywiście uzurpację bez wszelkiego pokrycia, rezygnuje bowiem z tego, co jest w ukazaniu zbrodni najistotniejsze: z obrazu rzeczywistego, działającego człowieka, niedocieczoności tego najrozpaczliwszego z możliwych czynów, z tych wszystkich luk i sprzeczności, z wzajem się znoszącej wymowy faktów, z całej owej sypkiej „kaszy” życiowych okruczeń, która sprawia, iż każda rekonstrukcja jest dziełem cząstkowym i ułomnym, a rozpoznanie osoby sprawcy stanowi przewodu literackiego początek, a nie koniec. Dopiero, zmywszy z siebie czerwoną farbę i skruszywszy gipsowy gorset konwencji, mogłaby powieść ta wejść na drogi prawdziwej literatury, w poszukiwaniu autentycznej problematyki zbrodni, winy i kary — ale który pisarz „kryminałów” odważy się to zrobić, skoro

całkiem czegoś innego oczekują odeń rzesze czytelników?

1960

ZAGĘSZCZANIE DUCHÓW

Zarazki grypy to jedyne istoty w naszym kraju, nie znające trosk mieszkaniowych. Ostatnio wybrały sobie za lokal moją osobę i wprowadziły się (że tak powiem) do mnie siłą, a to złamanie biologicznej praworządności przykuło mnie na pewien czas do łóżka.

Tak się złożyło, że zabijałem, chorując, czas najróżniejszą lekturą. Miałem pod ręką trochę literatury współczesnej (Hłasko i Sagan), nieco rozmaitych dokumentów i pamiętników z czasów ostatniej wojny, a to opisy życia w obozach, relacje oskarżonych o niepopelnione winy, z wszelkich tam procesów, książeczkę o strategii atomowej i o wodorówkach — jednym słowem to wszystko, co lapidarnie określa się mianem „nowoczesności”.

Lektura ta, współdziałając z zarazkami grypy (o których można powiedzieć z najwyższą pewnością, że nie stosują środków antykoncepcyjnych i rozmnażają się bez żadnych ograniczeń), poważnie mi zaszkodziła. Coraz czarniej patrzałem na ludzkość. Bliski byłem wewnętrznego załamania. Już tylko przekleństwa gościły na mych wargach, a rozpacz w sercu. Naraz dostałem książkę, która odrodziła mnie, wróciła światu, wniosła pogodę w czarny mrok duszy i pozwoliła upić się ożywym optymizmem. Mówię to bez żadnej przesady. Tą książką była antologia angielskich opowiadań o duchach. Czyli o widmach, strachach, marach, upiorach i strzygach. A także o krwiochłonnych wampirach. CUDOWNA, ROZKOSZNA RZECZ!

Jak powiedziałem, bliski byłem kompletnej utraty wiary w Człowieka i Ludzkość. Aż naraz — cóż za błogość, co za świeżość kryniczna! Nie mam słów dla wyrażenia mej wdzięczności zacnym Anglikom. Odrodzili mnie. Zrobili wszystko, aby było JAK NAJPOTWORNIEJ. A więc czarny dom, w którym straszy. Kurz, pajęczyny, ciemno choć oko wykol, bezszelestnie rozsuwa się ściana i w całunie, przy ohydnych akompaniamencie grobowej woni... Albo taki numer: trup z XVI wieku, zachowany jak wczorajszy, wylazi z mogiły w płaszczu z mgieł i pędzi na poszukiwanie ofiary, sycząc: „krwi! krwi!”

Albo ręka czcigodnego starca, opanowana przez demona. Ręka ta, odcięta, kiedy starca na dobre pochowano, prowadzi szatański żywot w cichym prowincjonalnym domu, szczybie służbę, straszy, tumani i lęka! Albo niewidzialny facet, który „człap! człap!” — maszeruje nocą za dzielnym marynarzem. Albo ta niedobra żona, która, szcękając piszczelami, przylazła po śmierci do domu i straszyla.

Jakież to wszystko miłe! Jakie zabawne! Jakie urocze! Tylko — przstraszyć? Nie, cóż znowu! Któż przstraszy nas dzisiaj najstarszym nieboszczykiem, podpierającym się własną miednicą, kłapiącym zębami jak traktor, dzisiaj, w epoce pamiętnych pieców, wodorówek i przeżyć, związanych z tymi nowaliami XX wieku? Dość wyobrazić sobie, że ktoś da takie ogłoszenie do gazety: „Opętany i nawiedzony duchami dom jednorodzinny (5 minut od tramwaju) z ogrodem owocowym, w którym żerują wilkołaki, odstąpię bezpłatnie”. Czy zdajecie sobie sprawę, co by się tam działo? Milicję trzeba by wzywać, żeby obroniła właściciela, nie przed duchami, naturalnie, ale przed najzupełniej żywymi ludźmi, gotowymi na wszystko, aby powiększyć swą przestrzeń życiową. Duchy to dobra rzecz, ale nie dla nas. Najpierw — straszyć nie można byle gdzie. Lokal Samopomocy Chłopskiej, Punkt Zbiorowego Żywienia albo Spółdzielnia Usługowa Fryzjerów, nawet dobrze po północy — to nie jest miejsce dla szanującego się pozagrobowego widma. W prywatnym mieszkaniu zjawia też nie ma co szukać: ciasno jak cholera. Jeden lokator siedzi drugiemu na karku — jak się tu wcisnąć, nie mówiąc nawet o straszaniu? Na cmentarz w nocy też nikt nie pójdzie, nie żeby się duchów bał, ale zanim dojdzie, chuligani rozbiorą i nabiją. Jedne stare zamki — ostatni przybytek! — rozleciały się w ramach nacjonalizacji, inne pozajmowały organizacje masowe. Wszystko masowe, wszędzie tłumy — a upiór musi działać w cztery oczy, sam na sam, żeby zrobić jakie takie wrażenie. To raz. A po wtóre — duch musi mieć uczciwą szansę. Wszyscy potwornie się gdzieś spieszymy, a to do ogonka, a to po zaświadczenie, kto ma czas na jakies pozagrobowe tête-a-tête? Szkoda marzyć.

Tak, trzeba to powiedzieć wyraźnie: na duchy nie ma już dziś miejsca w naszym życiu. Pocziwe to bractwo, zacne, ale bez szansy. Inna rzecz, że czytając Anglików zrozumiałem, jak bardzo taka lektura pokrzepia.

Miłe maskary i strzygi, towarzyszące mi w grypowym osamotnieniu, oczyściły moje myśli, pokrzepiły pełen zwątpienia umysł, uwolniły od smutków i trosk, przenosząc w feeryczny, jakże sielankowy świat z wolna otwierających się grobowców, w przepiękną krainę pukających z cicha do drzwi szkieletów, utwierdzając w mym sercu jakże niezbędną wiarę w zwycięstwo sprawiedliwości nad występkiem: bo one pokutują na miejscu zbrodni, te duchy. Tak, tak, *fair play* jest ściśle przestrzegana, kto męczył lub mordował, musowo potem straszy i kłapie, gdzie trzeba. Tego kojącego przeżycia długo nie zapomnę. Żebyż się jakieś wydawnictwo wzięło do tego, przełożyło, upowszechniło w ramach reeuropizacji!! Że to idealizm? No, niby tak, ale jaki

z niego pożytek! Że duchów nie ma? No to co? Była mowa o eksperymentach, dlaczego więc nie podjąć się takiego? Tylko wydawnictwa są szalenie zawałone robotą. Więc może jakieś nowe pismo? Na przykład „Trupi Głos” albo „Nowy Strzygoń”. A dla dzieci — „Widemko”. Najpierw zaczęłoby się od przekładów, a z czasem rozwinęłaby się na bazie Związku Literatów własna kadra specjalistów od konstruktywnego straszenia. Odpowiednio ustawiony, po krótkim przeszkoleniu, upiór może nam w niejednym dopomóc. Już widzę rozplamionym okiem wyobraźni artykuł „Duchy włączają się w akcję likwidacji mank”. Roboty byłaby masa. Jeżeli zaś osobne, specjalne pismo to za wiele (choć teraz zakłada się je dla rozwiązania spraw nawet mniejszej wagi), to na początek dobry byłby choćby tylko kącik pozagrobowy w jakimś organie już istniejącym. Trudności obiektywne są, tego już dzisiaj nikt nie przemilcza, ale jak byśmy się wzięli do roboty, to rezultaty nie dałyby na siebie czekać. Rzucam tedy hasło: ożywić te trupy! Zmobilizować upiory i strzygi, te wszystkie grobowce i wilkołaki! Śmiechu, radości; zajęcia będzie masa!

1957

KTO JEST GŁUCHY

Pisząc niedawno o malarstwie abstrakcyjnym, miałem nieostrożność powiedzieć, że kryteria oceny dzieła plastycznego są dosyć subiektywne, podczas kiedy w osądzie utworu literackiego specjaliści są zazwyczaj zgodni. W rzeczywistości sprawa ta nie jest, niestety, taka prosta. Przekonać się o tym może każdy nieszczęsny czytelnik tygodników literackich, w których dziwacznie, pokrętnie, na głowie albo od strony nogi rozwija się (czy raczej degeneruje) dyskusja o literaturze, zapoczątkowana przez Sandauera i Błońskiego, który się do Sandauera przyłączył.

Ja na przykład jestem głuchy na muzykę współczesną i w jej przedmiocie się nie wypowiadam, chociaż słuch mam o tyle niezły, że wszystkie dźwięki nowoczesnej symfonii słyszę, ale niejako z osobna, tak że mi się z nich w głowie żadna całość nie składa. Podobnie — obawiam się — wielu ludzi, posiadając elementarną sztukę czytania, to jest składania liter w słowa, a słów w zdania, nie bardzo potrafi przejść na wyższe piętro syntezy całego przeczytanego tekstu. Tutaj wyrasta wszakże koszmarny problem: jak im tę ich niemuzykalność na tekst literacki wytłumaczyć, jak im wyperswadować, żeby przestali trudnić się krytyką kolorów, jeżeli są ślepi na nie od urodzenia? Jest to tym trudniejsze w wypadkach, kiedy tacy ludzie są szalenie sympatyczni, a nadto jeszcze zajmują się, właśnie zawodowo, literaturą. To już daleko lepiej jest w matematyce: tego, kto się na niej nie zna i poza tabliczkę mnożenia niedaleko wyszedł, wykryć jest bardzo łatwo i jeżeli, przystąpiwszy do tablicy, pocnie imitować wykład Wyższej Analizy, wypisując bez ładu i składu alfy, ypsylony i trzecie pierwiastki, zagłuszy go homerycki śmiech specjalistów z prawdziwego zdarzenia. Matematykę albo się umie, albo się jej nie umie i żadnej lipy w tej dziedzinie proponować nie można. W literaturze, niestety, inaczej. Rośnie we mnie paskudne podejrzenie, że mnóstwo ludzi dlatego tylko zachwyca się dziełami Wielkich Nazwisk, bo te nazwiska obrosły już patyną, bo są już należycie okadzone i ocementowane podziwem rozmaitych uczniów albo po prostu dlatego, że stanowią towar importowy, którego pierwszorzędną sprawdzono już w odpowiednich instancjach. Z różnych stron słyszy się nabożne mamrotania „Kafka! Kafka!” — a gdy człowiek pyta, co się właściwie mamrocącym w Kafce podoba — niepodobna się niczego dowiedzieć. W pewnych środowiskach, na przykład artystycznych, tyrania snobizmu może być, jak się obawiam, bardziej bezwzględna i w rezultatach skuteczniejsza od tyranii policyjnej. Przed policją można się w końcu gdzieś

schować, ale gdzie się człowiek ukryje przed własnym kabotyństwem?

Ta dyskusja, o której wspomniałem na początku, dlatego tak karłowacieje i jak osoba pijana zatacza się w najdziwniejsze strony, że wielu jej uczestników całkiem zwyczajnie nie wie, o czym mówi, albowiem nie dostrzega kolorów. I to jest właśnie bardzo zasmucające, bo jeżeli tacy inteligentni i sympatyczni ludzie, nasi szacowni koledzy, parający się piórem od lat, nie wiedzą i nie rozumieją, to kto ma, na miły Bóg, wiedzieć i rozumieć? Koniec końców, jest absolutna ciemność, pomieszanie krytycznych języków, wieża Babel i ogólna umysłowa niemożność.

Podobna sytuacja rodzi tęsknotę za Absolutnym Autorytetem, takim Supermózgiem Elektronowym, który by wszystkie dyskusyjne teksty, tezy i artykuły czytał, za czym wydawałby o nich sąd ostateczny, od którego nie byłoby już żadnego odwołania. Oczywiście płynęłaby stąd olbrzymia ulga; gdyby się wszakże temu Supermózgowi popsukała jakaś sprężynka albo przepalił jakiś drucik, być może po stu latach niepostrzeżenie doszlibyśmy do zachwycania się literaturą, której teraz żaden rozumny człowiek nie pochwali. Zdaje mi się jednak, że sytuacja nie jest tak beznadziejna, jak mogłoby się zdawać. Bzdura, ślepotą na kolory i absolutna tępota przy pozorach krytycznej czy estetycznej wrażliwości jest przecie wiernym towarzyszem człowieka na całej jego drodze historycznej, a mimo to w jakiś zadziwiający sposób utwory wybitne zostają koniec końców ocenione właściwie, mętlik zaś, grafomanię, napuszoną pseudomądrość i pseudointelektualizm pochłaniają czarne wody niepamięci. Tak więc Supermózg istnieje już od dawna i działa wcale sprawnie, tak sprawnie, że nie trzeba się obawiać, aby mu się jakiś drucik nie przepalił, jest bowiem zbudowany z odmiennej substancji: to czas jest tym filtrem, na którym osiada w końcu głupstwo i w taki sposób dociera do nas z minionych pokoleń sama tylko klarowna esencja prawdziwych wartości artystycznych.

Kiedy się człowiek rozejrzy po obszernych jak Panorama Raławicka łamach współczesnych tygodników literackich, może go, prawda, ogarnąć nagła panika, może mu się w umyśle ulegnąć wyobrażenie, iż takiej ilości głupstw, takiego mnóstwa intelektualnego zakalca, takiej kupy jaskrawych nieporozumień i niemożności dogadania się w rzeczach elementarnych jeszcze nie było — ale to jest wyobrażenie fałszywe. Dość wziąć do ręki, w charakterze zbawiennego *antidotum*, parę roczników pism z lat dziewiętnastych czy też dwudziestych piątych — to wszystko jedno — a rychło zanurzymy się w takimż oceanie bełkotu, tyle że nieraz bardziej czupurnego i jawniej agresywnego. Nie należy przy tym sądzić, iż piszący te słowa rości

sobie pretensje do wypowiedzania treści tak klarownych, jak by już przeszły przez selektywny filtr pokoleń, przez rektyfikującą kolumnę historii — nic podobnego. Felietonista jest, wręcz przeciwnie, zdania, iż i on nie może się opierać wpływom wszechpotężnej Banialuki, i on musi jej spłacać dań, od czasu do czasu popadając w przeraźliwe bredzenie, podczas kiedy mniema, iż wypowiada Prawdy Wiekuiste. W tej świadomości pogrążonego pocieszyć go może tylko to jedno, iż do tej pory przez całe stulecia filtry działały nader skutecznie, a zatem sądzić trzeba, że będzie tak nadal i że ów strumyczek głupstw, który sam wsącza do szerokiej rzeki literackiego mędlenia, zostanie przez Supermózg Dziejów — przez Czas — zatamowany. Przy takim poglądzie na bieg rzeczy (w którym kultura powstaje poprzez naturalne samooczyszczanie się wielkiej rzeki narodowego pisania, tworzenia i gadania) nadzieja na to, iż z utworów, artykułów, esejów i książeczek własnych choć drobna cząsteczka przedostanie się w przyszłość, do nurtu już klarownego, nadzieja taka musi być wątła, lepiej wszakże piastować, jak sądzę, taką małą zieloną roślinkę, aniżeli wytaczać z siebie w bezgranicznym zadufaniu tasiemce, które żyć będą, zaciemniając mózgi prostaczków, trzy dni, a czasem nawet dziewięć.

1958

NOWE BAJKI AMERYKAŃSKIE

Antologia jest to, jak powiada wielki słownik warszawski, „wybór najpiękniejszych miejsc pisarzy”. To bardzo dobrze powiedziane — myśl, pobudzona trafnym sformułowaniem, poczyną sobie zaraz wyobrażać, jakie to mogą być te najpiękniejsze miejsca. Słownik nie podaje bowiem lekkomyślnie, że chodzi o utwory, a nie o osoby. Zagadnieniem tym zainteresowałem się z tej racji, że mam ułożyć antologię nowel fantastycznych z całego świata. Niestety, słownik nie podaje, czy człowiek, zajmujący się taką robotą, nazywa się antologiem, czy antologikiem. Antologika — byłaby to bardzo piękna nazwa zajęcia, przynoszącego w sposób najzupełniej legalny, a nawet konieczny, rozkosze, płynące na ogół tylko z dobrze pielęgnowanego nieróbstwa. Antologię układa się w ten sposób, że bierze się kosz z jabłkami i pudło papierosów oraz kupę książek i kładzie się na kanapie, paląc, jedząc i czytając, od czasu do czasu zaś stawia się przy jakimś tytule małą fajeczkę. Pierwszych trzysta utworów czyta się z zainteresowaniem i — często — przyjemnością; wprawa i znudzenie przychodzą dopiero potem.

Olbrzymi stos utworów amerykańskich, przez który musiałem się przegryźć, wyczerpał zapas jabłek i mnie; było to wszakże doświadczenie nader ciekawe, albowiem pochłonawszy tak olbrzymią dawkę fantastyczności, skorygowałem niejedno z moich dawniejszych przeświadczeń. Przede wszystkim — już wiem, czym jest właściwie fantastyka w wydaniu amerykańskim. To po prostu bajka, baśń z tysiąca i jednej nocy, tyle że w oprawie dwudziestowiecznej. Temu, kto nie byłby skłonny wierzyć mi na słowo, służę przykładami. Przed stu milionami lat spada na Marsa wielusetmetrowy, zły i mądry potwór „z innej przestrzeni, z innego porządku czasowego”. Marsjanie zakuwają go w dyby, sporządzone z „ostatecznego metalu”, którego nie ima się kwas ani czas, który jest wieczny; budują mu więzienie i zamykają go w nim na zamek, stanowiący coś w rodzaju superrebusa matematycznego. Przyjaciele potwora, czuwający nad jego losem w innym świecie, po wielu wysiłkach pitraszą „robotą-mazię” i posyłają go na Ziemię, w celu odnalezienia, porwania i przywiezienia na Marsa najgenialniejszego matematyka, który byłby zdolny rozwiązać rebus i otworzyć więzienie. „Mąż-robot” może absolutnie wszystko: podróżować w Kosmosie, przybierać wygląd każdego przedmiotu, metalu, człowieka czy zwierzęcia; mordując ludzi stwarza z siebie ich nieodróżnialne imitacje i w ten sposób zbliża się wreszcie do Geniusza-Matematyka, którego porywa... albowiem nie potrafi tylko jednego: nie

umie rozwiązywać rebusów. Gdyby umiał, nie byłoby opowieści. Bez trudu poznajemy w niej nowoczesną edycję baśni o dzinnie, zamkniętym w butelce pieczęcią króla Salomona.

Na pewnej planecie szczury zżerają masowo zbiory zboża; dwóch agentów ziemskiego przedsiębiorstwa deratyzacyjnego otrzymuje odpowiednie zamówienie. Jadą na planetę, by się przekonać, że szczury są niewidzialne — poza tym całkiem sobie zwyczajne; przywiezione koty ziemskie, zjadając szczury, stają się z kolei też niewidzialne, a w krótkim czasie w ogóle znikają. Koty stają się niewidzialne, bo jedzą niewidzialne szczury, a szczury — bo spożywają niewidzialne zioła tej planety. Panowie agenci zjadają liście rośliny i też stają się niewidzialni, wkrótce zaś po większym „niewidzialnym posiłku”, przenoszą się skokiem „do innego świata”, gdzie spotykają istotki o spiczastych głowach, czterech rękach i nogach. Jest to wariant bajki o czapce–niewidce, skrzyżowany z bajką o chłopcu, który wpadł do studni; różnica tkwi w tym, że tereny, których Bracia Grimm nie definiowali dokładniej, pisarz współczesny umieszcza precyzyjnie w zbiorze gwiazd kulistych Galaktyki, wokół słońca Rigel III czy w głębi mgławicy Kraba.

Motyw zaklęcia człowieka w jakieś inne stworzenie, w kamień, w przedmiot, tak stary jak same bajki, również odnajdujemy w nowym wydaniu; tyle że ani słowa o zaklęciach; rolę ich spełniają mózgi elektroniczne i zaopatrzone w nie aparaty. A tu znowu wariant znakomity bajki o „stoliczku, nakryj się” — tyle że stoliczkiem jest „Konfigurator elektroniczny”, który, za wypowiedzeniem hasła i naciśnięciem guzika, syntetyzuje z atomów dowolną rzecz — od smażonego kurczęcia w sosie malaga do... jeszcze jednego Konfiguratora. O tym, że rakieta kosmiczna jest dla Amerykanów tylko zwyczajnym dywanem latającym, świadczy fakt, że ruchów jej nie ograniczają żadne prawa fizyczne; graniczna prędkość światła jest dla niej niczym; w ciągu ułamka sekundy przebywa dowolne odległości, mierzone choćby milionami lat świetlnych.

A zatem — bajka, triumfująca w sposób nieznan w historii literatury; samych grubych magazynów, poświęconych wyłącznie temu gatunkowi, wychodzi w Stanach bodaj dziesięć, autorów fantastycznych jest ilość niezliczona, jest to gatunek literacki, uprawiany zaiste masowo — tak masowo, że istnieją nawet kluby amatorów, które wydają powielane drogą fotograficzną periodyki z własnymi opowieściami. Jednym słowem — opowiadacze bajek rozmnożyli się w tym kraju za Oceanem, tak, zdawałoby się, trzeźwym, tak po „byznesowemu” rzeczowym — wręcz niewiarygodnie!

Przerastanie fantastyki amerykańskiej w bajkę było procesem powolnym — pierwsza fala utworów, zyskujących popularność, która rosła czasu wojny, była jeszcze mocno przycumowana do rzeczywistości, wywodząc się głównie z rzetelnej, po technicznemu rzeczowej tradycji Verne'a; dopiero wyeksploatowanie tematów technicznych, zmuszające pisarzy do coraz to większego natężania wyobraźni i pomysłów coraz bardziej karkołomnych, jak gdyby mimochodem zwróciło ich w stronę tematów pozornie zapomnianych, a tak starych, jak arabskie „Opowieści z tysiąca i jednej nocy”. Zarazem zaludnili w Licznych utworach przestrzenie kosmiczne piraci; powstawały w nich imperia, królestwa, Astrarchie i państwa buntowników—wyzwoleńców, przez co główny nurt utworów zasilił się treściami czerpanymi z powieści „przygodowo—historycznej”, rodem z Waltera Scotta. Apelując do trzeźwości czytelników, mając przed sobą ludzi dwudziestowiecznych, otrząskanych dzięki popularyzacji z nowinkami nauki, musieli pisarze przybrać stare i prastare tematy w szaty nad wszelki wyraz nowoczesne, poczynając od solidnej terminologii naukowej, poprzez wyrazy żargonu fizyczno—matematycznego, a na oderwanych i rozdętych tezach poszczególnych teorii kończąc. Tak powstały strumienie fantastyki: „freudowski”, „mózgo—elektronowy”, „bombowo—atomowy”, „syntetyczno—homunkulusowy”. Jednakże cała ta pseudofachowość i pseudospecjalistyczna terminologia i wszystkie owe akcesoria naukowe zawiodłyby, gdyby nie fakt, iż czytelnik amerykański jest w gruncie rzeczy istotą tak prostoduszną i naiwną — nawet gdy jest profesorem uniwersytetu! Krzepka młodość cywilizacji amerykańskiej, ukazująca na co dzień swe oblicze interesowne i rzeczowe, ma, jak widać, stronę drugą — rozgorączkowaną naiwność dziecka słuchającego z wypiekami „bajek babuni”... i chyba tylko w tym jedynym kraju na świecie powstać mogła sytuacja, w której specjalnie wytworzony, ogromny przemysł, posługujący się najnowocześniejszymi środkami reklamy i dystrybucji, masowo, wręcz seryjnie, produkuje... bajki.

FALSYFIKAT

Felieton niniejszy poświęcam książce Stefana Themersona „Wykład profesora Mmaa”. Zanim wszelako przejdę do osobistych z tą powieścią porachunków, pragnę metodą psychoanalityczną, jaką stosują już co wybitniejsi nasi krytycy, wyjaśnić wstępnie moją intymną motywację krytyczną. Zaczęło się od tego, że przeczytałem recenzję zjeżdżającą powieść pióra A. Kijowskiego i natychmiast sobie pomyślałem, że książka pewno jest dobra, skoro Kijowski odmawia jej wszelkiej wartości, podsumowując wywód swój słowami, iż „o nic w niej nie chodzi”, albowiem Kijowski jest orłem naszym i patrzeć lubi, kogo by pożarł, przy czym zdarza mu się, że nad tym, czego nie ogarnia, łamie czarne świece. Chciałem tedy napisać recenzję nie tak sobie, ale przeciw Kijowskiemu, i z tym solennym zamiarem kupiłem książkę. Zaczyna się ona wstępem Bertranda Russella. Wstępem zalecającym i niezmiernie pochlebny, bo nadającym jej najwyższą z możliwych, filozoficzną rangę — wydanie jest wspaniałe, papier najszlachetniejszy, jaki ostatnio widziałem, oprawa rozkosznie lśniącą i po plastikowemu śliska, na marginesach przezabawne rysunekzki termitów, rzecz z gatunku groteski–zabawy–satyry na ludzkość; nadzwyczaj to lubię. W miarę jak czytałem, zaczynała mnie z wolna i po kryjomu brać cholera. Społeczeństwo ludzkie przebrane za termity, dobrze — ale jakaż mechaniczność przedstawiania! „Odkucnąć” zamiast „wstać”, „anteny” zamiast „ręce”, „wywachać” zamiast „wypatrzyć” — to dobre w opowiadaniu, ale chwyt ten, z żelaznym rygorem stosowany przez kilkaset stron, to piła zrzędliva! A dalej: termity badają ludzi, gromadzą wiedzę o ludziach, bardzo dobrze, nowy punkt widzenia, ale u Themersona właściwie to bardzo mali ludzie gromadzą wiedzę o bardzo wielkich (fizycznie) ludziach, punktami zaś ciężkości tej wiedzy są — po pierwsze: dezinterpretacje wynikłe z różnic fizjologicznych i biochemicznych (np: ponieważ człowiek dopiero po śmierci przebywa w ziemi, a termity żyją w jej wnętrzu stale, ponieważ dopiero wtedy staje się, z punktu widzenia insektów, „użyteczny” — według termitów jest ta „horyzontalna”, podziemna część bytu ludzkiego szczególnie istotna), po drugie zaś; pewne słoniowacizny naukowej metody, która wyrodnieje np. w niesłychanie subtelnie zmatematyzowane, jałowe obliczania i dociekania przyczynkarskie nad gatunkiem *homo*, podczas kiedy jednocześnie brak uczonym termitom elementarnej wiedzy o faktycznie panujących wśród ludzi stosunkach. Wszystko to ma szalenie krótkie nogi, jest intelektualnie

płytczną, zabawą w podstawianie terminów za terminy („termitarny” zamiast „humanitarny”), słoniowacizny naukowej metody pożerają połowę tekstu, stają się erupcjami jakiejś gargantuicznej pasji, wręcz manii klasyfikatorskiej, jałowej, jak placek upieczony z subtelnie zaczynionego piasku, cała zaś konstrukcja intelektualna owej rzekomej satyry na ludzki rodzaj jest absolutnie stara, bezwzględnie wtórna, pochodna, tradycyjna — i po mozolnym przedzieraniu się przez szpikowane makaroniczną, termicko–ludzką erudycją wywody prof. Mmaa nie dowiadujemy się niczego nowego. Dowcip? Roztrząsania na temat, czy książki ludzkie należy czytać z lewej do prawej czy z prawej do lewej, przechrzczenie Horacego w Coracha, a Russa w Rudzielca i tak dalej — apelują do poczucia humoru, które jest mi zupełnie obce. Gdyby ktoś się zabawił w „przetłumaczenie na ludzki język” tej książki poprzez podstawienie zamiast abdomenów — brzuchów itd., wyszłaby rzecz całkiem banalna, bo właśnie banał intelektualny, filozoficzny, koncepcyjny jest substancją wykładu profesora Mmaa. Wielokrotnie zaczyna się w tej książce coś dziać ciekawego, ale nawet najlepsze fragmenty, w rodzaju wizyty u królowej termitów, czy pachnące makabrą badanie *homo*, schwytanego przez termity do Jamy Milczenia, toną w nieznośnej masie szczegółów pseudoerudycyjnych, przy czym zachodzi osobliwe pomieszanie poetyk — pomysł obnażenia mózgu złapanego człowieka po to, aby wytańcowując na jego zwojach nerwowych pewne obliczone *pas*, zmusić go do działania, do ruchów w postaci automatu w służbie mrówek, jest z *science fiction* rodem, i to makabrycznej, a znów wizyta u królowej termitów oraz pewne nieludzkie dziwności życia wewnątrz termitowego kopca, tam zwłaszcza, gdzie dominuje termitowa „inność” (ale wyłącznie fizjologiczna, nigdy psychiczna) — to obrazy życia niesamowitej społeczności, w pewnym sensie „realistyczne”, za czym naraz mamy „parlamentarne interpelacje”, satyrę na interpelacje w parlamencie angielskim, satyrę swiftowską, ale wtórna, i znów powodzie szczegółików erudycyjnych i nie kończące się wylizania, w których tonie akcja, po czym, na końcu, „przeskok” na stronę ludzką, ostatni rozdział — wszystko to razem nie podoba mi się, nie klei, nudzi, wyszedłem z tej książki zły, rozczarowany, ze szczękami obolałymi od ziewania. Najbardziej zdenerwowała mnie mistyfikacja filozoficzna. Gdzież tam, na Boga, jakaś próba merytorycznej rozprawy, własnymi pisarskimi pociągnięciami naszkicowanej karykatury jakiegokolwiek postawy — karykatury, która poza termitową maską i wszelakimi „antenkami” oraz „substancją skojarzeniową” na miejscu „mózgu” nie byłaby zwyczajnym powtórzeniem tez, aforyzmów, satyr dawniejszych, wręcz tradycyjnych, oczywistych i po banalnemu znanych!? Mamy przed sobą zmuśnięty płód roboty, jak

powiedziałem, mechanicznej i pozbawionej, niestety, polotu, tysięcznego „tłumaczenia” elementów ludzkiego bytowania na byt „termitowy” — nieszczęsny czytelnik czasem się ł uśmiechnie, ale przeważnie brnie z wysiłkiem przez zwały uczoności, a nagrody w rodzaju stwierdzeń, iż u termitów rolę książek w bibliotece pełnią inne termity, odpowiednio wyspecjalizowane, są stanowczo nazbyt skąpe w porównaniu z trudem lektury. No to co z tego, że termity nie poznały się na tym tam morderstwie jednego człowieka przez drugiego (choć w właściwie Detektyw termitów się poznał!)? I co z tego, że istotki bezpłodne, posiadające królowę–rozplodowca, nie mogą nadziwić się ludziom, którzy się rozmnażają w parach? Tego typu klejnoty intelektualne nie zasługują na monumentalną oprawę, jaką daje im dzieło. Fatalność: zamiar mój spalił na panewce, Kijowski miał rację, w tej książce o nic, ale to o nic nie chodzi. To nawet zabawa dobra nie jest, bo zabawa nie nudzi. Bertrand Russell nisko widać ceni literaturę, skoro mniema, że jej rzeczą jest powtarzać w maskaradowym przebraniu stare jak świat oczywistości.

1958

O GENIUSZU ZAPOZNANYM

Co jakiś czas — co lat dwadzieścia albo trzydzieści — nasza krytyka literacka w osobach najtęższych jej przedstawicieli bierze się do przetrząsania i nicowania rodzimej literatury, aby stwierdzić wielkim głosem, że najwybitniejsze nawet nasze dzieła literackie nie dorównują poziomem, wartością dziełom światowym; tę ich mniejszą wartość, tę ich „gorszość” określa się rozmaicie — ostatnio słyszeliśmy zarzut „nieeuropejskości”. Problem, czy tak jest, czy też tak nie jest, tylko z pozoru wydaje się łatwy do rozstrzygnięcia, albowiem przy bliższym rozpatrzeniu wyłania się z niego problem drugi — co to jest dzieło wybitne, arcydzieło, i w jaki sposób można je odróżnić od utworów „przeciętnych”. Ten z kolei problem wiąże mi się z jeszcze może ciekawszym, który, wyrażony jaskrawię, będzie brzmiał tak: czy możliwy jest „geniusz zapoznany”, to znaczy taki, którego współcześni zgoła nie dostrzegli, który utonął w całkowitej niepamięci?

Tak sformułowane zagadnienie jest już całkowicie „pozapolskie” — i wiemy, że się podobne wypadki „zapoznawania geniuszów” nieraz wydarzały, choćby w przypadku wielkiego malarstwa — żeby wymienić jedno tylko nazwisko van Gogha. Od razu należy wyjaśnić, iż chodzi o artystę, który dał określone dzieła, tyle że nikt nie umiał odnaleźć w nich wielkich wartości artystycznych, a nie o tak zwanego „geniusza potencjalnego”, to jest człowieka ponoć nad wszelką miarę utalentowanego, któremu z jakichś powodów natury przypadkowo—okolicznościowej nie było dane dzieł takich stworzyć. Ten drugi winien być włożony między bajki, albowiem geniusza poznaje się wyłącznie po dziełach, a zatem taki artysta, który niczego trwałego po sobie nie zostawił, w naszym rozumowaniu geniuszem być nie może i pytanie o jego „geniusz” przypomina pytanie o to, gdzie jest wiatr, gdy nie wieje.

Przy bliższym zbadaniu rzeczy, w oparciu o fakty z historii sztuki, historii literatury, okazuje się, iż, niestety, dzieło genialne właściwie „staje się nim” z reguły dopiero po pewnym, często dosyć długim czasie, a to w tym sensie, iż jego nowość jest dla współczesnych jak gdyby pancerzem, skorupą, przez którą nie umieją się dostać do jego wybitności, do jego rewelacyjności, a jak by powiedział zapewne Gombrowicz, „genialne dzieło” staje się takim dopiero wtedy, gdy mijający czas i przemijające pokolenia „napompują” je swoim zbiorowym podziwem, zachwytem, gdy obrosnie sumą rozległych przeżyć, wkładanych w obcowaniu z nim

przez rzesze ludzi. Tak więc byłoby dzieło genialne w pewnym sensie owocem działań zbiorowych, którym artysta–twórca daje jedynie początek, stwarzając niejako „ośrodek krystalizacji” społecznych odczuwań, społecznej oceny. Bez takiego powszechnego uznania, a przynajmniej bez uznania szerokiej rzeszy fachowców, ludzi o ćwiczonym smaku, wrażliwych na wartości artystyczne — mowy być nie może o „dziele genialnym”.

Tak też staje się zrozumiałe, iż początkowe zapoznanie wybitności artysty stanowi zjawisko wcale nie nazbyt rzadkie. Mówi obecnie krytyka nasza, że w płytkiej wodzie rodzimej literatury tu i ówdzie otwierały się w ostatnim ćwierćwieczu prawdziwe głębie, na przykład pod postacią książek Witkacego, jednakże myśmy, jako naród, nie nadali im niezbędnego rozgłosu wśród nas samych, nie rozkołysaliśmy ich powszechnością narodowego podziwu do tego stopnia, aby dzieła te narzuciły się obcym, szczególnie Zachodowi. Także obecnie obserwujemy podobne zjawiska, mam tu na myśli chociażby dramat „Ślub”, który w moim przekonaniu bije eksperymentalną sztukę dramatyczną twórców takich jak Ionesco czy Beckett, a mimo to nie doczekał się dotąd ani jednego przekładu na język obcy — chociaż autor tej sztuki przebywa właśnie na Zachodzie...

Paradoksalność sytuacji polega na tym, iż kiedy dzieło Witkacego (to przykład) poczyną wreszcie uzyskiwać rosnącą ilość zwolenników w kraju, kiedy opinia coraz szerszych kół, środowisk artystycznych przyznawać mu zaczyna niepoślednie wartości i kiedy zatem mógłby, teoretycznie, nadejść moment „proponowania” tego utworu zagranicą — czas o tyle posunął się naprzód, w światowej sztuce zaszły takie przemiany, iż to, co nowe było w owym utworze, w pewnej mierze przynajmniej zblakło, a jeżeli nawet nie zblakło, to w każdym razie wyrażone już zostało tam w chórze innych głosów, przez tamtejszych artystów i przestało być prekursorskie, czemu się trudno dziwić, bo przecież od narodzin tego utworu upłynęło ponad ćwierć wieku!

Jest to zresztą — owo zjawisko przesunięcia czasowego mam na myśli — fenomen „typowy”: nowe prądy literackie Zachodu, nowe poetyki, lansowane we Francji, potrzebują z reguły lat co najmniej kilkunastu albo i kilkudziesięciu, aby, dotarłszy do nas, zapłodnić naszych artystów. To opóźnienie czasowe, prawda, poważnie zmniejszyło się w ostatnim okresie; śledząc wszakże historię literatury na przestrzeni XIX i początku XX wieku odnajdujemy je właściwie stale.

Proszę zwrócić uwagę, że ja tu w ogóle nie mówiłem o tych przyczynach ani warunkach, które powodują pewną „gorszość”, „niższość” naszej sztuki wobec sztuki zagranicznej,

wobec najwyższego poziomu literatury światowej, a tylko zastanawiam się nad tym, czy i jakie są szansę dorównania owym szczytom, przy założeniu, iż dzieła nowością równoważne, dzieła bardzo wybitne w Polsce powstają — i dochodzę do przekonania, że nawet w takim wypadku nasze szansę zwrócenia na siebie światowej uwagi rangą artystyczną, nie zaś zbiegiem przyczyn natury geo–polityko–socjalnej, szansę te są dla sztuki polskiej, niestety, minimalne. Powody tego zjawiska tkwią po obu stronach: tam, bo płodne kulturalnie, przez świat za żywe źródła sztuki uznane narody, centra kultury, jak Francja, są w pewnym sensie „autarkiczne”, bardzo opornie przyjmują wszelką nowinkę z zewnątrz, spoza własnego kręgu twórczego — tutaj, bo w grę miesza się „opóźnienie czasowe” uznania dzieła w kraju i trudność powstania dlań wśród mas odbiorców należycie potężnego rezonansu.

Wydaje mi się, iż „prawo niesprawiedliwości” czy też „prawo zapoznawania” utworów szczególnej oryginalności i świeżości jest dalej w pełni rządów. Czy to przypadek, że jedyna w swoim rodzaju sztuka pisarska Leopolda Buczkowskiego pozostaje właściwie w ogóle nie zauważona i wymieniając, jako kontrkandydatury do nagród literackich, nawet słabizny, nikt żadnej książki jego ani razu nie wymienił? Czy to przypadek, że niezwykła całkiem osobowość artystyczna Andrzeja Wróblewskiego zwróciła na siebie uwagę dziełami malarskimi — dopiero po śmierci twórcy? Nie chciałbym przy tym być źle zrozumiany — jako ten, co narodowi czy środowiskom literackim i artystycznym czyni wyrzuty, co narzeka i lamentuje. Tak nie jest. Ja tylko konstatuje pewne fakty o charakterze, jak sądzę, bezspornym; jeżeli ktoś chciałby wyciągnąć z nich wnioski, niechże to sam uczyni.

O MALARSTWIE ABSTRAKCYJNYM

Oglądałem w ostatnich czasach kilka wystaw malarstwa abstrakcyjnego i wyszedłem z nich nie całkiem pewny albo raczej, mówiąc szczerze, całkiem niepewny, co mam o tym kierunku myśleć.

Gdyby próbować przełożenia na język polski słowa „taszyzm”, wypadłoby chyba użyć „plamy” — i „plamizmu”, albowiem obraz taki stanowi płaszczyznę, zorganizowaną plamami i kreskami różnej barwy, natężenia i rysunku — i nic więcej. Nie należę ani do zwolenników taszyzmu, ani do ich przeciwników; ta, krańcowa w pewnym sensie, bo nic przedmiotowego nie obrazująca, gałąź malarstwa, pozostawia mnie chłodnym. Z jednym wyjątkiem, co prawda: oglądałem parę miesięcy temu eksperymentalny, krótki film Kaczyńskiego i Waśkowskiego, film kolorowy pod tytułem „Somnambulicy”, gdzie rozgrywał się — w intencjach realizatorów — „dramat barwy”, która chce stworzyć „własną formę” — i ponosi w tej „walce” klęskę po klęsce. Było to widowisko jedyne w swoim rodzaju, jakieś abstrakcyjne wulkany, jakieś mątwowate rozplawy i koncentracje jaskrawych farb, jakieś pulsujące ogniska kolorów (wszystko zresztą całkowicie nieopisywalne) działały się przez kilka minut na ekranie, wzbudzając w patrzących — i we mnie — silne emocje, wręcz dramatyczne; wyszedłem pokonany i przekonany o tym, iż nie jest to tylko pusta zabawa. Podejrzewam jednak, iż dramatyzm odbioru wywołany był bogactwem skojarzeniowych rezonansów u widza, były tam formy przypominające jakieś niesamowite „grzyby” eksplozji atomowych, były tam drgania, ruchy, rozlewania się, skupiania, które z oddali, niejako przenośnie, nasuwały myśl o zaciekłym, bezustannym zmaganiu — a więc o jakiejś walce, o jakimś dążeniu, a więc o czymś, co pulsuje, zdaje się oddychać, co żyje, jednym słowem — tym, od czego obraz nabierał dynamiki i emocjonalnej treści, był ruch, była ciągła zmiana.

Ale nie o tym chciałem mówić, a powiedziałem tylko dlatego, aby wylegitymować się przeżyciem, wskazującym, że nie jestem przecież całkowicie głuchy i ślepy na sztukę abstrakcyjną, gdyż to odebrałoby mi w ogóle prawo głosu. Co najbardziej mnie w taszyzmie i innych rodzajach abstrakcjonizmu niepokoi — to przypadkowy charakter, akcydentalność tej sztuki. Nie mówiąc już nawet o takich „fenomenach” jak (znane z gazet) malowanie płócien abstrakcyjnych przez jeżdżenie po nich rowerem o posmarowanych farbą oponach — czy o

obrazach mały, której zdjęcie zamieścił w swoim czasie „Przekrój”; muszę wyznać, że dzieła sztuki, powstające przy bardzo znacznej ingerencji przypadku, niczym prawie nie kontrolowanego, budzą we mnie najsilniejszy sprzeciw. Przecież właśnie przemyślenie, najwyższa zbornosc, celowosc wysilku rodziła zawsze, we wszystkich czasach, dzieło sztuki, podczas gdy wcale niezły obraz „taszystowski” można sporządzić, chlapiąc farbą na oślep, a potem składając posmarowane nią karty we dwoje, pociągając po nich palcami i znów je rozklejając. Kiedy się takich „obrazów” sporządzi pół setki (a idzie to bardzo szybko, zapewniam!), można przystąpić do selekcji i z tej pięćdziesiątki zostaną dwa, trzy wcale niegorsze, „taszystowskie” malowidła. I rzecz nie w tym, że one nie są dobre, naprawdę bywają niezłe kolorystycznie i „trzymają się kupy” na płaszczyźnie obrazu; zresztą poprzedzająca selekcja umożliwia wybranie właśnie najlepszych. Rzecz w tym, że wchodzi tu już w grę jakiś automatyzm przypadku, a rola artysty staje się nieomal wtórna, jako tego, który *ex post* wybiera tylko, oddzielając to, co „wyszło”, od tego, co należy usunąć. Są to wręcz jakies „Andrzejki”, wiadomo przecie, że i wosk lany do wody może czasem dać, stygnąc, wcale ciekawe kształty. Czy i te woskowe stalaktyty są dziełem sztuki? Pamiętam znów z innej, dawnej wystawy rzeźby wymodelowane w białym gipsie, w który przed zastygnięciem wpuszczono nieco barwnika, tak że powstały rodzaje barwnych, wieloskrętnych słoików w białej gipsowej masie — wytworzyły one bogatą i ciekawą, przestrzenną ornamentację. Krótki wywiad przekonał mnie, że i w tym dziele lwia część sukcesu zależała od szczęśliwego przypadku, który w warunkach krzepnięcia gipsu i rozmieszania w nim barwnika stworzył taką właśnie, a nie inną konfigurację kolorowych „słoików”. Można powiedzieć, że wprawdzie każdy potrafiłby coś takiego zrobić, ale nie każdy umiałby to, co się uda, odróżnić od tego, co wypadnie całkiem niewydarzone. Jednakże twórca w roli selekjonisty jest doprawdy kimś całkiem innym od twórcy, który świadomym zamierzeniem konstruuje dzieło sztuki. I tu właśnie tkwi jądro wszystkich moich oporów. Można wytoczyć inne także zarzuty: nie mówiąc nawet o wąskim kręgu odbiorców takiej sztuki — zarzucać jej znaczną jednak niesprawdzialność wartości, ogromną zmienność i chwiejność indywidualnych kryteriów odbiorczych, nawet w kręgu wtajemniczonych, fachowców, malarzy, więc ludzi obdarzonych wrażliwym okiem. To już z dziełami literackimi jest dużo, dużo lepiej — w tym po prostu sensie, że utwór wybitny zawsze ogromna większość fachowców jako taki właśnie rozpozna, podczas kiedy z abstrakcyjnym obrazem bardzo może być rozmaicie i niejedna miernota zawdzięcza schronienie u ołtarzy Sztuki akcydentalności i nikłej sprawdzalności osiągniętych rezultatów.

Być może nadejdzie kiedyś czas, w którym maszyny elektroniczne, jakieś supermózgi mechaniczne, będą zdolne tworzyć dzieła, a nawet arcydzieła, od czasu tego jesteśmy jednak dziś jeszcze na pewno dalecy. Inna rzecz natomiast z malowidłami abstrakcyjnymi. Wykres niejednej funkcji nieregularnej czy wręcz skomplikowana bryła obrotowa, czy inny plód matematyki, martwo zrodzony w gąszczu jej formuł, może, przy odpowiednim rzutowaniu na płaszczyznę, dać wielce efektowny „obraz abstrakcyjny” — i to naprawdę „ładny”! No, a już maszynę, która chlapałaby farbą na płótno i wyrabiała w ten sposób tysiące malowideł, wymagających dalszej selekcji — taką maszynę chyba już dzisiaj można by bez trudu zbudować! I tu właśnie widzę główne niebezpieczeństwa tego kierunku, tu — to znaczy u jego źródeł twórczych, a nie w rezultatach, które daje. Chodzę na wystawy malarstwa i będę chodził dalej, nie opuszcza mnie jednak zawsze pewien niepokój, gdy przyglądam się tym abstrakcyjnym płótnom — że jest to niebezpieczna zabawa, w której toku ulegają zamąceniu, osłabieniu, niedookreśleniu kryteria wartościowania, w której element przypadku odgrywa rolę, jakiej odmawiam mu tam, gdzie ma powstać dzieło sztuki. I nie o to oczywiście chodzi, aby malarzom cokolwiek zakazywać, bądź nakazywać — wiemy, że podobne praktyki mają konsekwencje dla rozwoju kultury jak najgorsze — a tylko o to, aby sprawdzalność, aby świadomy zamysł, aby jasna myśl leżała u podstaw aktu twórczego. Może się mylę od początku do końca, może nie mam racji, może przemawia przede mną głos skostnienia, ciasnoty poglądów, brak wyczucia tego, co nowe (jak się to pięknie powiadało). Bardzo być może; ale też ja wypowiedziałem tylko moje zdanie, a raczej — jedną moją wątpliwość.

FIZYKA POLA I POEZJA

Jako pilny czytelnik prasy literackiej zauważyłem ostatnio, że aż dwóch znanych pisarzy — Julian Przyboś i Jan Kott — urzeczonych zostało podanym przez gazety faktem, iż znany fizyk Werner Heisenberg stworzył tak zwaną Jednolitą Teorię Pola. Kott i Przyboś byli pełni entuzjazmu dla tego osiągnięcia — ten pierwszy sugerował nawet, iż takie przemiany powinny się jakoś odbijać w twórczości artystycznej i właściwie to bardzo niedobrze, że tak nie jest. Fatalnie to o mnie świadczy, ale, czytając o tym, mimo woli się uśmiechnąłem, bo mi się przypomniała śliczna historyjka z Kaszkowego Szwejka — jak to tam ktoś mawiał: „czymże jest porucznik rezerwy wobec Nieskończoności Wszechświata!”

Faktycznie — czym jest sztuczka teatralna, dramat albo powieść o różnych ludzkich sprawach wobec Jednolitej Teorii Pola? Niczym. Co więc winni robić literaci? Rzucić swe niedouczone bazgroty i zapisać się, jako wolni słuchacze, na wydział fizyki teoretycznej. Innego wyjścia nie widzę — jeśli bowiem zechcieliby, zapłodnieni wieścią o odkryciu profesora Heisenberga, pisać o Jednolitej Teorii Pola — staną się rzeczy niebezpieczne.

Heisenbergowska Jednolita Teoria Pola nie jest żadnym *novum*. Nie mając na podorzędziu fachowej literatury, nawet wymienić nie będę mógł tych wszystkich, którzy się nad tym zagadnieniem tak i owak, od początku niemal naszego stulecia, biedzili. Byli tam w każdym razie nawet prekursorzy Einsteina w tej dziedzinie, np. profesor Reichenbach, znakomity fizykalista, który usiłował stworzyć taką jednolitą koncepcję w oparciu o geometryzację używanych pojęć, głośne też były wysiłki Einsteina, który zresztą taką właśnie, jednolitą Teorię Pola stworzył. Co jednak z tego wynikło? Jak dotąd — nic. Jest to sprawa, dalibóg, piekielnie skomplikowana i wszelkie jej popularyzowanie prowadzi może do nader zgubnego mętlika. Chodzi o zjednoczenie bardzo odległych od siebie dziedzin, jak „mikrokosmos”, czyli fizyka atomowa i kwantowa, oraz „makrokosmos”, czyli świat zjawisk gwiazdowych, z problemem grawitacji na czele. Chodzi o stworzenie „jednej formuły”, jednego wzoru obejmującego całokształt zjawisk materialnych w tym sensie, żeby się one — wszystkie — dały z tego wzoru wyprowadzić. Rozumie się — matematycznie. Nie jest to płocho zabawa w rodzaju rozwiązywania szachowych końcówek, albowiem, jak poucza nas historia nauki, z tego rodzaju „zabaw” wynikały niejednokrotnie niesłychanie brzemiennie w skutki, nad wyraz realne odkrycia, żeby wymienić

choćby energię atomową. Jednakże obecnie jeszcze o żadnych praktycznych czy chociażby tylko doświadczalnie sprawdzalnych konsekwencjach Jednolitej Teorii Pola mowy nawet nie ma. Cała w ogóle fizyka, szczególnie ta, która zajmuje się zjawiskami atomowymi, znajduje się w wielkim remoncie czy remanencie — powódź nowych odkryć i zjawisk, zalew nie przeczuwanych nawet poprzednio elementarnych cząsteczek podmyły tak, jak się zdawało, solidny fundament „klasycznej” mechaniki kwantowej i doprawdy w tej chwili bardzo jeszcze odlegli są uczeni od nowej, wyższorzędnej syntezy zjawisk. Oczywiście, jako laik, nie śmiem twierdzić, iż Heisenbergowskie równanie pozbawione jest wartości. Można tylko powiedzieć, iż się właśnie nic zdecydowanego o jego wartości orzec jeszcze nie da — i nie wiadomo, jak długo stan ten będzie trwał. Podobnie zresztą i równanie Einsteina nie zostało uznane za niezgodne z rzeczywistością, po prostu dlatego, ponieważ nikt, wraz z samym jego genialnym twórcą, nie potrafił z tego równania wyprowadzić jakichkolwiek tez, które można by sprawdzić czy też obalić w materialnym doświadczeniu. A właśnie tylko takie doświadczenie, wywiedzione dedukcyjnie z nowej formuły, z nowej teorii, decyduje o tym, czy przyjmujemy ją do skarbca naukowych prawd, czy też ją odrzucamy.

Inaczej rzecz się miała np. z teorią względności, zwłaszcza z tą jej częścią, która wprowadziła między innymi fundamentalne pojęcia szybkości światła jako granicznej w całym Wszechświecie, równoważności energii i masy itp. Teoria ta przewidywała nie dający się wyjaśnić innymi sposobami obrót *perihelium* Merkurego oraz ugięcie światła gwiazd podczas przechodzenia w pobliżu wielkich mas grawitujących (jak np. Słońce) — i wszystkie te przepowiednie zostały po pewnym czasie potwierdzone w doświadczeniu.

A zatem pisarze, i w ogóle artyści, nie muszą czuć się nadmiernie zaalarmowani odkryciem profesora Heisenberga. Nie będzie to żadnym bluźnierstwem ani wykroczeniem przeciw nauce, którą wielce szanuję, jeśli powiem, że konsekwencje światopoglądowe, filozoficzne, artystyczne w końcu, wypływające z Równania Jednolitego Pola, są, jak na razie, praktycznie równe zeru.

Chciałbym tylko być dobrze zrozumiany. Nie namawiam, ma się rozumieć, ani nikogo z Kolegów po piórze, ani spośród czytającej Publiczności, do solennego praktykowania ignorancji, przeciwnie — gdybym się mimo to, co napisałem, dowiedział, że J. Kott albo posłuszni jego wezwaniu młodzi prozaicy, bądź lirycy — Magda Leja, Bogdan Drozdowski, Jerzy Harasymowicz — zapisali się na fizykę teoretyczną i studiują pilnie rachunek macierzy i

statystykę Einsteina–Bosego, niezmiernie bym się cieszył. Jednakże uważam, iż nic nie ma niebezpieczniejszego, niż próby zajmowania jakiegokolwiek stanowiska wobec problemów tak paskudnie, po matematycznemu hermetycznych i uwikłanych w rozliczne, nie tylko matematyczne, niejasności, jak właśnie Jednolita Teoria Pola. Można i trzeba o niej dla własnej wiedzy czytać, narażając się naturalnie na niebezpieczeństwo nieświadomego „wdepnięcia” w pisaninę lichych popularyzatorów, którzy sami niewiele rozumieją z tego, o czym piszą (co się, niestety, zdarza), ale niepodobna traktować tego rodzaju propozycji (bo właśnie propozycją taką jest formuła Heisenberga) jako pewnego rodzaju kryteriów artystycznej twórczości czy artystycznego „surowca”, bądź wreszcie kamienia węgielnego współczesnego światopoglądu. Podejrzewam odrobinę, że w epatowaniu samego siebie i innych odkryciami o charakterze tak absolutnie abstrakcyjnym kryje się i snobizmu szczypta, i sporo naiwności, i trochę tego pokrewnego niepokoju szacunku, jaki odczuwamy wobec zjawisk niepojętych, a przez to tajemniczych. Nad to zaś wszystko — to odkrycie przez artystów Heisenberga wyraża mocny dziś bardzo, jak sądzę, głód, dręczące poszukiwanie tej tajemniczej, a wciąż umykającej nam zjawy, której na imię „nowoczesność”. Ale ona nie kryje się, doprawdy, w Jednolitej Teorii Pola...

1958

Z DZIENNIKA KLINICYSTY

Otrzymaliśmy ostatnio dwie cenne pozycje naukowe, z którymi powinny się zapoznać szerokie kręgi. Są to: „Klinika nerwic płciowych” prof. Bilikiewicza oraz „Mur” prof. Sartre’a. Tytuł drugiej książki wprowadzić może w błąd, do czego przyczynia się zamieszczone w tomie pod tą właśnie nazwą, niewątpliwie omyłkowo, opowiadanie literackie, dla którego nie może być przecież miejsca w dziele naukowym, jakim jest publikacja prof. Sartre’a, i dlatego w ramach niniejszego, z natury rzeczy fachowego, przeglądu wstrzymam się od jego omówienia. Należy też żałować, iż pozostałe prace prof. Sartre’a nie zostały opatrzone, czy to przez Autora, czy przez Wydawnictwo, jakimś niewielkim kompendium psychiatrycznym czy przynajmniej słowniczkiem, zawierającym niezbędne dla szerszej publiczności wyjaśnienia. Te jednak drobne usterki nie zmniejszają walorów naukowych prac zamieszczonych w tomie. Już pierwsza pozycja stanowi cenne studium z zakresu kliniki schizofrenii, przy czym rozwinięty przypadek chorobowy w okresie halucynatorycznym z pierwszymi zwiastunami suwu katatonicznego wzbogacony jest jeszcze interesującym przypadkiem rozpoczynającej się folie *en deux* autorów szwajcarskiej szkoły, a chociaż pewne zdziwienie budzić może nadmierna uwaga, poświęcona przez Autora rozmowom osób normalnych i opisowi ich postępowania, kładziemy to na karb jego lekarskiej sumienności. Całość stanowi doskonały casus dla początkującego psychiatry, który z prawdziwą przyjemnością odnajdzie w przedstawionej historii choroby symptomy znane mu tylko z teorii i w ten sposób wesprze swą podręcznikową wiedzę o doświadczenie wybitnego praktyka–klinikisty.

Druga praca to także cenne studium, tym razem z zakresu życia popędowego o podkładzie paranoidalnym z silnymi wtrętami psychopatii, skoptofilii, yoyeryzmu oraz sadyzmu, przy czym dokumentalny charakter podkreślony jest wyborem przedstawieniem zabójstwa, dokonanego w stanie przyćmienia. Szkoda, że ten piękny zespół dementywny pozbawiony jest tabelki zawierającej opis konstytucji fizycznej chorego, przydałyby się też dane odnośnie analizy moczu i krwi, ale być może Wydawnictwo świadomie zrezygnowało z zamieszczania opracowań o charakterze ściślejszym, by nie odstręczać laików od pożytecznej skądinąd lektury.

Praca trzecia w tomie wyróżnia się zaletami świetnej klinicznej obserwacji. Mamy przed sobą stosunkowo rzadki przypadek — połączenie homoseksualizmu kobiecego z psychicznym

obojnactwem, nie dochodzącym wszakże do transwestytyzmu. Wykwitające na podłożu psychostenii i *moral insanity* objawy *frigidity sexualis*, narcyzm, onania oraz specyficzny, ładny przypadek fetyszyzmu (impotent, wzgl. jego część, jako fetysz — rzadkie, godne uwagi!) — wszystko to uraduje każdego psychopatologa, dając też pożyteczną w tym zakresie wiedzę szerokim sferom publiczności. Niepotrzebne są tylko znów zanadto rozwlekłe dialogi, podawane *in extenso*, czego w historii choroby raczej unikamy. Brakiem istotnym jest za to niewiedza o cyklu owulacyjnym chorej. Wzbogacenie pracy o odpowiednią tabelkę przydałoby się w przyszłości bardzo. Trzeba dodać, iż praca ta posiada nie byle jakie walory poznawcze także dla ginekologów, chociaż niecodziennosc przypadku, zaprezentowanego przez prof. Sartre'a, każe wątpić, czy będą oni mieli okazję częstszego spotykania się z tak wybujałym syndromem objawów.

Ostatnia praca zbioru grzeszy także, niestety, pewną rozwlekłością i, co gorsza — musimy to powiedzieć mimo całego szacunku, jaki żyjemy dla klinicznej wiedzy prof. Sartre'a — banalnością. Chodzi po prostu o przypadek pederastii indukowanej u młodego chłopca, nie predestynowanego do tego zboczenia ani przez wpływ domowego otoczenia, ani przez tło czynników dziedzicznych (choć znów znajdujemy, jak poprzednio, luki w anamnezie, dotyczącej czynników wrodzonych!). Chłopiec zostaje zgwałcony przez starszego pisarza, co jest z klinicznego punktu widzenia nieciekawe, tym bardziej że ani gwałciciel nie manifestuje jakichś znamion pedofilii, ani chłopak nie jest masochistą, co byłoby pożądane ze względów natury pedagogicznej (mam na myśli, rzecz jasna, pedagogikę w zakresie studiów psychopatologicznych). Dalsze perypetie chłopca o tyle tylko zasługują na uwagę, iż znamienny jest ukazany przez Autora bieg schorzenia, inwolucja pederastycznych skłonności pod wpływem podjęcia czynności płciowych modo *naturali*. Jednakże i tu Autor zgrzeszył przeciw oszczędności tekstu, jako że opis naturalnych stosunków płciowych nie ma klinicznej wartości. W ogóle autor niniejszego omówienia podejrzewa, iż znakomity klinicysta cierpi wskutek niewyżycia maskowanego pędu do pisania utworów literatury pięknej, wskutek czego, zamiast poświęcić się z właściwą mu pedanterią wyliczaniu samych tylko, istotnych z fachowego punktu widzenia, symptomatów, poniekąd rozprasza się i marnuje swój cenny czas, jak i uwagę czytelnika, zamieszczając pomiędzy wartościowymi naukowo atakami demencji, paranoi, „schubami” schizofrenicznymi, aktami onanii, mordów sadystycznych, voyeryzmu, triolizmu, manii prześladowczej, *folie en deux*, stosunkami lesbijskimi, omamami halucynatorycznymi, etc.

— jałowe lekarsko sceny z ulicy, domu, prowadzenia samochodu itp. W tej mierze wyprzedza go niewątpliwie nasz rodak, prof. Bilikiewicz, którego rzetelność naukowa jest — powiedzmy to wreszcie — większa. Profesor Sartre zdaje się, rzecz niezwykle zgoła u klinicysty takiej miary, próbować epatowania czytelnika prezentowanymi przypadkami chorobowymi, a to przez subtelną sugestię, nie wypowiedzianą *expressis verbis*, jakoby przypadki jego stanowiły jakieś zgoła niezwykle zjawiska, jakąś sumę, apogeum z psychopatologicznego punktu widzenia, co przecież nie jest zgodne z rzeczywistością. O wiele skromniejszy jest jako naukowiec prof. Bilikiewicz, który przypadków *anilinguus* czy sodomii nie wylicza w kontekście sugerującym, jakoby to być miały jakieś zjawiska niesłychane. Zboczenie jest zboczeniem, nauka traktuje je jak każde zjawisko w świecie i nie ma żadnego powodu, dla którego należałoby nadawać mu cechy nadzwyczajności. Recenzent domyśla się, że prof. Sartre'a poniosła tak właściwa Francuzom retoryka i rozumiała u każdego klinicysty chęć przedstawienia przypadków ze swego sanatorium jako całkiem niezwykłych i jedynek w swoim rodzaju, ale też tkwi w tym pewna przesada! Trzeba znać miarę; kroniki medycyny sądowej zawierają wszędzie bogate materiały i nawet pociąg erotyczny do kału, żywiony przez pewnych chorych, nie jest dla lekarza niczym bulwersującym. Podsumowując recenzent pozwala sobie wyrazić opinię, iż prof. Sartre dobrze by zrobił, gdyby wyraźnie rozdzielił swą cenną twórczość na dwa nurty: psychopatologiczno–kliniczny, w ścisłym znaczeniu słowa — oraz literacki.

Wydawnictwu Czytelnik, które fachową pracę psychiatryczno–seksuologiczną wydało w budującym nakładzie 20 000, należy niewątpliwie przyklasnąć. Oczekujemy następnych tomów podobnej serii; przydałyby się m. in. pozycje z zakresu erotyki analnej, jak i chorób wenerycznych.

MÓWI GŁOS W CIEMNOŚCI

„Dżumę” kończyłem z rozczarowaniem, w którym kryła się ulga. Ulga zawodowca, obawiającego się nie tylko zdystansowania przez czołówkę, lecz zupełnego od niej oderwania. Oczekiwałem zakłóceń w odbiorze wielkiej syntezy, spowodowanych naszym anachronizmem. Obsesje ubogiego krewnego. Tymczasem — nic z tego. Ach, więc ten tragizm laicki, ta mgła heroizmu osaczonych, to już wszystko? Miałem spokojną pewność, że wiem więcej, chociaż nie umiem tego napisać. Camusowi z „Dżumy” mogłem zakreslić granice we własnym doświadczeniu, starczyło mi na to terenu, który przeszedłem. Osoby i sceny o rozmytych konturach, w pół drogi między dosłownością a alegorią. Świat, który został stworzony po to, aby przeprowadzić wywód, usamodzielnia się, twórca nie wyzwolił się do końca od jego materii, szczury o okrwawionych mordkach naprawdę wychodzą z podziemi, aby zdechnąć na proscenium. *Genius epidemiae* jest równie wszechobecny, jak strach w tyranii, ale nie jak zdrada. Epidemiologia zajmuje się strategią inwazji z zewnątrz; człowiek nie jest tu odpowiedzialny za całe zło, filozofie moralne nie ścierają się w pełni swego rynsztunku. Dżuma stwarza zbyt małe ciśnienie. Są chorzy, ale są i zdrowi; choroba pęta ciała, nie dusze, te są tak mało zawisłe od jego upadku! Luksus, do którego nie byliśmy przyzwyczajeni. Rozumiem, że pisarzowi była potrzebna wolność, bo bez niej nie ma antycznej tragedii, lecz pozbawieni choć raz podobnej przestrzeni dla manewru czują, że przeszli granice zbytkowej poetyki. Co zaś najgorsze, była chwila, w której zauważyłem, że książka jest dość gruba. To znaczy nużąca. Byłem chłodny przez cały czas. Obnażałem głowę przed żałobnymi pochodami, ale jak przybysz z kraju, w którym odbywa się to trochę inaczej. Marszowa muzyka, żadnych orszaków, pośpiech, pośpiech i rowy z mięsem, a rozpamiętujący swych zmarłych są tam godni zazdrości — stać ich na rozpacz, widać mają jeszcze czas. Oczywiście mówię jak barbarzyńca, powtarzając: „mydło z ludzi, mydło z ludzi”, nie zajdziemy w sztuce daleko. Ale to jest tak: duchy miejsca, czasu, epoki, „esencja istnienia” — istnieją zawsze, unoszą się wszechobecne, przepajają rojowisko ludzkie, jak elektryczność atmosferyczna — niebo, lecz rozrzedzone powszedniością, ospałym tempem wydarzeń, ich bierną pogodą, nie dają się pochwycić, ukonkretnić, i żeby obcować z nimi oko w oko, by się namacalnie zmaterializowały, literatura ucieka aż do gwałtowności, właśnie jak przyroda, stężająca tę jakąś tam niewidzialną elektryczność atmosfery w piorunowych

wyładowaniach burz. Stąd zbrodnie w powieściach Dostojewskiego, brutalność Amerykanów, dlatego muszą w rzeki rosnać powieści mieszczańskie, które takiej kondensacji nie stosują; niedostatek stężenia zastępują rozległością zbadanego obszaru. Gwałtowne sytuacje są więc środkiem do osiągnięcia celu, są właściwie pretekstem; cóż ma wszakże począć sztuka, gdy rzeczywistość wzmacnia gwałtowność nad miarę wszelkiej poetyki — kiedy ciśnienie jej, idąc poza punkt krytyczny materializacji, zgęszczenia losów, nadal rośnie, miażdżąc, rozbijając osobowości na nie poddające się już scałkowaniu elementy? Niektórych opowiadań okupacyjnych Vercorsa wprost czytać nie mogłem; odrzucało mnie od nich. Ten Niemiec, który kocha muzykę, ale jako żołnierz musi itd... Ten bohater ruchu oporu, który u kresu sił zeświłł się w obozie i teraz gryzie go sumienie! No, proszę! Więc gdyby nie pchnął w stronę zagłady tego jednego żywego trupa, współwięźnia, byłby już czysty i spokojny, i mógłby dzieciom przy kawie opowiadać „widziałem, jak się piekło milion ludzi”. W takim razie byłby już w porządku, co? Podziwiam skwapliwość absolucji, ten ogrom dobrych chęci. Niestety, rezultatem jest *katharsis* przeznaczona wyłącznie dla niedoświadczonych. Istnieje nadmiar wiedzy o człowieku, który zmusza artystę do milczenia, przynajmniej w obrębie dotychczasowych poetyk, starych konwencji. „Dżuma”, choć o niebo lepsza, zaleciała mi jakimś zatrzymaniem się na drodze do prawdy — podyktowanym względami artystycznymi. Trzeba było zmniejszyć wybuchowość materiału, by nie obrócił w chaos konstrukcji.

Teraz przeczytałem „Upadek”. Cóż za książka? Zamykając ją, miałoby się ochotę rozbić maszynę do pisania. *In der Beschrnkung zeigt sich erst der Meister*. O, tak. Byłem nie tylko „wzięty”, ale i zaskoczony. Ogarniał mnie małostkowy niepokój, bo w „teorii literatury”, jaką wykoncypowałem na własny użytek, właściwą metodą jest pokazywanie, a nie nazywanie świata, selektywny odbiór faktów, nie pojęć. Odwrót z postawy interpretacyjnej na opisującą, przez słabość, nie przez skromność: jeśli tego nie podźwignę, to nie chcę udawać, że mi się udało. Ale — tak myślałem — odwrót jest pozorny, gdyż opisać świat, to już go wyjaśnić. Treści interpretacyjne winny wypełnić dzieło tylko jak powietrze — zbudowany dom. Bo jeśli się je *explicite* ponazywa, jednoznacznie zdefiniuje, to ledwo historia zrobi krok, całe nasze klasyfikatorstwo, wyroki, wymierzone doraźnie rzeczywistości z pisarskiego wywyższenia, okażą się porzucone przez ewoluujący dalej świat znaczeń, osamotnioną starzyzną, taką właśnie, jak wyługowane z sensu i tylko zabawnie precyzyjne dziewiętnastowieczne definicje atomów. A zatem należy słabować wierność faktom, przemilczając z rozsądku to, co dziś o nich myślimy,

jak je osądzamy. W portrecie gwiazdnych konstelacji, naszkicowanym tysiąc lat temu przez chińskich mędrców, współczesny astronom odczytuje nie obecność smoków, które oni tam widzieli, lecz wybuch Supernowej. Nie wyrzekajmy się naszej wiedzy, lecz ukrywajmy ją poza szańcem, wzniesionym ze zjawisk. To i pewniejsze, i uczciwsze. Nie od razu przeląknęłam się o „mój system”. Przeczytawszy ze trzydzieści stron „Upadku”, pomyślałam: „to spowiedź nowoczesnego Stawrogina, który jest francuskim burżujem, a więc, oczywiście, kulturalnym mecenasem. Podjąć się jej, tak oczyszczając tekst z realiów, tak je lekceważąc, to szaleństwo. Dopowiadać, nazywać, uogólniać, wartościować, wciąż sądzić, ależ on sobie na tym kark skreśli!”

Niedługo zorientowałam się w pomyłce; teoria zatrzęszczała. Przemknęło mi wtedy, że to nie tyle spowiedź Stawrogina, co „Wspomnienia człowieka z lochu”. Podobny temat w innym opracowaniu, bo o co chodzi? No, o rzecz raczej sporą: w ostatecznym rachunku — bohaterem będzie cały gatunek! Na to wygląda. Skomponowane to — tak myślałam — od nowa; kontrpunkt, tonacja, instrumentacja — wszystko inne. Tam — ponura uciecha samoupokorzenia, samobiczowanie takie, żeby razy, padające na własny grzbiet, trafiały otaczających, szczeroci histeryczna, tchórzliwy pośpiech w zdzieraniu zasłon, przenikliwość, która się płaszczy, zjadliwy szept, przechodzący w krzyk. Tu — spokój. Złagodzenie, dojrzałość. Głos równy, w cuglach. Toczy się ten sam proces, ale komplet sędziów elitarny; sama wyrozumiałość, kurtuazja do końca, żadnego fanatyzmu, a prokurator jest poetą, i to jakim! Kanciaste, okrwawiające dłoń kamienie Dostojewskiego odnajdujemy w czystym nurcie Camusa jako miłe dla oka, pozbawione szarpiących krawędzi głązy. Choć ciężar pozostał ten sam. Więc jakże? U Rosjanina — kamienowanie biblijne, u Francuza — absolucja, odpust?

Nie, nie ma rozgrzeszenia. Ale tu muszę się wycofać, bo ważniejszy jest dla mnie od wyroku — przewód sądowy. Wróćmy więc do naszego kodeksu praw, to jest do teorii literatury.

Gdyby była w Polsce uczelnia kształcąca pisarzy (los nam tego oszczędził) i gdyby złośliwy traf uczynił mnie asystentem przy katedrze budowy postaci, myślę, że na egzaminie konkursowym dałbym adeptom takie chyba zadanie: Człowiek niestary, lecz czujący już zmęczenie tuż po przebudzeniu — od pewnego czasu nie doznaje satysfakcji przy zaspokajaniu swych namiętności. Nigdy zresztą nie były to namiętności, raczej zamięłowania, lecz teraz i one pustoszeją, zostają po nich tylko formy zewnętrznego nawyku. Pogardzał otoczeniem zawsze, lecz było mu potrzebne jako trampolina — teraz tylko jako tampon pustki. Zaczyna się zmuszać

do swady, do gry, lecz im żywiej działa, tym bardziej odczuwa pustkę; szuka nowych bodźców. Nie wyeksploatował siebie do końca; w głębi duszy jest okrutny, tam mieszczą się jeszcze pewne rezerwy, ale nie może do nich dotrzeć. Nie rozumie, dlaczego; brak mu konwencjonalnych oporów etycznych, nareszcie dopuszcza się czynu, który, ujawniony, otrzymałby miano podłości; nie będzie ujawniony — to pewne. Sytuacja, która przyniosła momentalne ożywienie, we wspomnieniu budzi niesmak. Żadnych wyrzutów; wszystko letnie. Wszystko zbladło. Żywy pozostał tylko strach przed śmiercią, nieznaną dotąd nowość. Strach przychodzi atakami; poza nim jest nuda. Pewnego wieczoru, w przystępie paniki, która chwyciła go wobec perspektywy powrotu do pustego mieszkania, przysiadła się w kawiarni do człowieka właściwie niemal obcego i nawiązuje byle jaką rozmowę. Tamten nie okazuje zachwyty, spieszy się może gdzieś. Trzeba odejść. Wie o tym, lecz zostaje. Sytuacja puchnie. Czuje, że musi przestać mówić, nie może; mówi, mówi, byle mówić: „Boże, cóż za upokorzenie” — myśli i gada dalej. Nareszcie nie ma w nim już miejsca nawet na refleksje; płaszczy się jak pod prasą. Przez cały czas — „towarzyska rozmowa”.

Otóż zadanie brzmi: należy napisać tylko to, co on mówi. Muszą to być, naturalnie, rzeczy obojętne, neutralna gadanina o gładkiej powierzchni; mimo to trzeba czytającemu zasygnalizować w tej wypowiedzi nakreśloną powyżej formułę postaci. Czyli: nie ujawnić, bo to niemożliwe, ale milcząco dać do zrozumienia, do odczucia, tak, by pozostało wrażenie pustyni za ścianką bardzo cienką, lecz zatrzymującą wzrok; uczucie, że za banalnymi słowami czyha chęć wyznania, intymnego do nieprzyzwoitości; cofa się i znów powraca; zbliża i oddala, lecz do głosu nie dochodzi. To nie wszystko. Kiedy po pewnym czasie mówiący popełni samobójstwo, od tego faktu padnie światło, w którym elementy towarzyskiej konwersacji przegrupują się, nabierając znaczenia zwiastunów klęski. Stanie się zrozumiałe, że wtedy, w kawiarni, ten człowiek był już właściwie bliski podobnej decyzji. Zapewne sam o tym nie wiedział.

Problem wydaje się raczej trudny, ale to właściwie elementarz, cząstka znacznie większych mozołów konstruktorskich pisarza. To tylko jedna nitka osnowy; jeśli się chce zobaczyć, jak „robi się” podobne rzeczy, trzeba sobie zakreślić i przeczytać w „Zbrodni i karze” wypowiedzi, którymi Dostojewski wprowadza Swidrygajłowa.

Czy w naszym zadaniu chodzi o „podtekst?” Niestety, nie jestem pewny znaczenia tego terminu.

Ktoś myśli jedno, a mówi drugie; na papierze utrwalamy tylko to, co powiedział. Reszta

jest do odgadnięcia. Czy to jest podtekst?

Może być jednak podtekst zdania, i sceny, i sytuacji; tekst może być jednoznaczny do końca, a inspirowany przezeń podtekst — nie; to, co do domyślenia, może mieć \Y charakter intelektualno–psychologiczny, emocjonalny, ze wszystkimi możliwymi wariantami; mamy przed sobą problem z dziedziny psychologii postaci (w sensie *Gestaltpsychologie*), to pewne, i równocześnie — teorii informacji. To, co nie wypowiedziane *expressis verbis*, można sygnalizować nie tylko brakiem, luką semantyczną, ale i nadmiarem (to metoda typowa dla Dostojewskiego) określić; jeśli tak jest, to pojęcie podtekstu staje się workiem, do którego można zapakować pięć szóstych całej sztuki pisania. Jeśli się nie mylę, tradycyjnie przyjęło się nazywać najchętniej „podtekstem” te słowa, które służą ukrywaniu (ale znaczącemu) myśli osób działających. W istocie współpraca tak pojmowanego „podtekstu” z tekstem jest długodystansowa, obejmuje właściwie całe dzieło, a tylko wykrywalna jest tym łatwiej, im bardziej rośnie dysproporcja, różnica napięć między sytuacją, budowaną przez wyobraźnię czytającego, a informacją, udzielaną przez tekst. Do im większego wysiłku konstruktorskiego zmusimy czytelnika, tym więcej „nafabrykowaliśmy” podtekstu. Odbiorca bierny to pień; dosłowność wyłączna odbioru, to „niemuzykalność” czytelnika literatury. Dodajmy: literatury dobrej.

Mój kodeks praw pisarskich daje szczególnie wysoką lokatę Amerykanom. Mam na myśli twórców, którzy — rozmaicie zresztą — realizowali w swej sztuce behawioryzm. Jest to rezygnacja z wylewności, ściszenie, kiedy robi się coraz głośniejsze, skąpa ilość małych słów o wielkich sytuacjach, reakcje bohaterów — w przerastających ich sytuacjach — jakby za drobne, jakby nieproporcjonalne, ale rysowane z najwyższą precyzją; ma to dwie konsekwencje. Po pierwsze: odświeżanie waloru znaczeń; powściągliwość tekstu działa na umysł czytelnika jak ciemność na wzrok; wzrasta wrażliwość; dla przygotowanych na krzyk — szept staje się wstrząsem; gwiazdy widać tylko nocą.

Po wtóre — budowanie z faktów raczej, niż ze znaczeń, zdaje się zapewniać trwałość dzieł, poprzez możliwość ponownego ich, odmiennego odczytania, w świetle nowych, późniejszych doświadczeń i teorii. Wspomniałem już o tym.

To są rzeczy znane. Ale — i w tym sęk — szkoła amerykańska nie rezygnuje całkowicie z intelektualizmu, to zresztą niemożliwe; treści intelektualne przekazywane są — by tak rzec — stopniowo, system ontologiczny nie jest w książce dany, ona go dopiero buduje; odbywa się to

głównie poprzez coś, co nazwałbym „pseudoprymitywizmem” wypowiedzi. Oczywiście „pseudo”, bo pisarz musi wiedzieć, dokąd zmierza. Zasadniczo mamy tu jednak przed sobą — w tej chwili myślę głównie o Caldwellu, ale można znaleźć przykłady i u innych — teatr debilów, a przynajmniej ludzi okrutnie przeciętnych, którzy swymi bezwinnymi odruchami, naiwnym przekraczaniem wszelakich Rubikonów wznoszą przed naszymi oczami nie jakiś chaos ubogi, lecz coś podobnego raczej do teorii Einsteina.

Zaczynam mówić ciemno, sam to czuję, spróbujmy się więc wydobyć z tej krasomówczej koleiny. Potrzeba nam konkretnego. Weźmy zatem „Fiestę” Hemingwaya. Jest to nagromadzenie niezbyt pomysłowych rozrywek Amerykanina we Francji, potem w Hiszpanii. Trochę mniejszych i większych pijatyk, jazd autami, wałęsania się paczki ludzi, nic właściwie nie mających sobie do powiedzenia. Z małych takich scenek, z przypadkowości wybór a partnera do łóżka, z niezdecydowania, ze wszystkich przedmiotów akcji wstaje powoli aura nieszczęścia, w którym ludzie bawią się, piją, śpią ze sobą, bez większego ładu i składu. Pozornym źródłem tej aury i pierwszym dnem powieści jest impotencja bohatera, która doprowadza go do tego że w końcu staje się seksualnym pośrednikiem między kobietą, którą kocha, a młodym torreadorem. Ale to tylko pierwsze dno. Aura książki obejmuje także innych, nie cierpiących z powodu seksualnego kalectwa. O co chodzi naprawdę? Chyba o pustkę życia. Impotencja, ukazana dość późno zresztą w książce, jako „pierwsza przyczyna” wielkiej niewygody, „ból istnienia”, jest w gruncie rzeczy tym samym, czym siekiera Raskolnikowa: ośrodkiem krystalizacji, materialnym jądrem orzecha do zgryzienia; ale chodzi o grzech, nie o jego wymienne w gruncie rzeczy jądro.

Tym twardym orzechem jest, naturalnie, pytanie „co robić”. Niedobrze, kiedy odpowiedź na nie jest, by tak rzec, narzucona człowiekowi przez porządek rzeczy. Wtedy życie — to napierająca ściana; wypełnia je wysiłek podtrzymywania samej egzystencji, mrówcza zapobiegliwość, szamotanina z biedą, w przyływach buntu — walka z pętami formowanymi przez siły społeczne; wszystko to rzeczy nieznośne, wyczerpujące, złe, ale tamponujące szczerze czas. Tylko palacze w kotłowni na walczących pancernikach nie odczuwają lęku, bo nazbyt ciężko pracują; jest żar, szufla węgla, otwarty piec, trzeba się zamachnąć, zrobić krok, cisnąć ładunek w głąb, a pilnować się; na tym koniec; jutro będzie pewno tak samo, ale nie mam czasu o tym myśleć, zresztą po co? Żadnej z mąk nie ma się oszczędzonej prócz jednej: swobody wyboru.

Przed innymi ludźmi ściana rozpada się, znika. Otwiera się przychylny obszar; jest

materialna pewność bytu, otwarty, czekający na zużytkowanie czasu, swoboda egzystencji. Już nie się nie musi, wszystko jest tylko możliwe, z jednym wyjątkiem: przymusu powzięcia decyzji. Rozwiera się wielki luz, pustka wolności, zaspokajając zachcianki — to miłe, ale płyną lata; na koniec: gdzie moje nieosiągalne marzenia? Nie, nie, ja nie chcę zaraz mieć, ja chcę tęsknić! Jak to, nie można? Już nie? To zabija.

Wariant pierwszy, według Irzykowskiego: „Życie polega na tym, że nie można żyć”. Wariant drugi: „polega na tym, że nie wiadomo, co z nim począć”.

Walka i pustka — to dwa przeciwległe bieguny świata, zamknięte w literaturze, którą umownie, dla uproszczenia, nazwałem amerykańską.

Więc, jeszcze raz, do znudzenia: jak oni to robią?

Są artyści, którzy potrafią, przy pomocy chusteczki, piłki ping-pongowej, kawałka szminki i swoich pięciu palców odegrać przed nami mikropantomimę, godną nazwy „dramatu istnienia”. Ich surowcem jest tylko to, co dotykalne, widzialne, materia, świat przedmiotów. O świecie znaczeń milczą, ale w sposób szczególny. To, co nie zostało nigdzie nazwane, staje się wszechobecne; filozofia, nie wzywana natarczywie, sama schodzi na scenę.

Amerykanie są rzeczowi. Wydawać by się mogło, że ich celem jest odtworzyć dźwięk szkła, drganie gałek ocznych pijanej, ruch, którym powieki zaciskają się w spazmie rozkoszy, to, co się dzieje, kiedy pocisk trafia ciało; jacyż z nich cierpliwi podpatrywacze! Już wiemy, że nie o to chodzi. To tylko drabina, po której wprowadzają nas do nieba, a raczej piekła wtajemniczenia. Tak z architektoniki rzeczy ciężkich, zwykłych, sprawdzalnych, powstaje przybytek materialny do dna, do końca; wiążą łuki, kładą ostatnie cegły, a gdy robota skończona, gdy oddalają się ci solidni budowniczowie, objawia się naraz sens całości, opłaciło się milczenie przy pracy, kamienie, chmury, drzewa, ciała śpiących kochanków, wszystko się tłumaczy, odzywa — już cały świat mieści się w strukturze budowli, powstałej z tak świadomej rezygnacji artystycznej. To miałem na myśli, mówiąc przedtem, dość niezręcznie, o odgrywanej przez prostaków teorii Einsteina.

Opanowawszy elementy pisarskiego rzemiosła, nie jest szczególnie trudno imitować Amerykanów, i to tak, że czytelnik inteligentny, to znaczy pełen dobrej woli a i szczypty snobizmu, gotów doszukiwać się i „podtekstów”, i nieba autorskiej filozofii, w które powinna prowadzić drabina. Drabina, w samej rzeczy, stoi, widać szczeble, na każdym można nogę postawić, cóż — kiedy nie prowadzi do nikąd.

Lepiej lub gorzej — Amerykanów można naśladować. Camusa z „Upadku” — nie. Groziłoby nie „pół nieszczęścia” — to jest książka „kościół bez Boga”, pozbawiona ducha syntezy, ale czytelna — lecz nieszczęście całe: banał.

Skąd się to bierze? Stąd, że łatwiej jest zbudować kościół, niż wymyślić religię.

Nie wiem, czy to się rzuca w oczy. Mówiliśmy o powściągliwości artystycznej Amerykanów; Camus idzie w niej jeszcze dalej. Nim przystąpił do wywołania „ducha syntezy”, wyrzucił ze swego przybytku wszystkie rzeczy, przedmioty, nawet ludzi, bo mogą rozrzedzić temat główny, nareszcie sam ów przybytek zburzył, tak że nie zostało już nic, tylko ciemność, a w niej jedyny aktor — chociaż nie, bo i on jest niewidzialny — został już tylko człowieczy głos.

Zdaje mi się, że to kres; dalej pójść niepodobna. „Wspomnienia człowieka z lochu” — to spisany monolog; sytuacja, zdawałoby się, zredukowana do bezwzględnego minimum, najwęższa, jaką można sobie wyobrazić. Nieprawdaż? A jednak okazuje się, że jest jeszcze jeden krok: ukazujemy mianowicie nie całą sytuację, a tylko jej część. Jednego rozmówcę. Drugi, pozbawiony samodzielnego bytu, pozostaje za książką. W „podtekście”.

Proszę nie sądzić, że to tylko „odświeżający chwyt formalny”, rzecz można podbudować solidną egzegezą gnozeologiczną.

Summa lojalności pisarskiej: rezygnacja z ostatnich resztek „wszechwiedzy” o wydarzeniach. Skoro świat zawsze oglądany jest czyimiś oczyma, i „po kantowsku”, sam w sobie, przedstawiony być w dziele nie może, to czy nie najuczciwiej jest ograniczyć się do jednego bohatera? Prawda, musi on działać, musi tkwić w jakiejś konkretnej sytuacji, potrzebny jest drugi człowiek, jego obecność określa bohatera, polaryzuje go, ale pokazywać tego drugiego — to już stworzyć fikcyjnego obserwatora, i od razu wpadamy w starą konwencję, już uczyniony jest pierwszy krok w stronę równie wygodnej, co fałszywej wszechwiedzy, której w rzeczywistym świecie nic nie odpowiada. Bo ta konwencja uznaje porzucanie jednego bohatera, żeby się zająć z kolei innym, i niebawem uczestniczy w „przesiadance” introspekcji, coraz to odbywają się „przenosiny” z jednego wnętrza duchowego w drugie. A któż to widział, przeżył? Że to wzbogaca? Czasem, być może, lecz jedna wartość zostaje utracona, i to bezpowrotnie: niepowtarzalności indywidualnego strumienia duchowego. Behawioryści konsekwentni (konsekwentnych do końca właściwie nie ma, ale to sprawa wymagająca rozważań, w których byśmy się teraz zgubili) ograniczają się do opisu faktów zewnętrznych. Ale jest i druga możliwość, mianowicie — przestać istnieć poza bohaterem. Czyli: wcielić się weń tak zupełnie,

żeby powstał szczelnie zamknięty świat, bez żadnej reszty. Zauważcie: istnienie narratora jest w „Upadku” absolutne, wypełnia całe dzieło. Nie słyhać słów tego drugiego, bo przez nie musiałby się zdradzić autor. On jednak tego nie chce. I cóż zostało nam z naszej „teorii literatury”? Chyba tyle: Dostojewski, będąc obecny w dziele, tę swoją obecność zaciera, dając odautorskie oceny wzajemnie sprzeczne, znoszące się; Amerykanie redukują komentarz odautorski do minimum; patronują bohaterom, milcząc; zasadą ich jest rezygnacja z wszechwiedzy pisarskiej, posuwana coraz dalej; np. Faulkner od siebie „nic już nie wie”, stąd potrzeba odszukiwania faktów we wspomnieniach ludzkich, stąd nawroty akcji w pogoni za świadkiem, stąd akcentowana „niepewność zeznań”; nareszcie Camus w „Upadku” znika całkowicie ze sceny — dzięki zupełności wcielenia. Mówi głos w ciemności, nie on.

Warstwa anegdotyczna tej książki jest niesłychanie wątła; sprawa centralna, historyjka o samobójczyni, która skoczyła z mostu, a bohater uciekł, w ten sposób „demaskując się przed sobą” — to tylko pretekst, już całkiem jawny, w znaczeniu, jakie miałem na myśli, mówiąc o impotencji w „Fieście” czy zbrodni Raskolnikowa. Aby reakcja potoczyła się we właściwym kierunku, potrzebny jest nie wielopostaciowy dramat, wielkie wyładowanie, lecz drobiazg, pyłek w strumieniu narracji; decyduje nie ciężar zewnętrzny, nie rozmiary zjawisk, lecz ich waga moralna. Szalę przeważa kropla — gdyż w tym momencie wszystko jest już gotowe, wszystko się dokonało.

Dla pisarza, który wciela się w jedną tylko postać i przemawia z jej wnętrza — ono jest pierwotne, a nie świat otaczający. Mamy więc przed sobą nie fakty, lecz ich nieustające całkowanie — obszarów życia, sfer ludzkich stosunków, ich praw; autor, który interesuje się wyłącznie sobą, staje się niewolnikiem swej biografii; to jednak, co wychodzi pisarzowi na złe, może być dla jego bohatera dobre. Ograniczywszy się tak bezwzględnie, Camus uzyskał wolność.

Wolność — od czego? Od historii. Nie istnieje ona w książce, wypełnionej po brzegi istnieniem jednostkowym; spowiedź, której słuchamy, mogłaby się toczyć niemal bez zmian w XVII czy XVIII wieku. W królestwie psychologicznych powszechników rządzą te same wciąż prawa; ten sam milczący balet biegnie przez scenę, odgrywając teatr, którego widownią jest nicość. Świat Camusa — to pamięć zamknięta szczelnie, jak wszechświat Einsteina, bez wyjścia, bez odwołania, bez nadziei innych wartości, prócz doczesnych, a te, ledwo stając się, już się rozwiewają; to nie ukazywanie czarnej podszewki cnót, nie spowiedź „dziecięcia wieku”, gdyż

był jest bezwieczny; to nie manicheizm, lecz tylko pozór, pozór i daremność; zawsze jest za późno. Ontologia pożarła, unicestwiła socjologię; zawsze ma się kobiety, przyjaciół i zawsze ich się traci; portret ma być zwierciadłem, podsunietym ludzkim twarzom. Cóż się w końcu ostaje? Jakiś bunt, jakiś niepokój gdzieś w głębi; każde doświadczenie wciela się bezopornie w los człowieka jako zdarzenie prawie obojętne, choćby to było zdarzenie najstraszliwsze, z czasów ostatniej wojny; jeśli gra jest przegrana od początku, nie grozi już nic. Od chaosu ratuje już tylko świadomość przegranej: „sędzia–pokutnik”... Oto pierwsze kroki na terenie filozofii Camusa. I tu, w miejscu, w którym należałoby podjąć z nią rozprawę, zawieszam te uwagi — z nadzieją powrócenia do nich w przyszłości.

1957

O DOSTOJEWSKIM NIEPOWŚCIAGLIWIE

Przeczytałem tę książkę dwa razy^{*1}. Za pierwszym pochłonałem ją. Za drugim przestudiowałem powoli. Między obiema lekturami sięgnąłem, by tak rzec, do przeciwległego bieguna — przeczytałem artykuł Tomasza Manna, jedyny, jaki napisał on o Dostojewskim.

Książka jest świetna. Mackiewicz ma tę wyższość nad Mannem, że nie tylko zna epokę, ale czuje ją. Relacjonuje fakty jak ktoś, czyje dzieciństwo upłynęło w aurze dziewiętnastowiecznego caratu. Nadaje to jego narracji piętno bliskości opisywanych wydarzeń. Co chwila jakiś pozornie drobny szczegół ukazuje ciężką, groźną i śmieszną zarazem, do niczego na świecie niepodobną architekturę ludzkich stosunków starej Rosji.

Ta wyższość i siła Mackiewicza staje się niekiedy jego słabością. Gdyby Dostojewski tylko wchłonał ową duszną i zawiłą atmosferę caratu, gdyby stężył ją w sobie do ostatnich granic i dał jej rządzić swoim piórem, nad dziełami jego zawisłaby groźba niezrozumiałości dla obcych. W miarę oddalania się od owych czasów książki jego blakłyby, stając się tylko jakimś *panopticum* groteskowych czy strasznych postaci i zdarzeń, obcych współczesnemu odczuwaniu. Istnieją pisarze, tak nasiąkli aurą kraju, który ich wydał, że poza jego granicami tracą czytelników. Dostojewski, pozostając pisarzem rosyjskim do szpiku kości, przenika swobodnie wszystkie granice i czasy. I tu, paradoksalnie, mimo całą odległość kulturową, bliższy jego zrozumienia staje się Mann, którego specjalnością, jeśli wolno się tak wyrazić, był wielki dystans.

Namiętne kopanie się Mackiewicza w szczegółach, jego tropicielski talent odnajdywania życiowych śladów Dostojewskiego, pasja tworzenia hipotez o pierwowzorach bohaterów powieściowych wielkiego Rosjanina, nieraz tak śmiała, że pochopna, cała ta skrzętna metodyka jego roboty biograficznej, nie cofająca się przed beletryzacją, niezawodna w ukazywaniu splątanej, rozległej dżungli korzeni, które żywiły twórczość tytana prozy rosyjskiej, nie zawsze dociera do szczytów jego pisarstwa.

Aby dać przykład: w tej książce, tak kochającej się w soczystym obrazie, w szczególności znajdziemy uwagi o jednym z najosobliwszych utworów Dostojewskiego, rzeczy stosunkowo niewielkiej, stojącej jak gdyby nieco na osobności, a przecież nad wszelką wątpliwość wybitnej

^{1*} Stanisław Mackiewicz: Dostojewski. PIW, Warszawa 1957, ss. 261.

— choćby przez swą niezwykłą ryzykowność. Mam na myśli „Wspomnienia człowieka z lochu”. W samej rzeczy Mackiewicz zlekceważył po prostu ten utwór, może dlatego, ponieważ jest on właśnie mało „rosyjski”, a może dlatego, że jego najbardziej ważką część pierwszą, stojącą na pograniczu filozoficzno–maniackiej eseistyki raczej, niż wśród obszarów dramatu, stanowią „nagie”, pozbawione bohaterów ludzkich wywody małego, zdeptanego przez życie człowieczka, wypowiadającego przeraźliwe prawdy, którymi po dziś dzień żywi się cała „czarna” literatura świata. Ona jest zawarta w tej małej książeczce, jak drzewo zawiera się w drobnym nasionku. W tej zacieklej, obolałej, z jakąś masochistyczną pasją prowadzonej polemice z wszelkim optymizmem społecznym, z meliorystami każdej maści, używa Dostojewski argumentów, które nie zwietrzały po dziś dzień, przetrwały upadek caratu, odejście w niepamięć całej epoki historycznej, gdyż zostały wizjonersko wycelowane w ów spór ludzki, który, przybierając rozmaite maski w różnych czasach, nigdy nie traci na aktualności, a dziś, w obliczu rozszerzającego się rozziwu między osiągnięciami nauki a wielkim do nich nieprzygotowaniem ludzkości, jest, jak może nigdy jeszcze, aktualny.

I to dziełko Mackiewicz przemilcza. Zagadkę tego przemilczenia wyjaśnia chyba to, co nazwałem jego słabością. Wielką, choć subiektywizmem nacechowaną wiedzą o duchu, miejscu i czasie Mackiewicz przykuł niejako „swego” Dostojewskiego do ziemi rosyjskiej. Nadto — a może wskutek tego — w sposób chwilami uproszczony potraktował kapitalny problem „surowców”, z których korzystał pisarz, a to przy ukazaniu całej galerii rzeczywistych ludzi — prototypów postaci powieściowych. Nie chodzi tu bynajmniej o spór, czy i które z takich hipotez genetycznych są słuszne. Nawet jeśli nie trafiają w sedno, to zawsze wzbogacają naszą wiedzę o tych pełnych sprzeczności ciemnościach, w których żył i działał Dostojewski. Są one cenne jako anegdoty, jako przyczynki biograficzne, jako podpory historiozoficznych koncepcji autora, i o jedno tylko należy się i warto przy badaniu ich sprzeczać, a mianowicie o rolę, jaką „prototypy postaci” odgrywały w inspirowaniu twórczości Dostojewskiego. Aby wypowiedzieć podstawowy zarzut wobec książki Mackiewicza, muszę go wyolbrzymić ponad miarę, a wtedy będzie brzmiał tak: Mackiewicz zanadto zbliżył się do olbrzyma rosyjskiego, nazbyt dokładnie poznał, odkrywał, dotykał w dokumentach powierzchni każdej niemal godziny jego życia, a przez to rozciąga się przed nami ów nieskończony szereg klęsk, szalonych postępów, wstydy, sromotnych, erotycznych upokorzeń, śmieszności, napawających rozpaczą, które składały się na miesiące i lata genialnego twórcy. Sam jego geniusz natomiast jest nie tyle p o k a z y w a n y, co

nazywany, i przez to zdaje się właściwie unosić gdzieś poza książką, która czyni do niego tylko aluzje, gęsto przetykane właśnie hipotezami genetycznymi.

Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie twierdzę, że zadanie, którego podjął się Mackiewicz, mógłby skuteczniej pokonać ktoś inny. Wydaje mi się raczej, że byłoby to przedsięwzięcie daremne. Nic wszakże nie może być rozsądniejszego, jeśli rzecz dotyczy geniusza, to jest człowieka absolutnie niepowtarzalnego, od założonego na wstępie pracy badawczej umiaru, powściągliwości, uświadomienia, że stoimy przed zjawiskiem, którego do końca, w pełni, całkowicie pojąć, ogarnąć, zrozumieć, sekcjonować w przekonaniu, że to jest droga do wnętrza jego tajemnicy — niepodobna. Brak takiej przezorności grozi jeśli nie klęską, to przeinaczającym, skrzywiającym proporcje ześlizgiem w gąszczu spraw drobnych, w dociekliwość, poszukującą wreszcie źródeł procesów twórczych w popędach, ciemnych instynktach, przywarach, jeśli nie w kruchtach i alkowach. Niebezpieczeństwo takiego ześlizgu czyha na najlepszych. Coś podobnego zagrażało Boyowi, gdyż tak samo nie można sprowadzić postaci Mickiewicza do jego stosunku do Towiańskiego, do żony, do Ksawery Deybel, jak nie wolno zakładać, że poznanie wszystkich ludzi i zdarzeń z życia Dostojewskiego zawiedzie nas wprost do źródła, z którego tryskały jego powieści. Nie znaczy to, oczywiście, że istnieje, poza zdarzeniami materialnymi, jakiś niedotykalny „duch geniusza”, a tylko to, co prosto, choć nieszczęśliwie można by nazwać „niesprowadzalnością funkcjonowania geniusza” do takich wydarzeń. Głosiłbym zatem nie agnostycyzm, lecz raczej pewien sceptycyzm umiarkowany: ma się rozumieć, że cały faktograficzny materiał książki Mackiewicza jest niezmiernie cenny (nie mówiąc już o rozkoszy, jaką daje taka lektura), stwierdzenie wszakże, które wypadki, sprawy drobne czy małe, które osoby wywarły określony wpływ na Dostojewskiego, co się tyczy nie kolei jego życia, ale twórczej motywacji jego pisarstwa — takie stwierdzenia bywają nad wszelki wyraz ryzykowne.

Pająki, o których w „Zbrodni i karze” mówi Swidrygajłow w swej wstrząsającej improwizacji na temat „tamtego świata”, wywodzi Mackiewicz wprost z owadziej fauny okolic zesłania Dostojewskiego. Cóż można o tym powiedzieć? Takie konstatacje *ex post* są tym niebezpieczniejsze, że dość łatwe. Mając bogate relacje o życiu twórcy oraz jego dzieło, można szperaczymi sposobami próbować podobnego przyporządkowywania i pasowania realiów. Ta robota badawcza, nie mogąca siłą rzeczy uwzględnić potężnie aktywnej roli umysłu twórcy, jego bezwzględnie — w danym okresie czasu, podczas pracy nad danym dziełem — „wąsko” (tj. ad

usum operis) wybiórczej pracy umysłowej — zagraża popadnięciem w scholastykę i spekulacją. Cóż, w końcu, zależy od tego, czy uznamy całą rodzinę Karamazowych za „rozszczepioną na osoby i głosy” postać samego Dostojewskiego, czy już raczej zdecydujemy, że Dostojewski — to tylko trzech bracia Karamazow, rozpustnik, święty i ateista, stary natomiast Karamazow i epileptyk Smerdiakow już projekcji osobowości Dostojewskiego nie stanowią? Jest to problem i nierozstrzygalny i, co ważniejsza, pozorny, całkiem jałowy.

Rozważania takie, przy całym ich niepospolitym uroku, stwarzają niebezpieczną iluzję, że kiedy uda się nam ukazać i wykryć pierwowzory postaci, będziemy tym samym mogli zajrzeć do wnętrza niesamowitego tygła, w którym się narodziły. Otóż nic bardziej fałszywego.

Aby znów użyć przykładu: prototypem starego Karamazowa ma być ojciec Dostojewskiego. Możliwe, że to prawda. Cała rzecz nie kończy się jednak z takim stwierdzeniem, lecz na dobrą sprawę dopiero rozpoczyna. Jak należy rozumieć przemianę rzeczywistego człowieka w postać powieściową? Mackiewicz zdaje się przypuszczać, że kiedy Dostojewski wystawiał ojcu w listach jak najlepsze świadectwo, kierował się zrozumiałym przywiązaniem, ale siadając do pisania, odrzucał wszelką hipokryzję, choćby i dyktowaną najszlachetniejszymi uczuciami. A przecież Dostojewski mógł stworzyć w powieści podobiznę ojca jako „lubieżnego i sentymentalnego” starca, nie zdając sobie z tego sprawy. Mógł też, w trakcie konstruowania postaci, doznać zniecka olśnienia, rozpoznając w tym powstającym pod jego piórem, rozpustnym potworze — ojca. Takie hipotezy też są zresztą dość prymitywne, bo nie uwzględniają w dostatecznym stopniu owego specyficznego stanu tworzącego umysłu, dla którego wszystko, co zawiera pamięć, wszelkie wspomnienia najstraszniejsze czy najświętsze zostają sprowadzone do swoistego „surowca”, bezwzględnie podporządkowane wewnętrznej architekturze dzieła i pełnią wobec niej rolę elementów służebnych.

Pewien niepokój wzbudziło we mnie sformułowanie Mackiewicza, powiadające, że uznanie Fomy ze „Wsi Stepanczikowo” za Bielińskiego stanowi rozwiązanie zagadki tego utworu. Nie chodzi tu już przecież o prototyp postaci, lecz o problem natury jeszcze bardziej ogólnej, mianowicie o pierwszy impuls wyboru tematycznego, o motywację twórczą. Jakoś ciężko zgodzić mi się z koncepcją, żeby wielki pisarz zasiadł do dzieła z myślą wzięcia odwetu na znieawidzonym człowieku. I nie o to chodzi, żeby motywacja twórczości bić musiała jedynie z „czystych moralnie” źródeł. Nic podobnego. Rzecz w tym, że Foma przedstawia przykład bezzasadnego, alogicznego dominowania jednostki nad grupą ludzi i właściwie tylko to może w

jakiejs mierze przypominać stosunek Bielińskiego do umysłowego środowiska, w którym się ten krytyk obracał, analogia ta jest wszakże tak odległa, że znowu nie do sprawdzenia. Zasadniczo pisarz niechętnie „bierze z życia gotowego człowieka”, bo nacisk znajomej mu, żywej osobowości może wywrzeć destrukcyjny wpływ na jego zamysł, gotów rozsadzić zamierzoną konstrukcję. Normalny tryb sprowadza się do bezlitosnego rozkładania na czynniki, trawienia, analitycznego przyswajania cech osobowości, tak przyjaciół jak wrogów, jednakowo obcych czy najbliższych; z powstającego w tym procesie „surowca” poprzez wtórną niejako reinkarnację w głębi umysłu twórcy, poprzez zadziwiające nieraz tworzenie hybrydów, zgęstków cech bądź ich rozrzedzeń, wyanieleń bądź „udiableń”, powstają bohaterowie utworu. Właśnie ową kombinatoryczną pracę konstruktorską można wspaniale obserwować u Dostojewskiego na materiale tych postaci kobiecych, które są „wariacjami na temat” jego pierwszej żony, jak to wyraźnie ukazuje Mackiewicz. Zbliżając się w tym miejscu do prawdy twórczych metod Dostojewskiego, zdaje się Mackiewicz od niej oddalać, kiedy mówi, że osobliwością Dostojewskiego było czynić z jednej żywej osoby kilka postaci powieściowych. Nie był to bynajmniej jego przywilej ani wynalazek, bo tak postępuje właściwie każdy „liczący się” pisarz, a zresztą, gdy zachodziła potrzeba, miał się sposobu odwrotnego — scalania fragmentów różnych osobowości w kreowanego bohatera.

Jeżeli mówić już o jakiejś „metodzie Dostojewskiego”, to wyróżniać ją zdają się takie cechy: pisarz unika, jak może, uczynienia z wprowadzającej charakterystyki bohatera czegoś w rodzaju „ostatecznej, nadrzędnej formuły charakterologicznej”, tak że, kiedy mówi nawet od siebie, stroni za wszelką cenę od postawy typowej dla dziewiętnastowiecznej prozy „wszechwiedzy autorskiej”, zastępując ją podawaniem mnogich relacji („mówiono, że...”; „chodziły słuchy...”; „jakoby” — oto najprymitywniejsze przykłady), i to kłócących się, nie przystających do siebie, często sprzecznych, pełnych nieudomówień, jaskrawych insynuacji, cząstkowych sprostowań, nawrotów do tego samego motywu w odmiennym ujęciu itp. Jeżeli w matematyce plus i minus znoszą się, dając zero, to w „matematyce powieściowej” obowiązują reguły odmiennie, tak więc przemieszane sądy, na przemian „pozytywne” i „negatywne”, pozostawiają po sobie pewne ślady, tworząc w umyśle czytającego trudny do zdefiniowania „otok emocjonalny”, specyficzną, niepokojącą niejasność, będącą zarazem załączkiem określonego napięcia dynamicznego, które przyczynia się walenie do stworzenia swoistej atmosfery utworów Dostojewskiego, kiedy to, nim jeszcze cokolwiek się stało, aż gęsto jest od

złowieszczy oczekiwania. Tak zainicjowaną „poliwalencyjną” konstrukcję postaci kontynuuje potem pisarz już nie wypowiedziami osób trzecich ani strzępami odległych rzekomo w czasie relacji, lecz ukazwanymi postępami bohatera, układającymi się, jeśli je zestawiać, w szereg cechujący się swoistą „niekonsekwencją” działań, którą należy rozumieć tak, że czyny pozornie nielogiczne, przypadkowe, kłójące się z sobą, po prostu czasem bezsensowne, nabierają przecież spistości i wyrazu na dłuższą metę, w szerszym planie powieściowym, mamy przeto do czynienia z fenomenalnie prowadzonym „orkiestrowaniem” cech, manifestujących się w działaniu, przy czym wszystkie „niekonsekwencje” czynów tej samej postaci podlegają pewnej scalającej nadrzędnej, której po imieniu Dostojewski nigdy nie nazywa, żadnych „wiązących”, „autorskich” kwalifikacji jej nie daje, a jeśli to czyni, to tylko po to, aby po pewnym czasie ze swego stanowiska samemu się znów wycofać czy przenieść na inne, mamy tu zatem przed sobą całe piętra i hierarchie „mystyfikowanych” ocen, służące nie budowaniu jakiegoś chaosu, lecz określonej konstrukcji dynamicznej, to jest osobowości pewnego człowieka. To „mystyfikowanie”, niedopowiadanie, to przemilczanie, stanowiące wręcz określony system konstrukcyjny, świadczy najlepiej o tym, że „gadulstwa” Dostojewskiego niepodobna traktować dosłownie, podobnie jak nie można twierdzić, że ów „pospieszny tok akcji” jego książek ma bezpośrednie źródło w tym, że Dostojewski żył i pracował w wiecznym pośpiechu. Zazwyczaj pośpiech rodzi po prostu niedbałość, persewerowanie figur stylistycznych i fatalne załamania w charakterystykach postaci. Takich nikt się, rzecz prosta, u Dostojewskiego nie dopatrzy. Jeżeli problem rozważyć na płaszczyźnie wyższego rzędu, nie budowy postaci, lecz całego „strumienia akcji”, to przekonamy się, że i w jego budowaniu dominują u Dostojewskiego wytyczne „antyracjonalizmu”. Mackiewicz nad wyraz trafnie uchwycił intuicyjnie tę zasadę, określając ją pyszną metaforą, kiedy zestawia kształt „Braci Karamazow” z cerkwią Wasyla Błazennego. O co chodzi? Fikcja literacka „szeregowego” pisarza cechuje się w zestawieniu z „miazgą rzeczywistości” wyraźnym zagęszczeniem zborności, celowości uczynków, racjonalności ludzkich działań, a w szerszym planie — ujednoznacznieniem i zaakcentowaniem wszelkich „sensów”. Obiekcja, iż owo stężanie „znień”, przedstawianych przez zjawiska otaczającego nas świata, jest nieodjemną cechą wszelkiej w ogóle sztuki, zasługuje na dokładne rozpatrzenie — w żadnym wypadku nie można jej truistycznie zaakceptować. Ludzkość od początku swego świadomego istnienia wkłada, to jest „rzutuje” znaczenia (sensy) w otaczający ją świat, i jest rzeczą godną uwagi, jak olbrzymiego i długotrwałego wysiłku intelektualnego trzeba

jej było dla uświadomienia sobie tego właśnie procesu. Stwierdzenie, że całe mnóstwo faktów i prawd „odkrytych” stanowi tylko wyraz milcząco, nieświadomie przyjętej i upowszechnionej konwencji (umowy), było dziełem fizyków, przyrodników, astronomów dopiero na schyłku XIX wieku. Podobne procesy zachodziły i zachodzą w naukach społecznych. Nie inaczej ma się rzecz ze sztuką — odróżnienie znaczeń, sensów, „wkładanych” w zjawiska, rzutowanych w nie, od ich obiektywnego przebiegu doprowadziło do takich na przykład osiągnięć, jak konstruowanie „strumienia świadomości”, jak behawioryzm w prozie, jak „czarna literatura”. Granicą tych ciągów jest koncepcja „bezsensu” obiektywnego świata, która nie musi bynajmniej oznaczać automatycznego przyjęcia skrajnego agnostycyzmu i pesymizmu. Świat ludzki i pozaludzki jest na pewno „bezsensowny” w tym przynajmniej rozumieniu, że nie jest jedno–jednoznaczny, że przedstawia jak gdyby palimpsest, który, zależnie od dyspozycji intelektualnych i uwarunkowań historyczno–kulturalnych, człowiek może odczytywać na wiele rozmaitych sposobów. Cechą arcydzieł literackich bardzo różnych od siebie, jak np. dzieła Kafki i Dostojewskiego, jest taka konstrukcja obrazów rzeczywistości, która stanowi określony odpowiednik „wieloznaczności”, potencjalnej „poliinterpretacyjności” otaczających nas zjawisk. W niej właśnie, jak sądzę, kryje się zagadka „ponadczasowości” czy raczej odporności na działanie czasu utworów wybitnych. Ponowne, odmienne od dokonanych przez poprzednie pokolenia, odczytanie utworu, warunkujące jego żywotność, umożliwiające jest jego „poliwalencyjnością”. Stworzenie „całkowicie pozaludzkiego”, „absolutnie obiektywnego” obrazu rzeczywistości jest oczywiście niemożliwe, bo każdy proces twórczy zaczyna się od selekcji, a każdy opis zawiera już *implicite* interpretację zjawisk, ale może to być właśnie interpretacja „wielowartościowa”. Dostojewski żywił określone przekonania polityczne i poglądy religijne, ale jako pisarz wiedział, a raczej „czuł”, iż rzeczywistość jest od nich bogatsza, bardziej kapryśna, podporządkowana przypadkowi, i że każdy człowiek może jej nadać taki sens „światopoglądowy”, jaki mu odpowiada (albo raczej: do jakiego go wdrożono). O tym, że się Dostojewskiemu portret tej nieokielzanej mistrzyni wszystkich twórców, jaką jest rzeczywistość, udał, świadczy fakt, że intencjonalna ewangeliczność i zbożnie przypowieściowy charakter „Idioty” czy „Zbrodni i kary” jest, na dobrą sprawę, do odczytania tylko dla tych, którzy są skłonni tak właśnie interpretować świat. Gdyby w jego utworach szlachetna dydaktyka i najwznioślejszą miłością do człowieka inspirowane apostołstwo moralne przeważyło nad „wymierzaniem sprawiedliwości widzialnemu światu”, powstałyby, być może, lektury podnoszące na duchu, ale na pewno nie

arcydzieła. Oczywiście artystyczne sposoby konstruowania dzieła, jakie stosował Dostojewski, nie są jedynie możliwymi gwarantami wielości interpretacji. Innych używał Cervantes, innych Kafka. Rzecz tylko w tym, że postawa jednoznaczności epistemologicznej, właściwa empirycznemu racjonalizmowi, skłonna jest stan aktualny wiedzy (więc świata znaczeń) mimowolnie petryfikować, zamykając drogę antycypowaniu przyszłych, możliwych, odmiennych od współczesnego punktów widzenia, i tutaj artysta przejawia istotną wyższość nad empirykiem. Wiemy przecież dobrze, że obrazy świata, dawane w różnych czasach przez naukę, starzeją się bez porównania szybciej od dzieł sztuki. Gdyśmy już zrobili parę uwag na temat formalnej strony konstruowania obrazu rzeczywistości, warto je może uzupełnić, zastanawiając się nad wypełniającą te formy treścią poznawczą. Zaryzykowałbym uogólniający sąd, że zasadniczo istnieją dwa sposoby interpretowania świata. Nazwę je skrótowo socjologicznym i ontologicznym. Pierwszy wyprowadzi wszelkie treści przeżyciowe z faktu istnienia społeczeństwa. Cierpienia i klęski grup społecznych, systemy filozoficzne, sprzeczności i dysharmonie nękające jednostkę, wszystkie zjawiska, powodowane, jak by się zdawało, ścieraniem się w człowieku „pierwiastka cielesnego” z „duchowym”, „zdrowej normalności” z „chorobliwą nieprzećiętnością” itd., są w tym rozumieniu warunkowane zjawiskami społecznymi jako pochodne życia zbiorowego w określonym ustroju.

Ukazanie zatem przez sztukę zmagania, cierpienia i konfliktów ludzkich, wszystko jedno, czy pełne współczucia, czy gniewnej pogardy lub ironii, behawiorystycznie obiektywne czy skrajnie psychologizyczne, sprowadzić można w tym rozumieniu do krytyki danego typu stosunków międzyludzkich, a więc do krytyki ustrojowej.

Ujęcie drugie, które nazwałem „ontologicznym”, widzi źródła wartości, sprzeczności i konfliktów w samym fakcie „istnienia”. Są one nieodjemną częścią bytu, a określone warunki społeczno–historyczne wpływają na nie tylko o tyle, że nadają im kształty, jak naczynie — wodzie, i stąd bierze się historyczna zmienność ich wyrazu. To drugie ujęcie przedstawia także szeroki wachlarz możliwości od skrajnego biologizmu aż po postawy coraz bardziej sublimowane w racjonalizację, w filozofię (egzystencjalizm).

Przykładem dzieła poczętego w kręgu pierwszej interpretacji wydają mi się „Grona gniewu” Steinbecka, podczas kiedy Caldwellowskie „Poletko Pana Boga” mieści się raczej w obrębie drugiego sposobu interpretacyjnego. „Grona gniewu” stanowią w samej rzeczy krytykę określonych warunków społecznych, doprowadzających ludzi do nieszczęść i groźby zagłady. Te

natomiast konflikty, w których uwięzieni są bohaterowie Caldwell, płyną nie tyle ze sfery panujących stosunków społecznych, co z ich własnej natury — impulsywnej, skazanej na przypadkowość postępowania, na niewolę pod panowaniem „pierwiastka cielesnego”. Rozstrzygnięcie o przynależności do jednego z dwu wymienionych kręgów staje się szczególnie trudne, a nieraz wręcz niemożliwe w odniesieniu do utworów najwybitniejszych, jakie zna literatura światowa — do arcydzieł.

Pewien wysiłek interpretacyjny doprowadzi, powiedzmy, do uznania centralnego problemu „Zbrodni i kary” za zrodzony warunkami społecznymi, ale zabieg ten będzie już daleko trudniejszy wobec „Braci Karamazow” (postać ojca!), jeśli nie całkiem daremny.

W pewnych warunkach dolegliwości nękające człowieka płyną jawnie z przyczyn natury społecznej, w innych na pierwszy plan zdają się wysuwać przyczyny „istnieniowe”, „ontologiczne”. Niewątpliwie zawsze oddziałują tak jedne, jak i drugie. W powieściach Witkacego zarysowuje się stosunek obu tych kręgów interpretacyjnych, który oddałby model, umieszczający krąg socjologiczny, jako węższy, w obrębie ontologicznego, szerszego — na podobieństwo owych zabawek, składających się z umieszczanych jedna w drugiej bab drewnianych. Istnieje wybieg, pozwalający wszelkie zło, wszelkie cierpienie nazwać zrodzonym przez siły społeczne. Jeśli się to zło przejawia, może w odmiennej masce, w nowym ustroju, dość powiedzieć, że i ten ustrój nie jest (jeszcze) doskonały. Po zburzeniu jego kopuły ukazuje się za nią następna — kolejnego systemu, w którym melioryści obiecują rozwianie się cierpień. Gdy i to nie zachodzi, następują przenosiny nadziei w obręb systemu następnego — jeszcze nie wypraktykowanego. Taki *regressus ad infinitum* jest jednak raczej ucieczką od rzeczywistości niż jej poznawaniem. Rzeczywistość przedstawia chyba pomieszanie obu rodzajów zjawisk i podwójną jednocześnie możliwość interpretacji, zachodzi więc swoiste dopełnianie się obu punktów widzenia, które wykluczają się wzajem tylko pozornie. Arcydzieło odzwierciedla zatem i „byt jako taki” i „byt społecznie uwarunkowany”, odbywa się w nim synteza i pogodzenie obu sposobów interpretacji poprzez jednorodne wtopienie w materię utworu czynników o charakterze „zmiennych ustrojowych” i „niezmienników” czy „inwariantów ontologicznych”.

A zatem termin „bezsens rzeczywistości” należy rozumieć jako jej wieloznaczność, mnogość (co najmniej dwoistość) potencjalnej jej interpretacji, a nie jako chaos przemieszanych bezładnie zjawisk. Dostojewski był mistrzem na tym właśnie, największymi trudnościami najeżonym, polu.

Wspomniałem poprzednio o artykule Tomasza Manna. Dał on mu szczególny tytuł: *Dostojewski mit Massen* — „O Dostojewskim z umiarem”. Krążył w nim z dala od olbrzyma rosyjskiego, zamiast mikroskopowych zdjęć wnętrzości jego życia dał widoki jakby z głębi horyzontu, obrazy przymglonego masywu górskiego zamiast geologicznej jego analizy. Z odległości odmiennego kręgu kulturowego najostrzej widział to, co w Dostojewskim ogólnoludzkie — właśnie „ontologiczne” — a zarazem szukał odpowiedników jego postaci i dzieła w kulturze niemieckiej i sądził, że odkrył taki odpowiednik w człowieku nieprzeciętnym, obarczonym chorobą, twórcy własnego poglądu na świat — w Nietzschem. Poza tym Mann z wielką, pełną ostrożności delikatnością dotykał obolałych,— najbardziej drażliwych szczegółów życia Dostojewskiego. Sprawę tak zwaną perwersji seksualnej Dostojewskiego uznał za obsesję myślową. Impetyczny Mackiewicz zrazu też mówi tylko o myśli natrętnej, ale pod koniec książki ni stąd ni zowąd niefrasobliwie przekształca obsesyjną myśl w realny fakt, wypowiadając tonem pewności przekonanie, że Dostojewski zgwałcił za młodu dziewczynkę i dręczyła go pamięć tego występku. Jest to dość charakterystyczny przykład lekkomyślności Mackiewicza, któremu podobna zmiana sądu przydarza się w książce parokrotnie. Trudno ją jednak usprawiedliwić, gdyż dzieło biograficzne w przeciwieństwie do powieści nie powinno liżywać, jako środka artystycznego wyrazu, mistyfikacji...

Przeczytałem to, co napisałem dotąd i zdziwiłem się, bo miałem szczerzy zamiar wyrażenia podziwu dla książki Mackiewicza, a wychodzi na to, że się z nią wciąż spieram. Mackiewicz dał rzecz bardzo własną, niezawisłą od wielu ujęć tradycyjnych, a taka samodzielność kształtowania tematu, nie mającego bodaj równych sobie trudnością, budzi zastrzeżenia i opory, prowokuje do dyskusji. Ale to chyba dobrze w czasach, kiedy literaturze naszej doskwiera tak doskonały brak samodzielnych rozwiązań intelektualnych, przemyślanych, a nie odgrzewanych koncepcji, rozważnych, a nie krzykliwych propozycji artystycznych, ujęć naprawdę własnych, przeżytych i wynoszonych do dojrzałości bez nieznośnego, bezustannego oglądania się na Wschód czy na Zachód. W otchłani, zwiedzanej przez całe pokolenia, zwanej Dostojewskim, wytyczył Mackiewicz swoją książką ścieżki, idące gdzieś na skróty, może nie wszędzie docierające do szczytów, ale świadczące o głębokiej, osobistej, pełnej fascynacji znajomości jej groźnych uroków — i za to należy mu się nasza wdzięczność.

REAKCJE ŁAŃCUCHOWE

DZIESIĘĆ LAT ENERGII ATOMOWEJ

1

Zagadnieniem energii atomowej może się zajmować historyk nauki, przedstawiając rozwój pojęć i narastanie faktów doświadczalnych w laboratoriach; może je badać psycholog, dociekający na tym potężnym przykładzie dróg twórczej myśli ludzkiej, ale także ekonomista, socjolog, inżynier–energetyk czy wreszcie teoretyk sztuki wojskowej. O wpływie tej rozrastającej się gałęzi już nie fizyki, ale przemysłu na dziedzinę swych badań mogliby mówić biologowie, chemicy, lekarze, archeologowie i botanicy — a przecież, gdyby nawet zebrać wszystkie takie, przez specjalistów napisane, prace badawcze, jeszcze nie ogarnęlibyśmy całości tego ogromnego problemu, który stanowi koniec jednej i początek drugiej, nowej epoki ludzkości. Brak takich całościowych opracowań energetyki atomowej jest tym bardziej dotkliwy, że od możliwie pełnego zrozumienia jej wagi przez wszystkich żyjących zależy przyszłość świata. Artykuł mój jest oczywiście tylko pobieżnym szkicem i na każdym kroku odczuwałem brak niezbędnej wszechstronności oraz ograniczenia, płynące z niewiedzy o faktach. Dziedzina wyzwolenia energii jądrowej ukazuje z rzadką wyrazistością wzajemne uwarunkowanie, splątanie i uwikłanie geniuszu ludzkiego z tępotą, a interesów klasowych z naiwnością twórców. Jest to dramatyczny proces przeradzania się wielkiej nadziei w zagrożenie, jakiego nie znała historia. Tak bowiem ułożyły się wypadki, że energetyka atomowa, janusowy patron naszych czasów, ma dwa oblicza: Złotego Wieku — i Barbarzyństwa. Przystępując do rzeczy, warto pamiętać o jednym: że — przy wszystkich swych trudnościach — mechanika atomowa ustępuje zawilocią mechanice stosunków międzyludzkich, a dalszy nasz rozwój zależy od zrozumienia i opanowania obu tych dziedzin.

2

W czwartym dziesiątku lat XX wieku fizycy umieli wywoływać liczne przekształcenia jąder atomowych. Reakcje te, przeprowadzane na niezwykle drobnych ilościach pierwiastków, nie tylko nie wyzwalały energii, ale pochłaniały ją. Jedyne astronomowie znali reakcję atomową, przebiegającą z wyzwoleniem jądrowej energii, mianowicie przemianę wodoru w hel. Była to

hipoteza, wysunięta przez Hansa Bethe. Sądził on, że proces ten stanowi źródło energii słońca i wszystkich gwiazd. Tym oderwanym, niezmiernym zagadnieniem niewielu się zajmowało, a nikt nie myślał nawet w owym czasie o eksperymentalnym sprawdzeniu go w pracowni — sprawa ta nie była nawet tematem powieści fantastycznych...

Na przełomie 1938 roku dwaj fizycy niemieccy Hahn i Strassmann bombardowali odrobinę uranu neutronami. Doświadczenia takie były wówczas w modzie; dokonywało się ich, żeby, wprowadzając do jąder atomów dodatkowe neutrony, uzyskać nowe, cięższe pierwiastki. Hahn i Strassmann wykryli w swym napromieniowanym uranie zamiast pierwiastka cięższego od uranu — lżejszy: bar. Wyniki swe ogłosili, niezdolni do teoretycznego ich wyjaśnienia. Dała je w styczniu 1939 roku Liza Meitner, emigrantka z Niemiec, przebywająca wraz ze swym bratankiem Frischem w kopenhaskim laboratorium słynnego Nielsa Bohra. W artykuli, zamieszczonym w *Nature* wysunęła śmiałą hipotezę, że, być może, Hahn i Strassmann rozszczepili na dwoje jądro uranu. Wieść ta rozeszła się po całym świecie i rychło prowadzone równolegle w Europie i Ameryce badania potwierdziły jej słusność. Niebawem pracujący w USA emigrant z innego państwa faszystowskiego — Enrico Fermi z Włoch — ogłosił teorię, że pękające jądro uranu może stać się źródłem nowych neutronów, które, trafiając do nie naruszonych jąder uranu, powodować będą dalsze rozszczepienia, i że proces taki może przebiegać lawinowo, ogarniając całą bryłę uranu z wyzwoleniem olbrzymiej ilości energii: 200 milionów elektro-nowoltów na każdy pękający atom.

Problem ten omówili po raz pierwszy fizycy na zebraniu w Waszyngtonie, a 29 stycznia *New York Times* opublikował artykuł pod tytułem „Atom uranu wyzwala ogromną energię”.

30 kwietnia tegoż roku to samo pismo ogłosiło wywiad z przebywającym w Ameryce Bohrem, który oświadczył: „Bombardowanie niewielkiej ilości izotopu uranu U 235 powolnymi neutronami wywoła reakcję łańcuchową, to jest wybuch atomowy tak silny, że wyleci w powietrze laboratorium wraz ze wszystkim, co je otacza w promieniu wielu mil”.

Jak z tego widać, podstawowe fakty znane były już w połowie 1939 roku. Fizycy, najlepiej orientujący się w doniosłości odkrycia, własnowolnie narzucili sobie tajemność uzyskiwanych w pracy wyników, by nie przyczynić się do stworzenia przez Trzecią Rzeszę potężnego środka niszczącego. Tak się złożyły wypadki, że byli to niemal wyłącznie Europejczycy, emigranci z państw faszystowskich i ich satelitów: E. Fermi z Włoch, A. Einstein, H. Bethe, Liza Meitner z Niemiec, L. Szilard i E. Teller z Węgier.

Już w marcu 39 roku spróbowali fizycy zainteresować rząd Stanów sprawą uranu. W tym celu zorganizowali spotkanie Fermiego z przedstawicielami departamentu marynarki. Jednakże wojskowi nie wzięli słów uczonych serio i zbyli ich zdawkowymi grzecznościami. Wtedy Szilard i Fermi, szukając człowieka o możliwie wielkim autorytecie, zwrócili się do Einsteina, by napisał list do prezydenta Roosevelta.

Warto zatrzymać się na owym dramatycznym momencie. Niełatwo było zainteresować polityków zagadnieniem uranu. Na poparcie swych przypuszczeń nie mieli uczeni nic poza szeregiem niezrozumiałych wzorów i garścią oderwanych faktów laboratoryjnych. Reakcji łańcuchowej, przebiegającej z wyzwoleniem energii, nikt jeszcze nie obserwował; istniała ona tylko na papierze. Nawet wśród fizyków znajdowali się wątpiący w możliwość jej urzeczywistnienia. Ponadto szło o stworzenie nowego środka niszczącego. Takie zastosowanie odkrytych własności uranu narzuciło się jako pierwsze. Dlaczego? Trudno osądzić — być może spowodował to powszechny stan umysłów na progu nowej wojny. Tak więc na nieznanym świecie środek masowej zagłady miał zwrócić uwagę rządu amerykańskiego Einstein — człowiek, który całym przebiegiem swego życia, wszystkimi wystąpieniami wykazywał, że jest pacyfistą i jak mało czego obawiał się ingerencji rządów i polityków w sprawy nauki. Tylko niezwykle i groźne okoliczności mogły zmusić go do przekreślenia żywionych przekonań. Einstein wiedział, że po raz pierwszy rozszczepiono atom uranu w Niemczech, że znajduje się tam wielu wybitnych fizyków i że rząd Hitlera nie poskąpi niczego, by zdobyć panowanie nad światem. Einstein nie wątpił, że najświetniejsi uczeni niemieccy, tacy jak Werner Heisenberg, całą swoją wiedzę pomogą Hitlerowi w stworzeniu niszczącego środka. Jak mało kto rozumiał, co oznaczałby on w ręku faszystów. Drugiego sierpnia 1939 roku napisał do prezydenta list, zaczynający się od słów: „Pewne nowe prace E. Fermiego i L. Szilarda, które przedstawiono mi w rękopisie, prowadzą mnie do przekonania, że pierwiastek uranu może w najbliższej przyszłości zostać nowym, doniosłym źródłem energii...”

Prezydent odpowiedział niezwłocznie. Powstała rządowa komisja do spraw energii atomowej. Uczeni otrzymali pierwszą dotację w wysokości 6 000 dolarów. Było to niewiele w porównaniu z późniejszymi miliardami. Ale był to też tylko początek.

W 1940 roku fizycy wiedzieli, że w bryłce izotopu uranu U 235 posiadającej dostateczne rozmiary (większe od tzw. krytycznych) rozwinie się łańcuchowa reakcja rozszczepienia jąder z wydzieleniem energii promienistej i cieplnej. Praktyczna realizacja tego zjawiska miała napotkać na ogromne trudności. Uran 235 występuje w zwykłym uranie jako skąpa domieszka w ilości 0,7 procent. Jednym z głównych zadań słynnego *Manhattan Project* było zbudowanie gigantycznych zakładów, oddzielających na skalę przemysłową pożądaną izotop U 235 od zwykłego, niewybuchowego uranu U 238. Trudność leżała w tym, że izotop U 235 własnościami chemicznymi niczym się nie różni od zwykajnego uranu; metoda oddzielania musiała oprzeć się tylko na znikomej różnicy masy atomowej, równej masie trzech atomów wodoru.

Teoretycznie możliwe były cztery metody: dyfuzji cieplnej, gazowej, sposób elektromagnetyczny i centryfugowanie. Rozpoczęto atak na wszystkich czterech frontach; dwie metody okazały się słabsze; do końca wojny pracowano pozostałymi — dyfuzji gazowej i elektromagnetyczną.

Metoda dyfuzji polega na kolejnym przepuszczaniu bardzo trującego i agresywnego chemicznie gazu, sześćfluorku uranu przez porowate przegródki o otworkach średnicy jednej dziesięciomilionowej cala. Po przejściu przez tysiąc przegródek porcja gazu obfituje w czysty niemal uran U 235. Proces ten rozpoczęto na wielką skalę w zakładach *Oakridge*, znanych podczas wojny jako „obiekt X”. Zakłady te stanowiły wtedy największy obiekt przemysłowy świata pod jednym dachem: budynek kształtu litery U, o boku długości jednej mili. Budowę zakończono w roku 1944; wtedy dopiero rozpoczęła się produkcja, to jest oddzielanie izotopu U 235. Mniej więcej w ciągu roku uzyskano kilka kilogramów tego białawosrebrzystego pierwiastka, który posłużył do skonstruowania dwu bomb: pierwsza oświetliła nocnym wybuchem pustynny płaskowyż Alamogordo w czerwcu 1945 roku, druga kilka tygodni później rozbłysła nad Hiroszimą.

Istniała jeszcze druga, niezależna metoda wytwarzania atomowego materiału wybuchowego, znana już w 1940 roku. Na podstawie teorii rozszczepienia jądrowego Bohra–Wheelerera można było sądzić, że zwykły uran U 238 pod wpływem bombardowania neutronami przekształca się w nowy pierwiastek o masie atomowej 239. Pierwiastek ten miał się według teorii zachowywać podobnie jak U 235, to jest miał być tak samo zdolny do reakcji łańcuchowej. Jednakowoż nie było go na świecie i to tak doskonale, że nie miał wtedy nawet nazwy. Nadano mu ją później. Był to pluton. Obecnie wiadomo, że można znacznie łatwiej i szybciej

produkować pluton, aniżeli oddzielać izotop U 235 od U 238. Gdy jednak *Manhattan Project* rozpoczął pracę, nikt takiej wiedzy nie posiadał. Oddzielanie izotopów było wprawdzie przedsięwzięciem nowym, istniała jednak w tej dziedzinie dawniejsza laboratoryjna wiedza: służący do tego samego celu spektrograf mas znany był od dawna. Nikt natomiast nie produkował nigdy na przemysłową skalę nie istniejących pierwiastków i nie wiadomo było, jak ma wyglądać nadające się do tego urządzenie. Uczni — przypominam, że byli to przeważnie emigranci z Europy — zbyt dobrze pamiętali o faszyzmie, by odważyli się zlekceważyć jakąkolwiek szansę stworzenia pierwiastka wyzwalającego energię, choćby to była jedna szansa na milion. Jednym z głównych twórców stosów atomowych, które miały produkować pluton, był Fermi. Drugiego grudnia 1942 roku w strukturze grafitu i uranu uruchomiona została pierwsza na świecie reakcja łańcuchowa o regulowanym przebiegu. Następnie rozpoczęto w Hanford nad rzeką Kolumbią budowę wielkich reaktorów wytwarzających pluton. Problemy techniczne rozwiązywano w czasie samej budowy, a nie, jak to dzieje się zwykle, przez budowanie tzw. zakładów „pilotujących”, to jest drobnych jednostek eksperymentalnych. Prace wstępne, laboratoryjne, często nie były jeszcze ukończone, gdy kładziono już podwaliny pod gmachy przyszłych reaktorów. Uczni obawiali się niemieckich osiągnięć w dziedzinie fizyki uranu do tego stopnia, że niektórzy wysłali swoje rodziny z wielkich miast na prowincję. Sądziło się, że atak atomowy Hitlera (który wciąż mówił o „nowej broni”) może nastąpić każdego dnia. Zakłady w Hanford ruszyły we wrześniu 1944 roku. W sierpniu 1945 wytworzony przez nie pluton eksplodował nad Nagasaki.

Manhattan Project pochłonął dwa miliardy dolarów. Główną rolę odgrywali w nim fizycy, którzy wzięli na siebie pełną odpowiedzialność za całość przedsięwzięcia. Specyficzne okoliczności czasu wojny niezmiernie przyspieszyły rozwój problemu, który w warunkach pokojowych pochłonąłby na pewno dziesiątki lat. Kongres nie mieszał się do niczego, nieświadomy wcale znaczenia prowadzonych prac; wojna zjednoczyła wysiłki wojskowych i uczonych, wielcy przemysłowcy nie bruzdzili. Wszystko to miało się odmienić dopiero po 1945 roku.

Za sprawą fizyków dowództwo amerykańskie podjęło kroki, mające sparaliżować niemiecki „projekt uranowy”. W tym celu zbombardowane zostały norweskie zakłady wytwarzające ciężką wodę, materiał niezbędny do budowy reaktorów. Pośpiech, z jakim Niemcy odbudowali te zakłady, zwiększył tylko niepokój uczonych. Wojska, lądujące na przyczółku

normandzkim w 1944 roku, zaopatrzone w specjalne aparaty do wykrywania radioaktywności, a w ślad za pierwszą linią frontu ruszyła specjalna misja wywiadu naukowego, która miała zbadać postępy niemieckie w dziedzinie produkcji broni atomowej. Jak się okazało, przypuszczenia uczonych i niepokój ich nie były uzasadnione. Hitler nigdy nie liczył na broń atomową; być może nie wiedział nawet o możliwości jej stworzenia.

4

By zrozumieć pouczające i osobliwe koleje prac niemieckich nad energią atomową, trzeba choć z grubsza zaznajomić się ze stanem nauki niemieckiej przed wojną. Partia hitlerowska przeprowadziła około roku 1937 wielką czystkę na uniwersytetach. Ofiarą jej padło czterdzieści procent wykładowców, usuniętych za poglądy „liberalne, reakcyjne, żydowskie i masońskie”. Już przedtem wielu zdolnych fizyków wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych, lecz byłoby fałszywym uproszczeniem twierdzić, że to właśnie ten fakt sparaliżował twórcze możliwości nauki niemieckiej. Więcej szkody przynieśli nowi „uczni”, którzy przejęli opustoszałe katedry. Byli to przeważnie bardzo gorliwi wyznawcy doktryny narodowo–socjalistycznej. Odrzucali oni szkodliwą „fizykę żydowską”, której symbolem była teoria względności, a także cały niemal zawili aparat matematyczny teorii kwantów. Nieliczni pozostali w Niemczech fizycy z prawdziwego zdarzenia, jak von Laue, Weizsaecker czy najwybitniejszy z nich Heisenberg toczyli pyrrusowe walki o prawo wykładania na uniwersytetach potępianej „fizyki żydowskiej”. Bronili jej zresztą wcale nie z pobudek humanistycznych, a tylko dlatego, że pojmowali, jakie skutki da zastąpienie rzetelnej wiedzy systemem nonsensów, który propagował w nauce pod nazwą „aryjskiej fizyki” Lenard i jemu podobni hitlerowcy. Nie miejsce tu na przedstawienie na poły humorystycznych, na poły żalonych sposobów, których imać się musieli obrońcy fizyki teoretycznej w Trzeciej Rzeszy. Odbywały się liczne narady i zebrania z udziałem dygnitarzy partyjnych, mające na celu uzgodnienie mistycznych i mętnych wymogów doktryny z gmachem teoretycznych założeń fizyki.

Ostatecznym wynikiem tych narad był osobliwy stan, w którym elicie fizyków milcząco pozwolono na robienie, co jej się podoba, z tym wszakże, że na salach wykładowych królowała „niemiecka fizyka” Lenarda. W taki sposób odcięty został dopływ nowych sił do fizyki. Gdy wybuchła wojna, już w pierwszym jej okresie wielu młodych naukowców poległo na frontach.

Na tak zwanej *Fuhrersliste*, zawierającej nazwiska cennych osób, zwolnionych od służby w armii, figurowało ponad tysiąc aktorów filmowych, tancerzy, śpiewaków i astrologów, lecz ani jeden uczony.

Fizycy niemieccy w pełni docenili oczywiście odkrycie Hahna i Strassmanna. Już w kwietniu 1939 roku założyli tak zwany *Uranverein* — klub uranowy, który miał zająć się pracą nad nowym, obiecującym zagadnieniem. Dwaj jego członkowie odbyli w lecie 1939 roku podróż po Stanach Zjednoczonych, usiłując wy badać, jak postępują w tej dziedzinie prace fizyków amerykańskich. W owym czasie nic się jednak jeszcze w USA nie robiło; Fermi był nieobecny w Waszyngtonie i łupem niemieckich fizyków stał się tylko wspomniany przez nas wyżej numer *New York Times* z sensacyjnym artykułem.

Gdy po wybuchu wojny *Uranverein* chciał wziąć się do prac na szerszą skalę, uczeni stwierdzili, że zostali uprzedzeni przez konkurentów: na znajdujących się w Niemczech zapasach uranu położył rękę wydział naukowo–ba–dawczy armii, a ściślej mówiąc — jego szef, profesor Erich Schumann. Był to potomek kompozytora tegoż nazwiska, drugorzędny fizyk, który wykładał fizykę wojenną na uniwersytecie berlińskim, a jedyne jego prace naukowe dotyczyły drgania strun fortepianowych. Koledzy nazywali go *Professor der Militarmusik*. Człowiek ten o małej wiedzy i olbrzymich ambicjach (połączenie bardzo częste), wziął się wraz z odpowiadającymi mu poziomem umysłowym kolegami do budowy reaktora atomowego w pracowni pod Berlinem. Wyzwolenie energii jądrowej okazało się jednak problemem trudniejszym od wyjawienia tajemnic strun fortepianowych. Po dwu latach Schumann, nie doszedłszy do żadnych rezultatów, rzucił badania i zajął się kwestiami wojny bakteriologicznej.

Drugim niezależnym od Schumanna amatorem rozwiązania zagadki uranu był niejaki baron von Ardenne, dziwak, przemysłowiec, konstruktor aparatów elektrycznych i pomysłowy eksperymentator, który znał osobiście hitlerowskiego ministra poczt Ohnesorge i z funduszków ministerstwa finansował swoje badania. Przez jakiś czas był ten osobliwy człowiek kimś w rodzaju rzeczoznawcy rządowego do spraw energii jądrowej.

Gdy w roku 1942 okazało się, że wojna nie zmierza ku zwycięskiemu końcowi, a kłęski na froncie wojny podwodnej i powietrznej, związane z ukazaniem się na polach bitew radaru, zwróciły w dotkliwy sposób uwagę rządu hitlerowskiego na konieczność popierania badań naukowych, sytuacja klubu uranowego uległa pewnej poprawie. Klubem począł się opiekować prezes biura miar w Ministerstwie Oświaty, Esau. O tym, jak dobrze orientował się w wadze

zagadnienia, świadczy fakt, że w sprawozdaniach do swych zwierzchników przed wynikami fizyków umieszczał na pierwszym miejscu wyniki pracy swego biura.

W takiej sytuacji fizycy, mimo że zaopatrywani lepiej w niezbędne materiały, skazani byli wyłącznie na siebie. I wśród nich nie działa się zresztą dobrze. Mózgiem projektu był Werner Heisenberg, cieszący się u kolegów wielkim autorytetem — tak wielkim, że uważano go za nieomylnego. To wprowadzenie zasady wozostwa do pracy naukowej dało oplakane rezultaty. W 1942 roku uczeni doszli do przekonania, że muszą uzyskać poważniejsze poparcie rządu. By go zainteresować swoją pracą, zorganizowali specjalne posiedzenie, na którym najświetniejsi fizycy z klubu uranowego wygłosić mieli referaty o wojennych możliwościach zastosowania energii uranu. Z zaproszonych dygnitarzy — byli nimi zastępca Hitlera Borni ann, Goering, Speer, admirał Doenitz i szef sztabu Keitel — nie zjawił się ani jeden.

Dopiero z końcem wojny rosnące zainteresowanie Hitlera „nową bronią” zaraziło jego otoczenie do tego stopnia, że klubem uranowym zajął się sam minister Speer. Warunki pracy fizyków nieco się poprawiły. Było ich jednak dalej niewielu — liczba zajętych projektem nie dochodziła stu — tak że do dnia klęski nie zdołali zbudować najmniejszego nawet stosu, w którym biegłaby reakcja łańcuchowa. Co prawda byli już bliscy tego celu; można przypuszczać, że udałoby im się to w ciągu 1945 roku, gdyby nie upadek Trzeciej Rzeszy. Naturalnie od uruchomienia stosu do wytworzenia bomby było bardzo daleko. Zresztą Niemcy nie myśleli o bombie w rozumieniu amerykańskim. Stan ich wiedzy w chwili zakończenia działań wojennych był taki: wiedzieli, że można zbudować bombę z czystego U 235, lecz separację tego izotopu z rudy uranowej uważali za niewykonalną. O użyciu zaś do bomby atomowej plutonu nigdy nie myśleli: cała idea „niemieckiej bomby atomowej” — tak ją sobie przedstawiał „mózg” projektu, Heisenberg — sprowadzała się do budowy stosu atomowego, w którym reakcja rozszczepiania miała iść coraz prędzej, aż do eksplozji. Miał to być więc właściwie wybuchowy stos atomowy, a nie bomba. I można przewidzieć, że jego moc byłaby zupełnie znikoma w porównaniu z mocą właściwej bomby.

Warto zwrócić uwagę na to, że był w Niemczech pewien młody fizyk, Fritz Houtermans, który najbliżej doszedł do myśli o produkowaniu plutonu. Jeszcze w 1941 roku napisał on w tajnym raporcie, że w stosie atomowym można będzie wytworzyć pierwiastek cięższy od uranu, posiadający takie same własności wybuchowe co izotop U 235, i że pierwiastek ów będzie można wydobyć ze stosu sposobem chemicznym. Jednakże tezy Houtermansa nie pokrywały się z

twierdzeniami Heisenberga — nie należał on też do stojących najbliżej „wodza” fizyków z *Uranverein* — i poszły w zapomnienie.

Z nikłymi wynikami fizyków niemieckich kontrastuje zdumiewająco niesłychanie pewny siebie ton wszystkich ich wewnętrznych referatów oraz raportów do zwierzchników (pod koniec wojny był nim *der Beauftragte des Reichsmarschalls für die Kernphysik*), w których stwierdzają, że osiągnięcia aliantów na polu fizyki jądrowej muszą pozostawać w tyle za ich własnymi. To przekonanie zburzył dopiero wybuch bomby nad Hiroszimą.

Kończąc ten zwięzły przegląd biegu prac niemieckich nad uranem, trzeba oddać sprawiedliwość wodzom III Rzeszy: nie wszystkie gałęzie nauki traktowali oni tak po macoszemu jak fizykę teoretyczną. Niech za dowód posłuży list kierownika Akademii Nauk, założonej w roku 1935 przez Himmlera. W liście tym, datowanym w 1943 roku, uczony esesowiec pisze:

Droga panno Piff!!

Ostatnio ukazała się w prasie wiadomość, że w Ribe w Jutlandii żyje stara kobieta, posiadająca znajomość wycinania runów sposobem Wikingów.

Reichsführer SS (Himmler) życzy sobie, byśmy posłali natychmiast współpracownika do Jutlandii do tej starej kobiety, by poznać owe sposoby wycinania runów.

Heil Hitler!

Siewers

O północy 31 grudnia 1946 słynny *Manhattan Project* zakończył swe istnienie, przechodząc spod władzy wojskowych pod zarząd Komisji Energii Atomowej, wyłonionej przez Kongres. Pracom Komisji miał więc patronować parlament Stanów. Tę zasadniczą zmianę opiekuna wojskowego na cywilnego wywalczyli w dużej mierze uczeni, którzy brali udział w produkcji bomb. Ogarnięci entuzjazmem dla swego zwycięstwa, ożywieni najszlachetniejszymi zamiarami, chcieli odegrać doniosłą rolę w życiu ekonomicznym i politycznym nie tylko Stanów Zjednoczonych, ale całego świata. Ameryka kipiała od najbardziej optymistycznych wiadomości o rychłym zastosowaniu atomów do produkcji elektryczności, radio i prasa pełne były wywiadów

z fizykami, można było widzieć wszędzie: w kinie, w programach telewizyjnych, na fotografiach, jak uczeni konferują z siwowłosymi senatorami w Kapitolu. Rychło jednak okazało się, że optymizm nie był usprawiedliwiony. Uczeni chcieli, by produkcja bomb zeszła na drugi plan wobec wielkiego programu badawczego. Reaktory czasu wojny były w ich rozumieniu tylko koniecznym prowizorium; należało przystąpić do gruntownego opracowania nowych typów, z których w końcu wyłonić się miał doskonały reaktor — źródło energii. Zamiast tego budowano po prostu według starych planów coraz nowe jednostki wytwarzające pluton do bomb.

Komisja Energii Atomowej atakowana było równocześnie z wielu stron. Główny ogień kierowały na nią czynniki wojskowe — generałowie i admirałowie, odsunięci od bezpośredniego nadzoru nad postępami prac atomowych. Ale także w Kongresie niemało było ludzi, zainteresowanych już to w zmianach personalnych na stanowiskach przewodniczącego Komisji i jego doradców, już to w samym programie prac, który przewidywał ogromne, miliardów dolarów sięgające zamówienia dla prywatnych firm. W takiej sytuacji Komisja starała się działać możliwie ostrożnie. Mimo to dość było materiału dla najrozmaitszych łowców sensacji i szukających sławy gazetowej kongresmanów. Przez cały rok ciągnęła się skandaliczna afera, zainicjowana przez senatora Hickenloopera. Szło o kilkugramową grudkę uranu bez jakiegokolwiek znaczenia, która zawieruszyła się w jednym z podległych Komisji laboratoriów. Akta przesłuchiwań osiągnęły niesamowite rozmiary; sprawa ta dała początek rosnącej opiece Federalnego Biura Śledczego nad pracami atomowymi. Rozpoczęły się badania prawomyślności uczonych, oskarżanie Komisji o marnowanie funduszy, o niedostateczne przyspieszenie robót nad nowymi zakładami produkcji bomb atomowych. Wszystko to spowodowało odejście od Komisji i jej laboratoriów szeregu wybitnych uczonych. Ci, którzy nie odeszli, coraz bardziej ograniczani byli w inicjatywie twórczej i zepchnięci zostali na koniec do roli wykonawców kolejnych ulepszeń. O wielkich planach przebudowy energetycznej kraju nie było już mowy — szło o oszczędniejszą budowę samych bomb. Stosy o łącznej mocy przeszło miliona kilowatów, produkujące pluton w Hanford, ciepłem swym ogrzewały tylko chłodne wody Kolumbii. Przez sześć lat od zakończenia wojny nie zbudowano dla celów badawczych w dziedzinie energetyki ani jednego nowego reaktora. W taki sposób prace szły w kierunku rutyniarstwa, kosztowności, ograniczono się do wyzyskiwania tego, co badawcza myśl uczonych stworzyła w czasie względnej swobody — podczas wojny. Fakty te stoją w sprzeczności z publikacjami dorocznie ogłaszanymi przez Komisję. Nic w tym dziwnego, gdyż usiłowała ona wykazać się możliwie

szeroką i pełną sukcesów działalnością. Prawda jednak — znamy ją z wypowiedzi uczonych, którzy kolejno opuszczali zakłady Komisji, jak Wigner czy Lapp — wyglądała całkiem inaczej. Jedną z podstawowych tez, lansowanych przez Komisję i jej podwładnych, była nierentowność energetyki atomowej oraz nadmierne ryzyko związane z budową siłowni atomowych. Gdy jednak w 1949 roku w głowach wojskowych z wydziału wojny podwodnej departamentu marynarki zaświtała myśl o łodzi podwodnej poruszanej silnikiem atomowym, okazało się, że odpowiednie silniki można zbudować w niedługim stosunkowo czasie. Uczni próbowali tłumaczyć, że pierwszej należy budować rozmaite lądowe prototypy silników, i że obserwacja ich pracy da materiały do późniejszej budowy silników dla jednostek ruchomych, jak okręty czy łodzie podwodne. Ale nie brano tych niewątpliwie rozsądnych tez pod uwagę. Program budowy reaktora dla łodzi podwodnej opracowano w pośpiechu, jako że odpowiadał woli departamentu marynarki. Jak widzimy, ilekroć ukazywała się na horyzoncie możliwość wojennego zastosowania jakiegokolwiek gałęzi badań atomowych, otwierały się od razu realne możliwości i znajdowały się fundusze. Uczni proponowali, by zająć się budową takiej chociażby ilości elektrowni atomowych, która uczyni cały program budowy reaktorów i bomb samowystarczalnym pod względem poboru mocy elektrycznej. Ale nawet na budowę siłowni atomowych dla zaspokojenia własnych potrzeb nie przystano. Mimo że Stany odczuwały rosnący niedobór mocy, w roku 1950 uchwalono budowę nowych zakładów wytwarzających bomby; zakłady te miały pochłaniać prawie milion kilowatów energii. Kapitałny program reaktora „powielającego” tj. przekształcającego zwykły uran U 238 w pluton, ruszył na dobre z miejsca dopiero, kiedy wyjaśniono odpowiednim osobom, że ma to znaczenie wojenne.

W miarę jak rosła *atomie stockpile* — zasoby bomb atomowych — pojawiały się nowe ich modele; bomba złożona z wielu segmentów, wstrzeliwanych ku środkowi szeregiem ładunków wybuchowych („implozyjna”), bomba taktyczna, pociski atomowe. Na koniec w 1949 r. rozpoczęto pierwsze prace nad wytworzeniem bomby wodorowej — w oparciu o wspomnianą na wstępie reakcję Bethego. Prace te uwieńczyła eksplozja 1954 roku, kiedy to na Pacyfiku zajaśniała „momentalna gwiazda” o temperaturze wielu milionów stopni Celsjusza.

W czasie wstępnych prac nad „wodorówką” zaszedł znamienny fakt: jeden z twórców bomby atomowej, konstruktor mechanizmu wybuchowego, dr R. Oppenheimer, nauczony doświadczeniami ubiegłych lat, sprzeciwił się projektowi wodorowemu. Opozycja jego trwała z górą dwa lata i zakończyła się usunięciem go ze wszystkich stanowisk w Komisji Energii

Atomowej. Prześledzenie całokształtu podziemnych walk, utarczek między Kongresem a finansistami, nagonek na Komisję Energii Atomowej, sporów personalnych i wszelkiego rodzaju intryg, kształtujących rozwój programu atomowego w USA, przekracza oczywiście znacznie możliwości tego artykułu. Zadowolimy się stwierdzeniem kilku wyraźnych prawidłowości, jakie zarysowały się na przestrzeni lat w pracach atomowych Ameryki.

Pierwszym zjawiskiem godnym uwagi jest coś, co można by nazwać postępującą degeneracją tajności badań.

Tajność, jaką narzucili sobie dobrowolnie fizycy w latach wojny, tłumaczyła się chęcią utrzymania tajemnicy przed państwami faszystowskimi. Tajność tę wbrew woli wielu uczonych utrzymano i po wojnie. Opieka nad atomami przeszła przy tym z rąk uczonych w ręce „fachowców” z FBI. Przyniosła ona nie tylko spowolnienie badań, ale, co gorsza, udaremniła jakąkolwiek publiczną krytykę niewłaściwych posunięć i błędów Komisji Energii Atomowej przez opinię publiczną. Takie decydujące o przyszłości Ameryki postanowienia, jak na przykład praca nad bombą wodorową, zapadają za kulisami, bez pytania o zdanie narodu, a także bez informowania chociażby Kongresu. Co prawda Truman ogłosił w sprawie bomby wodorowej orędzie do narodu, lecz był to tylko dosyć rozpaczliwy manewr, mający na celu „uratować twarz” rządu, na kilka bowiem dni przedtem senator Johnson w audycji radiowej najspokojniej wypaplał cały sekret przed mikrofonem. Ponieważ tajemnica była zdradzona, prezydent uznał za właściwe odegrać wzruszający akt „szczeroci wobec milionowych mas wyborców”.

Po roku 1949, kiedy było już jasne, że ZSRR posiadał tajemnicę produkcji energii atomowej, tajność badań stała się bezużyteczna — jeśli nie w odniesieniu do wszystkich ich aspektów, to na pewno w zakresie chociażby danych o krytycznej masie uranu. Produkcję energii, muszą przecież fizycy radzieccy doskonale dane te znać. Tajność więc stała się celem samym w sobie, a jej możliwie doskonałe zachowanie — miernikiem lojalności obywatelskiej, bez względu na szkody, jakie może to przynieść rozwojowi nauki, a nawet doskonaleniu bomb atomowych...’

Drugim zjawiskiem jest decydujący wpływ rozwoju broni atomowej na politykę Stanów, liznąwszy, że celem jego jest wyprodukowanie możliwie wielkiej ilości jak najpotężniejszych bomb, rząd Stanów sam sobie narzucił nieustający „wyścig atomowy”, którego nonsensowność już dawno stała się oczywista. Ci fizycy, którzy z Oppenheimerem na czele sprzeciwiali się produkcji bomb wodorowych, postępowali tak nie tyle z pobudek humanitarnych, co dlatego, że

według ich opinii — na pewno nie dyletanckiej! — USA przedstawiają dla bombardowania wodorowego cel znacznie podatniejszy od Związku Radzieckiego. Ostatnio produkowane bomby miały już moc efektywną równą tysiącowi bomb „normalnych” typu Nagasaki. Dla bomb silniejszych nie ma już po prostu — z punktu widzenia strategicznego — żadnych celów na kuli ziemskiej. Mimo to przystąpiono do ich produkcji. Jest to niewątpliwie krok tyleż pozbawiony racjonalnych przesłanek, co rozpaczliwy, a wypływający po prostu z negowania rzeczywistości, z niechęci przyznania, że obrana droga budowy „coraz większych bomb” nie prowadzi do żadnych pozytywnych rezultatów w polityce światowej.

Ostatnim wreszcie, godnym uwagi zjawiskiem jest zmieniający się w ciągu minionych lat stosunek Kongresu, polityków i wojskowych do uczonych. Nieustanne oskarżenia o nielojalność, przymus podpisywania rozmaitych wiernopoddańczych deklaracji, odmowa wydawania wiz zagranicznych, niedopuszczanie uczonych do udziału w zjazdach zagranicznych — wszystko to uczyniło pozycję uczonego niezbyt godną pozazdroszczenia. Dlatego daje się odczuć odpływ najzdolniejszych młodych sił od dyscyplin ścisłych, a zwłaszcza od fizyki; zjawisko to występujące, jak dotąd, w sposób nikły, może się z czasem spotęgować, przynosząc nieobliczalne szkody dla prawdziwej nauki.

Wymienione zjawiska: przerodzenie się tajności badań ze środka w cel, kurczowo podtrzymywany mit „cudownej broni” oraz pogarszająca się sytuacja uczonych stanowią — w dziedzinie atomowej — objawy postępującej faszyzacji życia społecznego. W nadchodzących latach faszyzacja ta poprowadzi nie tylko do dalszego ograniczania swobód obywatelskich, ale — co nas w tej chwili najbardziej interesuje — do obniżenia poziomu pracy naukowej. Przyszłość ujrzy nowe, nieustające odkrycia — ale na pewno nie narodzą się one w zespołach naukowych rzemieślników, trzymanyh w korbach żelaznymi nakazami tajności i militarnej dyscypliny. Przykład losów nauki niemieckiej w dwunastoleciu hitlerowskiego panowania niejednego może w tej dziedzinie nauczyć.

6

Po wojnie, gdy rozwiła się częściowo tajemnica osłaniająca *Manhattan Project*, prasa światowa nie szczędziła pochwał amerykańskiemu geniuszowi technicznemu. Jakich jednak superlatywów trzeba dla właściwej oceny osiągnięć Związku Radzieckiego, który w ciągu kilku

lat nie tylko dogonił Stany Zjednoczone w produkcji broni jądrowej, ale nawet je wyprzedził — w dziedzinie pokojowego wytwarzania energii atomowej? Niefachowcowi trudno ocenić potęgę przemysłowo–techniczną, jaka kryje się za prostym stwierdzeniem, że w parę lat po rozpoczęciu pierwszych prac Związek Radziecki może eksportować stosy atomowe o mocy pięciu tysięcy kilowatów. Amerykanie podkreślali wielokrotnie, że zagadnienie użycia energii atomowej do celów wojennych rozwiązaali sami; otóż jest to nieprawda nie tylko dlatego, że, jak wskazaliśmy wyżej, pierwsi podjęli prace nad uranem uczeni z Europy, ale także dlatego, że, w trakcie postępowania prac, całe zespoły fizyków angielskich wyjeżdżały podczas wojny do USA, aby brać w nich udział. W zespołach tych znajdowali się najznakomitsi fizycy Wielkiej Brytanii, tacy jak Oliphant czy Peierls.

Nie chodzi tu o wykazanie dominującej roli Europejczyków, ale o wyjaśnienie, że energetyka atomowa jest dziedziną zbyt wielką, by mogły ją ogarnąć najgenialniejsze nawet jednostki; posuwać naprzód może ją tylko praca wielkich zespołów. Dość powiedzieć, że samo zagadnienie budowy reaktorów wymaga współdziałania setek rozmaitych specjalistów. Przystępując do dzieła, Amerykanie dysponowali czołówką fizyki światowej, olbrzymimi elektrowniami i przemysłem, który nie znał szkód wojennych, oraz zapasami najlepszej rudy uranowej obu Ameryk i Afryki. Uczeni radzieccy rozpoczęli analogiczne prace w kraju straszliwie zniszczonym wojną, bez jakiegokolwiek pomocy obcych, i prowadzili je w czasie, kiedy ich kraj dźwigał się z ruin. Odbudowa pochłaniała miliony ton stali, miliony metrów sześciennych betonu i miliardy kilowatów mocy elektrycznej — a tego samego, poza koncentracją pierwszorzędných kadr naukowo–technicznych, wymaga realizacja prac atomowych. Przedsięwzięcie, mające na celu wznoszenie z gruzów całych miast, kopalń i fabryk, i podnoszenie stopy życiowej narodu z równoczesnym tworzeniem wielkiego przemysłu atomowego wydawało się niemożliwością specjalistom zachodnim. Wiedząc, że największe laboratoria jądrowe ZSRR, jak charkowskie, leżały w 1945 r. w ruinach, że wielkie elektrownie Ukrainy i zachodniej RSFRR nie dawały prądu, przewidywali, iż Ameryka zachowa monopol atomowy co najmniej do 1952–1954 roku. Tymczasem niemożliwe zostało zrealizowane. Uruchomienie pierwszej radzieckiej elektrowni atomowej w 1954 roku było osiągnięciem tym większym, że miało zasadniczy wpływ na projekty atomowe Amerykanów i Anglików. Często nie zwraca się uwagi na tę pośrednią, lecz niesłychanie doniosłą rolę ZSRR, który polityką swoją zmusza rządy państw kapitalistycznych do rozmaitych „szlachetnych” pociągnięć. I tak

Amerykanie ogłosili plan (obliczony na sto lat) pomocy innym krajom, który ma być atomowym odpowiednikiem planu Marshalla. Finansowany przez prywatną firmę *General Atomic Corporation*, przewiduje budowę reaktorów w rozmaitych częściach świata, uwzględniając nawet budowę specjalnych stosów składanych w rejonach trudno dostępnych. Plan ten jest imponujący, ale jego realizacja napotka na wielkie trudności. Cena sprzedażna jednego kilowata mocy zainstalowanej reaktorów amerykańskich ma wynosić 250 dolarów. Nie wiadomo, z jakich funduszy będą płacić Stanom państwa nie przemysłowe. Ponadto poważnym szkopułem będzie uzależnienie każdego kontrahenta projektu amerykańskiego od trustów, posiadających koncesje eksploatacji złóż uranu. Plany Anglików przewidują budowę elektrowni atomowych o mocy dwu milionów kilowatów do roku 1965 oraz eksport stosów, który ma się jednak rozpocząć w nieokreślonej bliżej przyszłości. W przeciwieństwie do obu tych projektów Związek Radziecki międzynarodową swą działalność w dziedzinie pokojowego wykorzystania energii atomowej rozpoczął od konkretnych czynów: od oferty dostarczenia stosów atomowych szeregowi państw, z tym że akcją tą mogą zostać objęte także państwa nie wymienione w pierwszym komunikacie. Na Zachodzie przypuszczają, że Indie i Jugosławia zainteresują się propozycjami radzieckimi. Równocześnie ZSRR zamierza opublikować na konferencji w Genewie w sierpniu 1955 szczegółowe sprawozdanie z siedmiomiesięcznej pracy pierwszej elektrowni atomowej (wg TASS). Przyczyni się to do rozwiania tajemnicy wokół badań atomowych i udaremni próby prywatnych monopolii utrzymania praw patentowych w dziedzinie produkcji przemysłowych reaktorów. Stosy, które ZSRR będzie eksportował, posiadają moc cieplną stosunkowo niewielką, należy jednak wiedzieć, że są to jednostki eksperymentalne, mające służyć głównie kształceniu kadr naukowo-technicznych i produkcji izotopów, a nie wytwarzaniu przemysłowej energii elektrycznej. Miernikiem rzeczywistego stanu energetyki atomowej w ZSRR jest jeden z ostatnich modeli reaktorów radzieckich, rozwijający przy rozmiarach samochodu moc dwu milionów kilowatów.

W ciągu nadchodzących miesięcy Polska — wśród wielu innych państw — otrzyma od ZSRR stos atomowy. Uczni nasi uzyskają możliwość prowadzenia badań pierwszorzędnej wagi, przemysł i lecznictwo będą systematycznie zaopatrywane w izotopy radioaktywne i nie będzie omal gałęzi produkcji czy dziedziny nauki, która nie skorzysta bezpośrednio z otwierających się nowych możliwości. Nie jest jednak rzeczą tego artykułu ukazywanie perspektyw zastosowania energii atomowej w naszym kraju. Temat to zbyt obszerny, nawet gdyby się ograniczyć do

najbliższej przyszłości i nie wspominać o możliwościach dalszych, choć całkowicie realnych, jak opanowanie fotosyntezy, przemysłowa produkcja środków spożywczych, regulacja klimatu czy podróże międzyplanetarne. Obraz przenikania atomistyki do wszystkich gałęzi techniki, nauki, produkcji przedstawić powinni specjaliści i niewątpliwie niebawem poczną ukazywać się odpowiednie ich publikacje. Ze swojej strony nie chciałbym zakończyć tych uwag peanem na cześć nowego odkrycia. Jest to niewątpliwie wyrosłe z gleby nauki ogromne, wspaniałe drzewo. Niech nam jednak to drzewo nie przesłania lasu zagadnień, które z wyteżeniem wszystkich sił musimy opanować, żeby jego owoce przyniosły ludzkości nie śmierć, ale życie.

1955

O ASTRONAUTYCE — RZECZOWO

W artykule tym nie będę poruszał problemów technicznych. Nie chciałbym też, żeby to był „okolicznościowiec”. Zakazawszy sobie, ile mnie na to stać, patosu, spróbuję poruszyć tę — najistotniejszą chyba — stronę astronautyki, o której najmniej się mówi.

Pytanie, na które szukam odpowiedzi, brzmi: co może przynieść ludzkości opanowanie próżni i poznanie innych planet? Słyszysz się czasem, że uzyskamy korzyści materialne. Na Księżycu może być uran, na Marsie czy Wenerze inne wartościowe pierwiastki lub złoża kopalne; z czasem można to będzie importować i w ten sposób podniesie się stopę życiową mieszkańców Ziemi.

Inna opinia — gardzących ekonomią entuzjastów — głosi, że w Kosmosie czeka ludzkość największa Przygoda wszystkich czasów, tysiąclecie nowego romantyzmu i bohaterstwa, najwyższa próba moralnych i fizycznych wartości człowieka, postawionego oko w oko z nieskończonością i mrokiem gwiazdowej pustki.

Na koniec zdarzyło mi się słyszeć z ust pewnego młodego humanisty sarkastyczne oświadczenie, że astronautyka nie przyniesie ludziom właściwie nic. Rakiety będą odchodziły do gwiazd tak, jak dzisiaj odchodzą autobusy czy samoloty — a jakież jest ich wpływ na zwykłe, codzienne życie szarych ludzi?

Zamiast wdawać się w polemikę z trzema zacytowanymi wyżej stanowiskami, spróbuję odwołać się do faktów, a gdzie się to okaże niemożliwe — do logicznego wnioskowania i poszukiwania analogii historycznych. Od tego ostatniego zaczniemy; będzie to fragmentaryczna siłą rzeczy glosa o rozwoju lotnictwa.

Historia samolotu — to dzieje narodzin nowych dziedzin produkcji, nowych surowców, silników i źródeł energii; to nieznanym przedtem wymagania psychiczne i fizyczne, stawiane naturze ludzkiej. Wzrost szybkości samolotów, uczyniwszy niedostateczną bystrość reakcji człowieka, zmusił konstruktorów do stworzenia całej plejady automatycznych środków pomocniczych, które, usamodzielniając się, dały z kolei początek nowym gałęziom nauki, techniki i produkcji. Niemały też był wpływ samolotu na dziedziny tak pozornie odległe od obszaru jego panowania, jak produkcja przedmiotów codziennego użytku czy samochodów — w jednej i drugiej sferze obserwować można wyraźny wpływ ogólnych kanonów aerodynamiki na

myśl projektantów i konstruktorów (inna rzecz, że ta „aerodynamizacja” sprzętów i drobiazgów, obejmująca czasem nawet komody i wieczne pióra, bywała przesadna). Przy tym wszystkim ekonomiczne korzyści, jakie ludzkość czerpie dziś z opanowania atmosfery są — w stosunku do globalnej produkcji dóbr i wymiany towarowej — raczej skromne. Nawet w krajach o najwyższej cywilizacji samolot nie pokonał naziemnych środków transportu ani jako środek przewożenia ludzi, ani tym bardziej — masy towarowej. Jednakże wpływ lotnictwa na życie współczesnych jest niezaprzeczony, i to w większej nawet mierze na działalność społeczeństwa, aniżeli na losy jednostek.

Skurczywszy w ciągu pięćdziesięciu lat wszystkie ziemskie odległości, samolot zmniejszył niesłychanie nasz świat, stwarzając możliwość, a raczej konieczność ścisłego kontaktu zarówno przyjaciół, jak i przeciwników z najodleglejszych kontynentów. Swym potencjalnym zasięgiem wpływa on na bieg wydarzeń politycznych, na stosunki międzynarodowe, a także na rozwój najrozmaitszych dziedzin działalności ludzkiej — od rolnictwa i archeologii po wydobywanie dóbr kopalnych (doskonałe rezultaty daje np. lotnicze poszukiwanie złoża naftowych).

W tym wszystkim przejawia się wyraźny wpływ pewnego czysto materialnego środka komunikacji na psychikę jednostek i świadomość społeczną, i w tym sensie opanowanie powietrza sprawdza jako ułamkowy przykład ważność ogólnej tezy, głoszącej, że „byt określa świadomość”. Z drugiej strony trudno mówić o jakimś bezpośrednim działaniu lotnictwa na stopę życiową czy też twierdzić, że pierwsi aeronauci, którzy w swych śmiesznych maszynach wznosili się na kilka metrów od gruntu, powodowali się nieustającą troską o usprawnienie masowego transportu dóbr. Jedno i drugie byłoby całkowitym zwulgaryzowaniem zagadnienia. Samolot — to był nowy środek komunikacji w świecie tak już (na początku XX wieku) poznanym, że — poza obszarami biegunów — nie mógł właściwie przenieść człowieka tam, gdzie nie dotarł on w inny sposób.

Odmienne przedstawiają się perspektywy astronautyki. Rola rakiety jako ziemskiego środka komunikacji jest właściwie podrzędna (choć i tu otwierają się obiecujące możliwości). Jest ona — ma być — środkiem do osiągnięcia celów, jakimi są nieznanne światy.

Od podróży międzyplanetarnych jesteśmy dziś jeszcze bardzo daleko. Nawet gdy w nadchodzących latach poza obrębem atmosfery będą nad naszymi głowami krążyły pierwsze, wyrzucone w przestrzeń maszyny — sztuczne ciała niebieskie — niewiele zmieni się w tej

sytuacji. Budowa sztucznych satelitów i raket transkontynentalnych, wyskakujących w czasie podróży ponad górną powierzchnię atmosfery ziemskiej, będzie stanowiła pierwszą fazę, początek drogi, której uwieńczeniem stanie się osiągnięcie Księżyca. Także i loty na Księżyc, ten bezwodny, kamienisty, pustynny glob, będą raczej dalszym mnożeniem prób, gromadzeniem doświadczeń, kształtowaniem nowej technologii i teorii kosmonawigacji, jednym słowem — wielkim przygotowaniem przed właściwym „skokiem w próżnię”, jaka dzieli Ziemię od innych planet. Nie chciałbym umniejszać znaczenia tego pierwszego, niewątpliwie najtrudniejszego, pełnego nieznanymi niebezpieczeństwami okresu, który być może rozciągnie się i na dziesiątki lat; idzie mi tylko o podkreślenie jego charakteru „przygotowawczego”, oczywiście w takim sensie, w jakim np. rozwój fizyki teoretycznej w pierwszej połowie XX wieku przygotowywał jej wspaniały triumf — wyzwolenie energii atomowej.

Właściwym czasem rozkwitu astronautyki będzie okres wypraw odkrywczych na planety. Nie wiemy oczywiście, co na nich zastaniemy, ani jakie nowe drogi utoruje ludzkości ich opanowanie. Dobrze jest przy tym pamiętać o przykładach z przeszłości; jak wiemy dziś, Antarktyda kryje w swym oblodzonym wnętrzu wielkie złoża cennych minerałów, jednakże nie dla nich walczyły z mrozem i niebezpieczeństwami „białego milczenia” wszystkie ekspedycje, które uparcie zmierzały ku południowemu biegunowi. Kolumb, wyprawiając się w swą podróż, nie domyślał się, czym się stanie dla przyszłych pokoleń odkryty przezeń Nowy Świat. Podobnie nieznanymi dziś możliwościami i bogactwami (nie tylko, rozumie się, w sensie ciasno pojętej korzyści ekonomicznej) możemy spodziewać się po osiągnięciu planet — lecz domysły na ten temat byłyby czystym fantazjowaniem, od którego lepiej się tu powstrzymać. Jedno jest wszakże pewne, to mianowicie, że w owym „właściwym” okresie rozwoju pocznie astronautyka wywierać na życie ziemskie wpływ równie wszechstronny, co długotrwały.

Załóżmy, że w naszych dniach zostanie odkryty na Ziemi nowy, całkowicie nieznaną kontynent, tak wielki jak Afryka. Wieleż trzeba by ekspedycji badawczych, ekip naukowych, jakie zasoby środków technicznych i armie najrozmaitszych fachowców musiałyby zostać uruchomione, aby chociaż przemierzyć w różnych kierunkach ów nowy ląd, aby zbadać jego ukształtowanie, klimat, właściwości materialne!

Wyobraźmy sobie teraz, że odkrywamy nie jedną taką Afrykę, ale ich sto, że te olbrzymie lądy są oddalone od nas o kilkadziesiąt (i więcej) milionów kilometrów, że są bardziej bezwodne od Sahary, a klimat ich upalniejszy jest od równikowego, bądź też mroźniejszy od biegunowego,

że w końcu owiewająca owe lądy atmosfera nie nadaje się do oddychania — a będziemy mieli przybliżony obraz warunków, czekających człowieka na najbliższych planetach.

Można się czasem — w powieściach fantastycznych — spotkać z koncepcją wypraw, w których udział biorą jednostki; oczywiście, każde wielkie przedsięwzięcie musi mieć swój początek i jakaś rakieta wyląduje na Marsie czy Wenus pierwsza — ale obraz eksploracji planet jako procesu, w którym występuje stale grupa oderwanych od Ziemi śmiałków, skazanych w swej działalności na heroiczną samotność, jest całkowitą utopią. Pierwsza rakieta nie będzie mogła uczynić więcej nad uzyskanie pewnej ilości fragmentarycznych zdjęć, pomiarów, próbek geologicznych; nie zdoła ona stworzyć nawet bazy, którą nazwać by można badawczym przyczółkiem ziemskim na nieznanym globie. Nasze postępowanie rozwijać się będzie musiało w kierunku masowego poszukiwania, eksploracji planetarnej na nieznaną dotąd skalę; by to wykazać, znowu zwrócę się do — skromnego naturalnie — przykładu.

Jak wiadomo, kilka lat temu zdobyty został przez grupę alpinistów najwyższy szczyt Himalajów. Zazwyczaj nie myśli się o tym wszystkim, co poprzedziło i umożliwiło ów piękny czyn; przygotowania te, niezmiernie rozległe, obejmują i pierwsze rekonesanse lat dwudziestych, i pomiary trygonometryczne Himalajów, i prace rozmaitych gałęzi przemysłu — więc wytwórców specjalnej odzieży, namiotów arktycznych, konserw, odżywczych preparatów itd., itp.; jak wiadomo, wyprawie potrzebny był puch gęsi islandzkich do kurtek i śpiworów, syntetyczny nylon do sznurów, guma indyjska do impregnowania tkanin, butle z tlenem, aluminiowe drabinki i mnóstwo innych rzeczy, bez których ostateczny atak na szczyt nie zostałby uwieńczony powodzeniem. Przy tym była to wyprawa o charakterze sportowym, a nie naukowym, walka zaś z przeciwnościami natury toczyła się w odległości godziny lotu od miast hinduskich. Przenieśmy taką wyprawę na inną planetę, kažmy jej znieść osiemdziesięciostopniowy mróz, brak wody, pożywienia, powietrza oddechowego, i w tych warunkach kažmy jej nie tylko poruszać się, ale prowadzić szeroko zakrojone prace badawcze, a zrozumiemy, jaka jest skala takiego przedsięwzięcia. Każda butla tlenu, każdy instrument pomiarowy, każdy pojazd, narzędzie czy puszka z żywnością musi zostać przewieziona przez kilkadziesiąt milionów kilometrów próżni, przesywanej meteorami; w miejscu lądowania trzeba wznieść pomieszczenia mieszkalne ze sztuczną atmosferą; do pracy niezbędne okażą się skafandry i terenowe pojazdy z hermetycznymi kabinami; jeśli owe prace mają przynieść konkretne wyniki w rozsądnym czasie, prowadzić je trzeba z rozmachem; tak tedy okaże się, że

ilość dowożonych materiałów po pewnym czasie stanie się ogromna, być może dorówna tonażowi masy towarowej, jaką przyjmują wielkie porty oceaniczne Ziemi.

Oblicza się dziś (oczywiście w grubym przybliżeniu), że budowa rakiety księżycowej pochłonęłaby tyle mniej więcej materiałów i tyle by kosztowała, co budowa pancernika o wyporności 50 tysięcy ton; miałyby to być przy tym rakietą „jednokierunkowa”, tj. niezdolna do powrotu na Ziemią! Rakiety międzyplanetarne będą zapewne większe i, co za tym idzie, kosztowniejsze, że zaś — jakeśmy powiedzieli — szeroko zakrojone prace badawcze na powierzchni planety nie są do pomyślenia bez nieustającego dowozu z Ziemi niezbędnych środków i materiałów, zadaniu temu sprostać zdoła tylko odpowiednio wyekwipowana, duża flota statków kosmicznych.

Obraz ten, zakrawający w oczach niejednego sceptyka na utopię, przedstawia jedynie konieczność rozwojową, taką samą, jaką jest np. gwałtowny wzrost światowego zainteresowania elektrowniami atomowymi i masowe ich \ (niemal) planowanie. Jeśli taki bieg naszych poczynań astronautycznych wydaje się komuś nieprawdopodobny, niech zastanowi się nad tym, że już samo wysłanie jednej rakiety na inny glob przedstawia olbrzymią inwestycję materiałową i energetyczną, ogromny wydatek umiejętności konstruktorskich i mocy produkcyjnych, i w naszym realnym świecie nikt nie będzie traktował podobnego przedsięwzięcia jako „jednorazowego sportowego wyczynu”, gdyż to właśnie byłoby trwonieniem środków i sił. Planety bowiem mogą stać się rzeczywistym źródłem ogromnych korzyści materialnych — ale planety zbadane, opanowane, a nie odwiedzane od czasu do czasu przez grupy herosów, poszukujących „silnych wzruszeń”.

Tak więc astronautyka postawi przed ludźmi olbrzymie, nowe zadania; wiele materiałów, środków, narzędzi dla eksploratorów trzeba będzie dopiero stwarzać, zależnie od nie dających się przewidzieć potrzeb; flota kosmicznych statków wymagać będzie stoczni, hangarów, lotnisk; wszystko to razem stworzy nowe specjalności inżynierów, technologów, chemików, ekonomistów, lekarzy i dziesiątków innych fachowców, a także da początek zawodom, jakich sobie dziś nawet nie wyobrażamy. Dla każdego człowieka pracującego na innej planecie będą m v siały się trudzić dziesiątki ludzi na Ziemi, która stanie się zapleczem nowego frontu badawczego.

Z powiedzianego jasno wynika, że pokonanie próżni i opanowanie planet stanowi przedsięwzięcie, którego dokonać zdoła tylko cała ludzkość; podstawowym tego warunkiem jest

jej zjednoczenie. Przy tym nastąpi ono najłatwiej w toku prac, rozszerzających się i wymagających coraz większej koncentracji umysłów i środków. Epoka właściwego rozwoju astronautyki sprzyjać więc będzie zanikowi ziemskich separatyzmów i nacjonalizmów; można sądzić, że wpływ jej na życie międzynarodowe będzie większy od wpływu jakiegokolwiek znanego nam środka komunikacji. Pozostającym na Ziemi nie może — jakśmy ukazali — być działalność astronautów obojętna nie tylko ze względu na zaangażowanie emocjonalne w to niesłychane i nieznanne w historii przedsięwzięcie, ale i po prostu dlatego, że praca wielu mieszkańców Ziemi będzie bezpośrednio związana z działalnością i losami ludzi na odległych planetach. Ta właśnie materialna, konkretna więź będzie najpewniejszym gwarantem powstawania nowej postawy psychicznej. To naturalnie nie wszystko. Wraz z powracającymi z próżni statkami przybywać będzie na Ziemię potężny strumień nowych, nigdy nie doznanych przez człowieka wzruszeń i doświadczeń. To nie przypadek, że w przeszłości epoki wielkich odkryć były zarazem okresami spotęgowanej twórczości artystycznej, że wiek Kolumba był też wiekiem Leonarda. Niechybnie sztuka owego czasu wzbogaci się o nowe, bogate treści.

Cóż dalej? Po okresie wypraw badawczych i opanowania planet przyjdzie czas całkowitego poznania systemu słonecznego, i znowu długi okres gromadzenia wiedzy, doświadczeń i sił przed nowym, jeszcze bardziej zuchwałym, choć koniecznym krokiem: ku innym od naszego słońcom. Krążą wokół nich planety podobne do Ziemi. Czy jest do pomyślenia, że posiadając odpowiednie środki materialne ludzie oprą się chęci poznania istot z innych światów?

Czas kończyć te, rozwichrzone może i niezbyt konsekwentnie rozwinięte, uwagi. Staralem się formułować je ostrożnie, może nawet zanadto ostrożnie wobec lawinowego tempa przemian nauki i świata w ostatnich czasach. Byłbym może odważniejszy, gdybym wiedział, mógł przypuszczać, że ktokolwiek z kolegów pisarzy, jakiś, powiedzmy, krytyk o zacięciu socjologicznym, jakiś eseista weźmie się do polemiki ze mną albo poruszy inny, doniosły dla humanisty problem przyszłości — np. motywacje psychologiczne kosmonautyki. Któż jednak zechce się odezwać, skoro całą tę dziedzinę puszczone mi, tak jakoś mimowolnie, w arendę? Nie narzekam, bynajmniej, ale czy to jednak nie nadmiar zaufania?

PRZEMIANY NAUKI

Dotarł do moich rąk list Jana Sikorskiego, ucznia VII klasy szkoły we wsi Augustynówek — województwo kieleckie. Ten młody człowiek pisze tak: „...słuchając radia, usłyszałem opowiadanie o wyprawie międzyplanetarnej na Wenus. Od dawna ciekawi mnie ta planeta i chciałbym się dowiedzieć, czy były organizowane jakieś wyprawy na Wenus, kiedy i przez kogo?”

Moi dorośli czytelnicy uśmiechną się. No tak, nie ma nas jeszcze na Wenus. Ale czy do tego tak bardzo znów daleko? Czy wiadomość o locie rakiety międzyplanetarnej zadziwi nas? Na pewno nie. Przecież mówi się o tym jako o planie całkowicie realnym. Doprawdy, jedną z najbardziej zadziwiających rzeczy na świecie jest to, że się dziś niczemu właściwie nie dziwimy. Postęp naukowo–techniczny dawno już na głowę pobił najtęższych naśladowców Verne’a i Wellsa. Jeden z najmądrzejszych, Olaf Stapledon (bawił w Polsce na kongresie wrocławskim w 1948 roku), napisał książkę, której akcja obejmuje dwa miliardy lat — całe dzieje ludzkości. Odważnie, nieprawdaż? I na kiedyż to ten fantasta przewidział wyzwolenie przez człowieka energii atomowej? Na rok 150 000 naszej ery! Pisząc tak, kierował się zdaniem najwybitniejszych uczonych swego czasu (pisał tę książkę w 1933 roku). Tymczasem rzeczywistość wyprzedziła przepowiednię dokładnie o 149 988 lat! I jakże tu teraz uśmiechać się z wyższością nad listem ucznia szkoły powszechnej ze wsi Augustynówek? Pośpieszył się nieco ze swym pytaniem — to i wszystko.

Lista odkryć i wynalazków wzbogaca się w naszych czasach z każdym miesiącem, jeśli nie tygodniem. Z początkiem tego roku nasza Galaktyka utraciła swe uprzywilejowane miejsce w Kosmosie. W średniowieczu mniemano, że Ziemia, wybranka Niebios, wisi w centrum Wszechświata. Kopernik „zdetronizował” Ziemię; potem jednak przypuszczano, że przynajmniej cały nasz układ słoneczny znajduje się w środku Drogi Mlecznej. I to okazało się nieprawdą: nasz układ leży gdzieś w rozziwieniu ramion gwiazdowych — na peryferii, na dalekiej „provincji” galaktycznej... Ale pozostawało jeszcze ostatnie pocieszenie: dane astronomiczne wskazywały, że nasza Galaktyka jest największa ze wszystkich dostrzegalnych przez teleskopy na niebie. A więc jednak podstawa — choć nikła — do jakiegoś „patriotyzmu lokalnego” w skali Drogi Mlecznej... Niestety — i to zawiodło. Okazało się teraz, że wszystkie wymiary

międzygwiazdowe trzeba pomnożyć przez dwa, aby uzyskać wyniki zgodne z rzeczywistością. Wszechświat widzialny niejako dwukrotnie się rozszerzył. Tym samym wielkość dostrzeganych obiektów gwiazdowych należy poddać odpowiedniej poprawce — i oto nasza Droga Mleczna okazuje się zupełnie zwyczajną, przeciętną, szeregową Galaktyką — jedną z wielu...

Ale nasz świat rozszerzył się nie tylko w przestrzeni — także i w czasie. Uczeni w Kanadzie odkryli ślady pierwotnych organizmów żywych w geologicznych pokładach, liczących sobie 2 600 milionów lat istnienia. Dotąd uważano powszechnie, że życie powstało na Ziemi jakieś 2 miliardy lat temu — obecnie trzeba dodać do tej liczby jeszcze jeden miliard; jesteśmy więc (wliczając do rachunku oczywiście także czcigodnych przodków z głębi oceanu) starsi znacznie, niżśmy sądzili...

Nie zawsze tak łatwo można wprowadzać poprawki do inwentarza swej wiedzy. Gorsza sprawa z najmniejszymi cząstkami materialnymi, które ostatnio mnożą się w sposób wprost zastraszający. Okres rozkosznej prostoty, kiedy to prócz elektronów, protonów i neutronów istniały tylko pozy trony i, co najwyżej, neutrino — należy do przeszłości. Trzeba się na nowo uczyć, wiek przeminął złoty... Powstała dziś cała ogromna rodzina mezonów: są mezony „pi” i „mu”, i „tau”, i „kappa”, i „chi”, i „teta”, słyszę nawet o jakichś hyperonach i jeszcze innych cząstkach neutralnych i naładowanych ujemnie... Brak już niemal liter greckiego alfabetu, a tymczasem w potężnych przyspieszaczach elektromagnetycznych wytwarza się sztucznie coraz to nowe cząstki. Mówi się już nawet o ujemnym protonie jako najbliższym, oczekiwanym odkryciu. Jakże tu jeszcze mówić o cząstkach „elementarnych”, skoro ich tak wiele, i skoro, co gorsza, wszystkie mogą w sobie wzajem się przemieniać? Cóż z tego, że to twory dość efemeryczne — bo niektóre „żyją” nie dłużej niż dziesięciomilionowe cząstki sekundy, ale przecież istnieją, pozostawiając ślady na kliszach fotograficznych, w komorze Wilsona... Co takiego dzieje się właściwie w fizyce — czy naprawdę wszystko, co dotąd było wiadome, jest już nieważne, nieprawdziwe?

Do takiego wniosku doszedł jeden z moich kolegów, który w rozmowie ze mną powoływał się właśnie na ostatnie odkrycia, by głosić sceptycyzm: wszystko się zmienia, to, co ważne i prawdziwe było wczoraj, traci wagę dziś, a prawda dzisiejsza ustąpi jutro nowej. Fatalnie mylił się ów mój rozmówca. Podobne do opisaney rewolucje zachodzą w laboratoriach i pracowniach uniwersyteckich nieustannie — od czasu kiedy powstała nauka. Stara wiedza, stara teoria nie jest zupełnie fałszywa, jest tylko niedokładna. Przez pewien czas nowo zbierany

materiał mieści się w istniejących teoriach. Potem, gdy nowe narzędzia obserwacyjne i nowe metody pozwalają na odkrycie nowych faktów, ilość przechodzi w jakość: stara teoria ustępuje miejsca nowej, która w sposób dokładniejszy, bardziej zgodny z rzeczywistością odzwierciedla przebiegi zjawisk otaczającego nas świata. Proces ten toczy się wciąż i wciąż — i końca mu nie widać. Jak dotąd, teoria względności cieszy się poważaniem, ale już czytałem o pewnych różnicach pomiędzy wynikami, które ona przepowiada, a obserwowanymi zjawiskami ugięcia światła w pobliżu gwiazd. A więc w przyszłości pojawi się, zostanie stworzona nowa teoria? Zapewne. Nie ulega wątpliwości, że nigdy nie nadejdzie chwila, w której człowiek dokona „ostatniego” odkrycia, by zapisać je do księgi poznania i zatrzaskać ją na zawsze. Nigdy nie będzie wiadome „wszystko”. Czy to źle? Pytanie niezbyt rozsądnie postawione, bo odnosi się nie do spraw ludzkich, lecz do samej istoty materii, budulca wszystkiego, co istnieje. A przecież odpowiem na to nierozsądne pytanie. Wydaje mi się, że majaczejąca przed nami droga poznania, jako nie kończący się w czasie proces nieustannego zgłębiania zjawisk i równoczesnego wynikania zagadek, jako wieczne postępowanie naprzód, wieczne dążenie i dociekanie — jest bodaj najwspanialszą i najbardziej godną zachwyty cechą świata, w którym żyjemy.

JEDNOŚĆ PRZECIWIENSTW

Spotkany na ulicy znajomy zarzucił moim felietonom nadmierną hymniczność. Powiedział, że staję się apologetą nauki, zamiast być przewodnikiem po terenach jej władania. Z jej pomocą w paru felietonach przemieniłem świat, zwyciężyłem choroby i śmierć nawet, rozwiązałem wszystkie stojące przed ludzkością trudności. Chciałem spierać się z tym moim znajomym, ale wspomniałem, że w następnym felietonie pragnąłem napisać o rozumnych mieszkańcach innych planet. Teraz porzuciłem ten zamiar. Gdybym postępował tak dalej, siadając co dwa tygodnie na coraz to wyższego konia, rychło począłbym o sprawach ziemskich mówić z pozycji Metagalaktyki i Nieskończoności. Widocznie owiały mnie opary wszecheuforycznej, kadzidlanej atmosfery, której tak dokładną mikroanalizę niedawno przeprowadził Kałużyński. Jeśli jednak uległem zatruciu, słowa znajomego dały mi do myślenia i w ten sposób zostałem uzdrowiony. Będę dziś pisał o ciemnych stronach postępu. Taki tytuł może wzbudzić zastrzeżenia: ciemne strony postępu, czy to nie jest *contradictio in adiecto*, coś jak ponura radość lub pełne smutku szczęście? Ale nie będę tematu roztrząsał jałowo; posłużymy się metodą empiryczną i zbadamy skutki postępu (pewną grupę skutków) w odległych od siebie dziedzinach życia i ludzkiej działalności.

1) Niedawno pisałem na tym miejscu o pracach uczonych radzieckich nad wskrzeszaniem zmarłych (pisałem w związku z książką prof. Niegowskiego „Terapia śmierci klinicznej”). Nie ulega chyba wątpliwości, że możliwość wskrzeszenia człowieka zmarłego jest dowodem niesłychanego postępu medycyny. A jednak... Jeśli zmarły zostanie przywrócony do życia później niż w sześć do siedmiu minut po śmierci, w korze jego mózgu zachodzą na skutek niedotlenienia nieodwracalne zmiany. Chory ożywa wprawdzie, ale, jak mówią lekarze, tylko „do poziomu kory”: restytuuje się działalność niższych ośrodków układu nerwowego. Nie powraca już świadomość, zdolność myślenia, mowa, wzrok. Wskrzeszona zostaje istota ślepa i głuchoniema, tragiczna w swej bezradności, której trzeba doglądać do końca jej dni. A takiego rezultatu wskrzeszania nie można czasem uniknąć — bo przecież nie zawsze udaje się ożywić zmarłego przed nastąpieniem fatalnej granicy siedmiu minut... Te nieszczęsne, kalekie istoty, które tylko fizycznie, zewnątrznie podobne są do ludzi, to haracz, jaki płacimy śmierci za wyrwane jej życie, ciemna plama na jasnej stronicy postępu...

2) W dziedzinie przedłużenia życia ludzkiego osiągnęliśmy świetne rezultaty. Przeciętny wiek człowieka wynosi obecnie około sześćdziesięciu lat. Zawdzięczamy to umasowieniu lecznictwa, profilaktyce chorób, opiece nad dziećmi, ochronie zdrowia pracujących, nowym środkom leczniczym, itd., itp. Zarazem jednak słyszy się o licznych przypadkach raka. Występuje on, jak niektórzy twierdzą, częściej niż dawniej, niż ćwierć wieku temu. Jakże pogodzić tę wzmożoną zapadalność na raka z powszechnym wzrostem zdrowotności, z przedłużeniem życia ludzkiego? Okazuje się, że większa ilość przypadków raka, notowanych przez statystyki szpitalne, jest w pewnym sensie wynikiem postępu medycyny...

Rak jest mianowicie chorobą wieku podeszłego, pojawia się jako cierpienie groźne społecznie dopiero u ludzi przekraczających czterdziesty rok życia i częstość jego występowania nasila się w miarę, jak zbliżamy się do sześćdziesiątki. Dawniej, kiedy przeciętny wiek człowieka nie dochodził do czterdziestu lat, ludzie po prostu nie dożywali wieku, w którym zrakowacenie tkanek ustrojowych staje się prawdopodobne. Tak więc częstsze przypadki raka — to znowu haracz, jaki płacimy naturze za przedłużenie życia.

3) Studiując ewolucję życia na ziemi w całej, olbrzymiej mnogości form ustrojowych, obserwujemy nieustający postęp, doskonalenie się, rosnące przystosowanie organizmów do otoczenia. Ale i ten, w skali całej planety dostrzegany, postęp, ma swoją cenę, że nazwę tylko jedno ze zbioru wielu zjawisk: śmierć. Organizmy proste, jednokomórkowe, takie jak ameba, nie muszą podlegać śmierci fizjologicznej, śmierci ze starości, której nieustająca świadomość towarzyszy człowiekowi. Ameba nie umiera, a tylko zatracą swą indywidualność, dzieląc się na dwa organizmy potomne. Zapewne i my wolelibyśmy w jakiś analogiczny sposób przemieniać się w potomstwo i takie utrzymywanie życia gatunku, nie pozostawiające na swej drodze zwłok, pozbawione tego makabrycznego *memento mori* wydawać by się mogło czymś pożądanym. Niestety, to jest niemożliwe. Wszystkie organizmy wielokomórkowe, wysoko uorganizowane, za tę właśnie wysoką organizację tkanek, za wyspecjalizowanie funkcji, za wszechstronność adaptacji, za rozwój układu nerwowego płacą naturze haracz, od którego wolne są jednokomórkowce.

4) Przegląd rozmaitych dziedzin działalności człowieka — wytwarzania narzędzi, budownictwa, techniki komunikacyjnej, przekształcania jednych rodzajów energii w inne — ukazuje nam podobne zjawisko „ciemnych stron postępu”. Za wzrost szybkości środków komunikacyjnych płacimy zwiększonym niebezpieczeństwem podróży; potęgą nowych źródeł

energii — że wspomnę tylko o wyzwoleniu energii atomowej — kryje w sobie nowe, nieznanne poprzednim pokoleniom groźby. I nie chodzi tu tylko o użycie energii atomowej w celach zagłady, bo tę możliwość rodzi podział współczesnego świata i wojenne dążenia imperialistów. Nawet nie używane dla celów wojennych źródła energii atomowej — skoncentrowaną w nich, groźną dla życia promieniotwórczością — zmuszają nas do wielkiej ostrożności postępowania i stanowią potencjalne źródło awaryj, nieznanych inżynierom XIX wieku.

Podobne do powyższych przykłady można by mnożyć, sięgając do rozmaitych dziedzin życia, ale to chyba niepotrzebne, bo i wymienione wyraźnie ukazują zjawiska, którym poświęciłem ten felieton. Oczywiście, nie było moim zamiarem „tumanic i przestraszać”. Nie byłby także zbyt rozsądny ten, kto — dla uniknięcia przedstawionych wyżej gróźb i niepowodzeń — radziłby ludziom zaprzestać ożywiania umarłych, skrócić przeciętną długość życia, zamiast samolotami — podróżować piechotą czy też, zamiast uranu, do poruszania maszyn używać tylko energii mięśniowej... Na koniec, nie byłoby przejawem dalekowzroczności ani rozumu dziarskie pokrzykiwanie, że rak wcale się prawie nie zdarza, że samoloty nie spadają, a śmierć (jak to w ferworze dyskusyjnym powiedział raz pewien młody krytyk literacki) jest zjawiskiem nietypowym... Rzeczywistość bowiem, jak i jej motor — postęp, nie jest ani czarna, ani biała. Jest po prostu zawiła, niepokorna, niepoddająca się schematom. Zjawiska, które nazwałem „ciemnymi stronami postępu”, wynikają na drodze człowieka nie jako niewzruszone przeszkody, zagadkowe istności, jakieś kary niebios. To tylko każdy krok naprzód, każde nowe posunięcie w dziedzinie stosunków produkcyjnych czy międzyludzkich przynosi zazwyczaj jakąś dotąd nieznaną niedogodność, jakąś groźbę, jakieś zło. Nadchodzące pokolenie przystępuje do walki z tym nowo zrodzonym zjawiskiem, a gdy mu się uda je pokonać, okazuje się, że środek, użyty do przewyciężenia zła, sam daje początek jakimś nowym, wyższorzędnym komplikacjom, którym trzeba zapobiec. Taki obraz dialektycznego powiązania i wzajemnego uzależnienia przemian społecznych ukazuje nam cała dotychczasowa historia ludzkości. Nie pokuszę się odpowiedzieć, czy proces ten będzie nadal analogicznie powtarzała przyszłość, a tylko dać mogę wyraz moim osobistym upodobaniom, mówiąc, że owo przewyciężanie kolejno narastających trudności i przeszkód, tę nieustającą walkę ze światem i samym sobą uważam za najcenniejszą treść życia ludzkiego i gdyby to zależało ode mnie, życzyłbym takich twórczych zmagañ gatunkowi homo sapiens aż po najdalszy kres jego istnienia.

TECHNOLOGIA CUDU

W jednym ze schronisk tatrzańskich, bodaj rok temu, pewien znany krytyk literacki zwierzył mi się, że nie wie, ile drutów dochodzi do lampy elektrycznej. Ten swój analfabetyzm wyznał mi z kokieterijną wyższością humanisty wobec piewcy śrubek. A przecież technika, to nie tylko pole działania dla młotka i obcęgow, to także teren, na którym można rozwijać ciekawe rozważania filozoficzne. Jeśli spróbujemy ułożyć coś w rodzaju paleontologii i anatomii porównawczej rozmaitych maszyn i wynalazków, przekonamy się, że każdy nowy wynalazek przechodzi swoistą ewolucję. Można ją podzielić z grubsza na trzy etapy. Na pierwszym widzimy prostotę nowej myśli i konstrukcyjny prymitywizm jej realizacji. Okres drugi — to postępujący wzrost mechanicznej, konstrukcyjnej komplikacji urządzenia, przy równoczesnym wzroście i komplikacji jego założeń teoretycznych. Okres trzeci wreszcie cechuje dalszy wzrost wiedzy teoretycznej, dalsza komplikacja koncepcji, powodująca stopniowe uproszczenie konstrukcji mechanicznej. Działanie tego prawa obserwujemy w najrozmaitszych dziedzinach. Przykład pierwszy: samolot, Samoloty początku naszego wieku były to konstrukcje proste, ale prostota prymitywizmu. W następnym okresie nastąpił wielki wzrost konstrukcyjnej komplikacji samolotów. Pojawiły się tysięczne kształty kadłubów, skrzydeł i sterów, silniki o cylindrach stałych i wirujących, chłodzonych olejem, wodą, powietrzem, ustawianych szeregowo lub w gwiazdę, górno— i dolnopłaty, przy czym uderzająca była różnorodność rozwiązań konstrukcyjnych na całym świecie. Równolegle wzrasta wiedza teoretyczna w zakresie technologii, teorii lotu, aerodynamiki. Początek trzeciego okresu przypada na lata ostatnie. Sylwetki samolotów budowanych na całym świecie coraz bardziej się do siebie upodabiają, stają się coraz prostsze. Szczytem prostoty konstrukcyjnej jest samolot naddźwiękowy, zastrzone wrzeciono, którego silnik, pozbawiony w ogóle jakichkolwiek części ruchomych, czy to wirujących, czy poruszających się tam i na powrót, jest po prostu z obu końców otwartą rurą, zagęszczającą w sobie powietrze z mieszanką paliwową dzięki ogromnej chyżości lotu. A więc gładka, smukła, z przodu i z tyłu otwarta rura, opatrzona maleńkimi skrzydełkami — to rozwiązanie najnowsze i najprostsze, jednakże wiedza, jaka je wydała, bogactwo teoretycznych uogólnień, które pozwoliło zbudować taką maszynę, jest ogromne i nieporównywalne z empiryczną beztróską pierwszych awiatorów, którzy swoje latające pudła kłecili z drzewa,

bambusu i sznurów.

Innym przykładem będzie ewolucja radia. Pierwsze odbiorniki Hertza i Popowa były to nie domknięte kręgi drutu z kryształkami, proste, ale niesprawne. Potem nadeszła powódź konstrukcyj coraz zawilszych. Rodziły się istne mamuty, mieszczące w ogromnych skrzyniach dziesiątki lamp, z dżunglą przewodów, mnogością przełączników, cewek, wtyczek i gałek. Pamiętam z dzieciństwa takiego potwora wielolampowego, u którego ślęczało się w huraganie trzasków ze słuchawkami na uszach. Dziś, dzięki nagromadzonej wiedzy teoretycznej, rozpoczyna się okres doskonałości: powstają odbiorniki mniejsze od pudełek zapalek, w których lampy katodowe zastępuje udoskonalony kryształek — transistor, a miejsce gąszczu polutowanych przewodów zajmują obwody elektryczne, wydrukowane srebrnym atramentem chemicznym na płytkach porcelany. W poszukiwaniu trzeciego przykładu przejdziemy z dziedziny produkcji w dziedzinę energetyki, to znaczy od tego, co wytwarzane, do źródeł siły wytwarzającej. Pierwszą maszynę parową budował wynalazca bez cienia wiedzy teoretycznej, metodą kolejnych prób i błędów. Była ona prosta, niezgrabna i niewydajna. Skomplikowany ogrom współczesnej siłowni wynika z rozległej wiedzy teoretycznej inżynierów, energetyków i technologów. Najnowsze wreszcie rozwiązanie problemu wyzwolenia możliwie największej ilości energii jest w swym stadium ostatecznym oszałamiająco proste: mamy przed sobą dwa kawałki podobnego do ołowiu, szarawego metalu. Jeśli położymy je na biurku, mogą przetrwać bez zmiany najdłuższy czas. Ale jeśli raptownie zbliżymy je do siebie, nastąpi wybuchowe wyzwolenie energii, któremu nic nie dorówna.

Zespolenie dwu podkrytycznych mas uranu 235 w masę nadkrytyczną, w której rozwija się lawinowo reakcja łańcuchowa rozszczepienia jąder atomowych, jest — w ostatecznej fazie — operacją bardzo prostą, ale do jej przeprowadzenia niezbędne były żmudne badania gwiazd i atomów, odkrycia Marii Curie-Skłodowskiej i Einsteina, teoria względności i mechanika kwantowa.

Prawo ewolucji technicznej powiada, że najdoskonalsze jest urządzenie, jednoczące w sobie minimum złożoności konstrukcyjnej i maksimum wiedzy teoretycznej. Efektem tego połączenia jest najprostszy mechanizm o najwyższej wydajności. Otóż jest do pomyślenia dalszy wzrost komplikacji teoretycznej, który doprowadzi w końcu komplikację mechaniczną do zera. Będziemy wtedy mieli maszynę, nie posiadającą żadnych w ogóle części materialnych (bo jej mechaniczna komplikacja równa się zeru). Przenosząc tę myśl w dziedzinę na ostatku

wspomnianej energetyki, uzyskamy obraz takiego bogactwa wiedzy teoretycznej, że wyzwolenie energii zajdzie przy samym ruchu zbliżenia do siebie rąk... pustych, bez obu kawałków uranu. Cóż to jest? Oczywiście cud. Znajdujemy się na terenie „czystej magii”, a jedynym znanym składnikiem odpowiednikiem takiej sytuacji jest baśniowy motyw czarodziejskiego zaklęcia, które samo, bez udziału środków materialnych, wywołuje zmiany w otaczającym świecie.

W taki sposób, przedłużając w myśli konsekwencje prawa rozwoju technicznego, wyszliśmy ze świata rzeczywistego w świat filozoficznych paradoksów, nad którymi łamali sobie głowy teoretycy poznania od czasów starożytnych. Z tego punktu widzenia rozważanie nasze nie jest czczą zabawką. Naturalnie nie w tym sensie, że pozwala studiować „technologię cudu” czy zbudować „niematerialną maszynę”, ale w tym sensie, że ukazuje okoliczności, w których zachodzi nadużycie formuły teoretycznej. Jest to oderwanie abstrakcji od realnych faktów, na których się ona opiera (procesu ewolucji technicznej od jego materialnego podłoża), wolta, usiłująca udowodnić prymat duchowego nad materialnym, a więc wiodąca do idealizmu. Co prawda żaden inżynier ani na chwilę nie uwierzy w możliwość zbudowania „niematerialnej maszyny”, bo cała jego działalność życiowa wyjawia całkowitą nonsensowność takiego zamysłu. Jednakże analogiczny w zasadzie proces absolutyzowania pewnych praw natury i wyprowadzenia z nich fałszywych wniosków ontologicznych leży u podstawy działalności wielu uczonych Zachodu, zwłaszcza fizyków i astronomów (kosmogonistów). Wychodząc z potwierdzonych doświadczeniem uogólnień, tak długo rozwijają ich konsekwencje, aż dochodzą do hipotez, głoszących powstawanie materii z nicości (Hoyle) lub do „ylemu” — praatomu, który odpowiada „pierwotnemu chaosowi” Biblii i dał rzekomo początek Wszechświatu (Gamow). Przeróżająca laika szata matematyczna podobnych wywodów, a także to, że dla ich sprawdzenia trzeba by poprosić... eksperymentalnego stworzenia Wszechświata, zapewniają tym fantazjom popularność i rozgłos. W istocie swej wszystkie te konstrukcje sprowadzają się do paradoksalnego rozumowania, któreśmy tu krótko i prosto przedstawili. Widać stąd, że nawet wychodząc z najbardziej oczywistych i słusznych pozycji oraz posługując się najwyszukańszym aparatem matematycznym, można zawędrować w głąb baśni, jeśli wyobraźni ufa się bardziej niż materialnemu, otaczającemu nas światu.

MAŁA IMPROWIZACJA

Bardzo się dobrze stało, że niedawno w „Nowej Kulturze” rozległo się wołanie o krytykę książek popularno–naukowych. Wytoczyć można jej wprawdzie jeden tylko zarzut, ale za to przeraźliwy: że w ogóle nie istnieje. Pisma literackie nie zamieszczają recenzji z takich pozycji, bo to dla nich za specjalne, pisma naukowe też nie — bo dla nich to za mało specjalne. Nie mam naturalnie zamiaru wzywać tu, wołać, bić na alarm itp., bo się od takiego publicystycznego tupania krytyka spod ziemi nie wyłoni. Póki jej nie ma, spróbujmy partyzanckim sposobem zaimprovizować coś na ten zadany temat. Zastanówmy się nad tym, tak niesłusznie przemilczanym, gatunkiem literackim, jakim jest popularyzacja nauki.

A czy to w ogóle jest literatura? Twierdzę, że tak. Przykuwająca lub nudna, żywa albo schematyczna, postępująca utorowanymi ścieżkami lub zaskakująca oryginalnością i świeżością ujęcia — jak każde dzieło sztuki. Kandydat na popularyzatora musi, oczywiście, gruntownie znać to, o czym chce pisać. Będąc jednak uczonym w treści, musi być artystą w formie. Wartości naukowe i beletrystyczne nie chodzą, niestety, w parze, tak więc szczęśliwe ich ożenienie jest rzeczą trudną i na pewno trzeba tu pisarzowi tyleż wiedzy, co i talentu. Sama ranga naukowa nie zawsze wystarczy, jak o tym świadczy choćby przykład Einsteina, który, choć twórca teorii względności, nie był nigdy najlepszym jej popularyzatorem. Pół biedy jeszcze, jeśli zachodzi potrzeba napisania broszurki, popularyzującej jakieś jedno, niezbyt szerokie zagadnienie, zwłaszcza jeśli piszący ma do dyspozycji obfitą literaturę fachową i może znaleźć niejednego dobrego wzór w publikacjach wybitnych, światowej sławy uczonych. Trudniej znacznie popularyzować zagadnienie nowe, wciąż bogacące się w nowo odkrywane szczegóły, bo na takim polu trzeba już koniecznie być „pierwszą ręką” — kompilatorstwo zrodzić może tylko suche streszczenie, wykład, który nikogo nie pociągnie otwierającymi się perspektywami; żeby nie być gołosłownym, spróbuję rozważyć rzecz na konkretnym przykładzie. Jest nim zagadnienie pokojowego zastosowania energii atomowej — niezmiernie doniosłe dla nas zarówno pod względem światopoglądowym, jak i politycznym. Prawda, że się już to i owo w tej dziedzinie robiło, ale z tematem tak doniosłym, wnoszącym taki ładunek przemian rewolucyjnych w całą właściwie dziedzinę techniki naszych czasów, jest po trosze, jeśli o popularyzację chodzi, jak z tematem miłości w literaturze pięknej: nie to, że można, ale trzeba go podejmować wciąż na

nowo, aby wśród rzeczy przeciętnych, niezłych i dosyć dobrych pojawiły się na koniec dzieła doskonale. A więc tematem jest energia atomowa. Droga, wiedząca do sedna tego problemu, zbacza z bitego gościńca fizyki klasycznej, której szczątki każdemu kołaczą się w głowie, wyniesione ze szkoły, i wkracza w groźną dziedzinę mechaniki kwantowej, ciągnie się przez straszne grzęzawiska teorii jądra, pełne otchłani, w które boją się dać nurka nawet fizycy, kąpani we wszystkich matematykach, prowadzi ponad gąszczami różnorodnych statystyk, przecina mroczny ostep kwantowej teorii pól, gdzie błakają się potwory, nie poddające się jeszcze tresurze matematycznej, jakieś funkcjonały, człony rozbieżne i inne okropieństwa, na których sam widok zwykłemu człowiekowi włosy wstają na głowie. Popularyzator-uczony musi tu prowadzić czytelnika pewną raka, bo gdyby o krok zoczył ze szlaku prostoty wykładu, to w mig obu pochłonie bezdenny moczar matematyczny, z którego naukowiec wychynie już sam jeden... bezpowrotnie utraciwszy w owych głębiach czytelnika.

Norwidowskie „odpowiednie dać rzeczy słowo” ważne tu jest tak właśnie jak w wierszu, popularyzator zaś jest jakby tłumaczem z języka równań na potoczny i rzecz oczywista, że nieraz tłumaczenie nie uda się w pełni, że uroni niejedną zawilłość teorii, stanie bezradny wobec spiętrzenia trudnych pojęć i relacji, którym nic nie odpowiada w sferze codziennego doświadczenia. Rozumiejąc nieuchronność takich strat, musi jednak dbać o to, aby ich było jak najmniej. Z pomocą przychodzi mu ten sam środek wyrazu, jakim się posługuje poeta: porównanie, metafora, wnosząca błysk zrozumienia w ciemności zawilego tematu. Po obrazowe przedstawienia rzeczy można sięgać do baśni i legend, można pozwalać sobie na żart i groteskę, ale pod warunkiem, żeby te środki służyły treściom racjonalnym, żeby były ich nośnikami. Wiedział o tym dobrze ów uczony angielski, który, mając za temat trudny rozdział termodynamiki, odwracalne i nieodwracalne przemiany energetyczne, zaczął od słów: „Czy widzieliście kiedyś, żeby woda w wannie nagle ochłodziła, wyrzucając przy tym kąpiącego się w niej człowieka na wysokość kilometra...?” Niejeden adept popularyzacji usiłuje naśladować takie wzory, szpikując tekst dowcipami, nie związanymi rzeczowo z tematem; stosuje anegdotę jako pauzę w wykładzie, jako środek, mający rozerwać nieco znużonego wysiłkiem intelektualnym czytelnika. Jest to całkowite nieporozumienie. Uzyskuje skutek odwrotny do zamierzonego: rozproszenie uwagi, odwrócenie jej od sprawy głównej. Pewną analogia tego zjawiska jest „usamodzielnianie się” metafor w wierszu kiepskiego poety; każda metafora staje się tam celem sama w sobie, rozwichrza kompozycję i burzy kształt całości; u dobrego poety przeciwnie —

wszystkie środki wyrazu podporządkowują się naczelnej idei i tego samego musimy żądać od popularyzatora. W dziełku popularno–naukowym można mówić rzeczy nawet bardzo dziwne, byle je mówić do rzeczy, tj. byle służyły sprawie głównej.

Inny grzech popularyzatora, to nadmierne upraszczanie, które niejednokrotnie poprzedzają takie mniej więcej uwagi: „a tego, to Ci, drogi Czytelniku, nie powiem, bobyś i tak nic nie zrozumiał”. Czy możecie sobie wyobrazić przekład wiersza, w którym zamiast kolejnej zwrotki figuruje oświadczenie tłumacza: „tej oktawy nie udało mi się przełożyć!” Oczywiście to się zdarzyć nie może — w poezji. Niestety, zdarza się czasem w popularyzacji. Sądzę, że sprawą krytyki (nie istniejącej na razie) tego gatunku pisarskiego byłoby piętnowanie podobnych wykroczeń przeciw podstawowym zasadom popularyzacji. Kto nie” umie tłumaczyć wierszy, nie tłumaczy, a kto nie potrafi popularyzować, niechaj pisze podręczniki uniwersyteckie i niech nie mówi czasem, że „tego to się już naprawdę nie da słowami powiedzieć”. Historia rozwoju pojęć w fizyce wykazuje, że gdy się uczeni po jakim czasie otrzaskają z nowo powstałą aparaturą pojęciową, przychodzą obrazowe, realistyczne modele (kropłowy model jądra, pozytron jako cegła, której brak w murze).

Przeprowadziwszy czytelnika przez labirynty teorii, autor wchodzi teraz w obszar następny — przemysłowego zastosowania sił jądrowych. Utworzył się już pewien schemat rozpoczynania tej części książki od opisu „typowego stosu atomowego”. Namawiam gorąco przyszłych popularyzatorów do zrewidowania tego obyczaju. Takie ujęcie miało uzasadnienie w latach 46–47, ale dzisiaj bieda polega na tym, że „typowego stosu” nie ma, a to, co się jako taki stos opisuje, jest już właściwie historią technologii atomowej, a nie jej stanem aktualnym. Stos o tej samej mocy może być dziś wielki jak kamienica i mały jak piłka, może być zbudowany jak precyzyjny zegarek w pudle pancernym z rzadkich metali i może stanowić rodzaj bryi, okrytej ziemnymi wałami. Są już stopy „pierwotne” i „wtórne”, stopy — przetworniki uranu w pluton, dostarczające jednocześnie energii, itd., itp. Czytelnik, wprowadzony w ten las możliwości konstrukcyjnych, zagubi się w nim, utonie w powodzi szczegółów, zmiennych dzisiaj nieomal jak chmury na niebie. Tutaj nic po kompilacji — tylko naukowiec, zorientowany w istocie problemu, widzący kierunek głównej tendencji rozwojowej, sprostą zadaniu. A jakież to zadanie? Ukazanie perspektyw przyszłości... Perspektyw w naszym kraju, w naszym ustroju — bez granic, choć całkowicie realnych. I nie mam na myśli lotów kosmicznych, rad bym się nawet sprzeciwić podkreśleniu tej strony, tej możliwości energii atomowej: tak wiele zdziałać może — i zdziała —

energia atomowa w przemianie oblicza naszej planety. Ale to jest zagadnienie tak wielkie, że wolę je raczej pominąć, niż skwitować kilkoma zdaniem. Jeszcze tylko tyle: co' jest w popularyzatorstwie najważniejsze? Kiedy możemy uznać książkę za naprawdę dobrą? Myślę, że wówczas, gdy, kończąc ją, czytelnik nie będzie się czuł profanem, któremu wtajemniczony udzielił ze swych wyżyn elementarnej lekcji; jeśli zostanie sam na sam z nauką, jak turysta, który, osiągnąwszy szczyt, czuje się sam na sam z górami i zapomina o tym, że przybył na to miejsce dogodnym szlakiem, a nie bezdrozami, które pokonywali kiedyś w walce pionierzy. Wtedy dopiero rodzi się w czytającym świadomość tego, że nauka jest sprawą ważną dlań i bliską, że z jej rozwojem wiąże się jego los osobisty i że to jest dziedzina, żądająca wyężenia wszystkich sił, ale w zamian odpłacająca darami, jakim nic na świecie nie dorówna. A wtedy, jeśli jest młodym chłopcem, sam może zechce znaleźć się wśród tych, którzy pierwsi wchodzą na niepokonane jeszcze szczyty... Bardzo, bardzo potrzebne są takie książki. Co robić, by powstały? Zachęcać do pisania, próbować, szukać ludzi — a jedną ze spraw najpilniejszych winno być powstanie sumiennej, postulującej krytyki. Im więcej będziemy żądać, tym więcej otrzymamy.

JAK PRZYJMOWAĆ GOŚCI Z GWIAZD

Zastanawiająca jest poczytność, jaką cieszą się w Stanach Zjednoczonych wszelkie utwory gatunku *science fiction*; w samej rzeczy ludność kraju opływającego w dostatek, w którym nic nie wydaje się niemożliwe (dla posiadającego pieniądze), traktuje zapewne niejedną opowieść o wyprawach na inne planety znacznie bardziej serio niż my; dodatkowego dowodu na to dostarczyła mi książka, którą niedawno dostałem; jest to, przeznaczona dla młodzieży, „Kompletna księga podróży kosmicznych”, czyli — w intencjach wydawcy — rodzaj encyklopedii wiedzy astronautycznej. Zawiera ona, poczynając od pierwszej części, dokładne przedstawienie wymagań, stawianych pilotom raket międzyplanetarnych (to nic, że tych raket jeszcze nie ma — to, iż niedługo będą, uznają autorzy za pewnik, pragną zatem przygotować do mającego powstać zawodu dzisiejszych szesnastoletków, którzy, osiągnąwszy wiek dojrzały, zostaną sternikami raket). Mamy więc basie *training* — przygotowanie pilota podstawowe, wiadomości o statku (rakiecie), o podstawach nawigacji gwiazdowej itp.

W drugiej części znajduje się „Podręcznik astronauty”, zawierający „Informację nawigacyjną” oraz „Szansę przeżycia w razie wypadku” na poszczególnych planetach układu słonecznego. Rzecz oczywista — myślałem — jest to, mimo poważnej i rzeczowej formy wykładu, w gruncie rzeczy zabawa w kosmiczny rejs z szesnastoletnimi kandydatami na pilotów raketowych. Chodzi po prostu o odświeżoną i uatrakcyjniałą formę wykładu astronomii — albowiem astronomiczna jest w gruncie rzeczy materia tego „Podręcznika astronauty”.

Jakież jednak było moje zdumienie, kiedy wgłębiłem się w trzecią część solidnego tomu; jest ona, ni mniej, ni więcej, tylko krótkim podręcznikiem zachowania się w wypadku... spotkania przybyszów z innej planety. Samą możliwość wylądowania (każdego dnia) na Ziemi ekspedycji z jakiegoś innego niż słoneczny układu gwiazdowego uważają autorzy za coś oczywistego, wypranego niemal z wszelkiej fantastyki. „Inne planety istnieją” — tak biegnie mniej więcej tok ich rozumowania — „życie istnieje na nich od prawieków, muszą istnieć planety bardziej w rozwoju zaawansowane od Ziemi, a zatem i takie, których mieszkańcy wybornie umieją już podróżować po całym Kosmosie. Należy się więc liczyć z ich przybyciem. Co należy zrobić, spotkawszy ich? Ujrawszy opuszczający się z niebios «latający talerz» bądź inną tego rodzaju machiną? Czy paść plackiem? Czy uciekać? Czy chronić się? Czy też, przeciwnie, iść

naprzeciw?”

„Podręcznik” szczegółowo odpowiada na te pytania. Należy, rozumie się, spokojnie podejść, gdyż ucieczka mogłaby obcym przybyszom nasunąć myśl, że mają do czynienia z okazem „nieinteligentnej fauny planetarnej”, następnie trzeba w określony sumiennie przez autorów sposób dać Istotom z Gwiazd do zrozumienia, że jest się przedstawicielem rasy inteligentnej — i tu przychodzi kilkustronicowy opis wzorowego zachowania się po nawiązaniu pierwszego kontaktu.

Oczywiście, można powiedzieć, że i ten cały rozdział książki jest tylko rodzajem „zabawy”. Że miał jedynie podekscytować i rozbudzić wyobraźnię młodego czytelnika. Jest jednak w jego suchym, rzeczowym tonie, w jego ciągłym powoływaniu się na najnowsze (autentyczne) odkrycia biologii czy fizyki nuta, przekonująca o tym, iż rzecz, w zasadzie, pisana była poważnie.

Właśnie to, że ów „podręcznik” napisany jest tak serio, z odwołaniem się do najnowszych odkryć i do rzetelnej wiedzy medycznej, biologicznej, fizycznej, sprawia, iż, zamykając tę książkę, odczuwa się jakiś taki rodzaj wzruszenia — jak po zetknięciu się z kimś może i mądrym, ale niesłuchanie naiwnym! Mądrym — gdyż posiada olbrzymią wiedzę, umie ją świetnie zastosować, rozumuje szybko i logicznie wyciąga wnioski, imponując jednocześnie rzetelną erudycją. Naiwnym — bo jednak to spotkanie Istot z Gwiazd, które może wydarzyć się każdego dnia, te instrukcje dokładne, typu (cytuje): „Stwierdzić, czy Statek ląduje z wielką szybkością, hamując gwałtownie. Jeśli tak, to jest on wyposażony w powłokę ciepłoodporną bądź odporną na tarcie. Jego załoga jest zapewne niewrażliwa na silną decelerację. Jeśli natomiast statek opada pod niewielkim kątem i z szybkością względnie niewielką, którą wytraca powoli, to widocznie materiał, z którego zbudowana jest jego powłoka, przypomina nasze materiały, nie posiada specjalnych urządzeń do deceleracji, a załoga jego jest na zmiany przyspieszenia wrażliwa. Należy się przyjrzeć powłoce możliwie dokładnie. Czy przypomina jakiś znany metal?”... Itd.

Może się ktoś upierać przy tym, że to wszystko jest jednak zabawa w naukowe podejście do fantastycznego zgoła zagadnienia. Zgoda — niech i tak będzie. Ale miliony szesnastoletnich Amerykanów nie będą traktowały tej „Księgi gwiazdowej” i jej pouczeń jak zabawy. Uczni ludzie piszą tu uczonym językiem ze śmiertelną powagą o tym, jakie formy trzeba zachować przy spotkaniu Istot z Innych Światów. To jedna składowa atmosfery umysłowej, jaką ta młodzież oddycha, jaka ją otacza od lat najwcześniejszych. Czyżby w tym

przedziwnym kraju, którego bogactwo zasłania nam tak często wszystkie inne, nieraz daleko istotniejsze, problemy, nauka przeradzała się w atmosferze materializmu, optymizmu i dostatku w nową mitologię? Czyżby to w taki sposób, na takiej glebie, wyrosnąć miały pierwsze mity, to znaczy: ze śmiertelną powagą traktowane baśnie Nowej Ery Atomowej?

1957

TALERZE NIEZIEMSKIE

Trudno i darmo — nie mogę wytrzymać, gdy mowa o latających talerzach. Więc się włączam.

Do powiedzenia nie mam zbyt wiele, ale są to tak zwane „silne numery”. Wyczytałem je w dziełku *Space Travel* A. Gaula. On zaś z kolei opiera się wyłącznie na relacjach i stwierdzeniach USAF — amerykańskiego lotnictwa. „Latające talerze” mają oficjalną nazwę w słowniku amerykańskich sił powietrznych, a mianowicie UFO — *Unidentie-fid Flying Objects* — „nie zidentyfikowane Obiekty Latające”. A oto garść dalszych, rzekomo nad wszelką wątpliwość, wielokrotnie zaobserwowanych danych. UFO dzielą się — zgodnie z obserwacjami bezpośrednimi oraz radarowymi — na:

1. Statki macierzyste
2. Właściwe „talerze”

oraz

3. Obiekty kształtu cygara, podobne w zasadzie do statków macierzystych, lecz mniejsze.

Tak zwane „statki macierzyste” są to obiekty wydłużone, do 350 metrów długości, pojawiające się z rzadka, tylko na bardzo wielkiej wysokości, śledzone przez radar wykazywały szybkość do 2,8 mil na sekundę. (Mila — ok. 1,6 kilometra.) „Talerze” — wydaje się, że wyłaniają się ze „statków macierzystych”, są różnej wielkości, od 30 metrów do 30 centymetrów średnicy. Bywały widziane na wszystkich wysokościach, także bardzo nisko nad Ziemią, mogą zmieniać kierunek lotu (o 180 stopni nawet), praktycznie w sposób momentalny, co oznacza, że podlegają niezwykle wielkim zmianom przyspieszenia. Ich szybkość, według danych radaru — do 2,0 mil na sekundę.

„Obiekty kształtu cygara” — wydaje się, że napędzane są odrzutem raketowym (płomień odrzutu bywał spostrzegany). Nie osiągają ani takich szybkości, ani takich przyspieszeń jak „talerze”.

Poza wymienionymi UFO obserwowano rzadziej dwa inne typy: „talerze latające” o różnokolorowych światłach oraz „zielone kule ogniste”, które niejednokrotnie wybuchają bez huk.

Najszybszy UFO, jaki zaobserwowano dotąd, osiągnął 11,7 mil na sekundę. Zielone kule

ogniste osiągały 11 mil na sekundę. Takie są znane fakty. Najszybsze produkowane na Ziemi rakiety osiągają około 1,5 mili na sekundę. Nie ulega wątpliwości, że poziom techniki raketowej wyklucza możliwość istnienia na naszej planecie obiektów, wyprodukowanych przez człowieka, zdolnych osiągnąć szybkość rzędu 11 mil na sekundę. Stąd wniosek, że UFO nie są pochodzenia ziemskiego (że nie zostały wyprodukowane na Ziemi).

Siła napadowa, stosowana w „talerzach”, nie jest znana; mówi się o magnetyzmie, o „sztucznej grawitacji”, o „anty-grawitacji”. Nic wszakże pewnego nie wiadomo.

Pojawieniu się pewnych typów „talerzy” towarzyszyły lokalne zakłócenia radiowego odbioru, skąd niektórzy wyprowadzają hipotezę, że źródłem siły napędowej „talerzy” są kierowane pęki jakiegoś promieniowania (jakiejś energii promienistej), wysyłane przez „statki macierzyste” z przeznaczeniem dla „talerzy”.

Najwięcej „talerzy” zaobserwowano dotąd nad lotniskami, fabrykami samolotów oraz zakładami atomowymi w USA. Nie wynika z tego jednak wniosek, że one rzeczywiście się tam najczęściej zjawiają, a tylko, że niebo jest nad takimi obiektami najskrupulatniej patrolowane i obserwowane (między innymi przez radar).

Tak zwane „statki macierzyste” oraz mniejsze pociski kształtu cygara nie podlegają bardzo gwałtownym zmianom przyspieszenia. Wydaje się to wskazywać na fakt, iż te dwa typy UFO posiadają żywą załogę. Żywa załoga nie byłaby w stanie podlegać bez najcięższych zaburzeń organicznych gwałtownym zmianom przyspieszenia, występującym w „talerzach” — stąd płynnie wniosek, że „talerze” są to urządzenia–automaty latające, zdalnie sterowane (ze „statków macierzystych”?), bez jakiegokolwiek załogi. Wydaje się, że mogą to być obiekty, wysyłane ze statków–baz celem dokładniejszego badania powierzchni Ziemi z małej wysokości.

„Zielone kule ogniste”, które poruszają się z wielką szybkością, a niekiedy bezgłośnie eksplodują, to — jak się wydaje — zdalnie sterowane i napędzane na odległość „flary” — rodzaj bomb oświetlających, używanych także przez nasze ziemskie lotnictwo (tylko że nasze są najczęściej magnezjowe i dają białe światło). Być może, istoty, które tych „flar” używają, posiadają zmysł wzroku wykształcony w odmiennych warunkach niż nasze ziemskie — może są to synowie planet, krążących wokół słońc posiadających więcej zieleni w swoim widmie promienistym (gwiazdy typu Antaresa).

Może jednak „flary” są tylko sygnałowymi światłami, wysyłanymi pod adresem innych statków („macierzystych”?) — np. dlatego, że w obrębie Ziemi „goście” zachowują „ciszę

radiową”, abyśmy nie mogli, niepowołani, podsłuchać ich sygnałów.

Jeśli są to przybysze z innych gwiazd, podróż ich trwać musiała lata, zapewne nawet dziesiątki lat. Być może, mogą przebywać przestrzeń kosmiczną w stanie „snu zimowego” — hibernacji — albo może żyją znacznie dłużej od człowieka.

Szczególnie fascynujący jest fakt, iż te istoty, od lat — jak się wydaje — prowadzą badania Ziemi, nie próbując dotąd wcale nawiązania kontaktu z ludźmi. W moim rozumieniu ten fakt pozornie paradoksalny — albowiem każda właściwie wymyślona przez ludzi historia o zetknięciu cywilizacji ziemskiej z istotami „innego świata” ma za temat od pierwszej chwili wzajemne porozumienie (czy nieporozumienia) — w pewnej mierze świadczyć może na korzyść hipotezy o realnym, naprawdę nieziemskim pochodzeniu UFO. Zdaje się, że — jeżeli mamy wierzyć wszystkim protokołom, obserwacjom, zdjęciom i zapisom radarowym — jesteśmy od dłuższego czasu „wzięci pod szkiełko” i systematycznie badani.

Na szczęście, choć wszystko, co tu napisałem, przytaczam wiernie za amerykańskimi źródłami, które każą wierzyć w „gości” całkiem serio i nie mają — podobno — nic wspólnego z fantastyką czy wręcz zwykłym humbugiem — otóż, na całe szczęście, mimo szacunku, jaki żywię dla radaru i obserwatorów amerykańskich, ocalało jeszcze w moim sercu źdźbło sceptycyzmu, który pozwala mi zachować spokój.

Gdybyśmy bowiem naprawdę mieli być, jako gatunek istot rozumnych, wzięci „pod lupę”, drżałbym o ostateczny rezultat takiego badania.

KOCIAK ZDALNIE STEROWANY

Kilku pomysłowych ludzi zastosowało w Ameryce elektryczną maszynę do liczenia *Barrows* — do komponowania piosenek.

Elektryczna pamięć maszyny mieści nuty, reguły ich kombinowania w melodiach i zasady eliminacji kombinacji niedobrych. Maszyna stwarza najrozmaitsze kombinacje nut, zestawia je z regułami kontrolnymi, odrzuca to, co się z nimi nie godzi i drukuje na taśmie kompozycje „udatne”.

Pierwotnym jej przeznaczeniem było prowadzenie rachunków buchalteryjnych; poświęca się im i obecnie, a sztuce kompozytorskiej oddaje tylko godziny „pozasłużbowe”. Jednakże i w tym, stosunkowo krótkim, czasie potrafi wyprodukować dostateczną ilość melodii, aby zadowolić swych właścicieli. Rzecz w tym, że fabrykuje ona do tysiąca melodii na godzinę.

Ów elektryczny kompozytor, zwany „Dadatronem”, doczekał się już, jak słyszę, pewnego uznania; jego piosenka pod tytułem „Kociak zdalnie sterowany” nadawana była w amerykańskim radio i w telewizji; podobno jest niegorsza od piosenek, układanych przez rzesze żywych kompozytorów.

„Dadatron” jest wszakże głuchy i niemy; melodie tworzy przez kombinowanie nut, zapisanych w jego pamięci analogicznie, jak są w niej — podczas godzin buchalteryjnego urzędowania — utrwalane cyfry. Inaczej działa maszyna–kompozytor, specjalnie skonstruowana we Francji w laboratoriach Philipsa. Posiada ona „skład dźwięków”, w którym na taśmie zapisane są dźwięki różnej wysokości, siły i barwy; są tam dźwięki wytwarzane przez specjalne urządzenia elektronowe, utrwalone głosy instrumentów i „dźwięki natury” — od szumu wodospadów po pianie kogutów. W maszynę wkłada się specjalny „program”, ograniczający zasób dźwięków, mających służyć za „surowiec” dla danej kompozycji, przy czym maszyna pracuje tylko w przedziale jednej oktawy, ponieważ już przy dwu oktawach ilość możliwych kombinacji osiągnęłaby 50 miliardów, co niepomierne przedłużyłoby pracę i selekcję.

To, co zostaje skombinowane z dźwięków, przechodzi do następnej części maszyny, zwanej rachmistrzem harmonicznym, który odrzuca wszystkie kombinacje, nie odpowiadające prawidłom kontrapunktu. Melodie, które zwycięsko wyjdą z tej próby, przechodzą do następnej części maszyny, która je przegrywa. Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że mowa nie o

plodach niezdrowej wyobraźni, lecz o rzeczywistych faktach. We Francji działa także podobno maszyna układająca wiersze; niestety, nie miałem możliwości przeczytania jej utworów, nie mogę ich więc ocenić.

Wielkie elektronowe maszyny do liczenia do niedawna były jeszcze podobne do genialnego, lecz sparaliżowanego wujaszka, który wspaniale liczy, ale jest głuchoniemy, nie rusza ręką ani nogą i trzeba go karmić łyżeczką. Problemy, które się tym maszynom dawało do rozwiązania, trzeba było tłumaczyć na specjalny język dziurkowanych taśm, taśmy te (tak zwane programy działania) wprowadzało się do ich wnętrza, a rozwiązania wytwarzała maszyna w analogiczny sposób, pod postacią perforowanych taśm. I te z kolei trzeba było tłumaczyć na „ludzki język”.

W laboratoriach telefonicznych towarzystwa *Bell Company* skonstruowano ostatnio aparaturę, która mowę ludzką bezpośrednio tłumaczy na „język”, dostępny elektronowej maszynie do liczenia. Początkowo urządzenie to tłumaczyło tylko wymówione przez człowieka cyfry na ich „perforowane” odpowiedniki, zrozumiałe dla maszyny; teraz jednak „pamięć językową” maszyny wzbogacono tak, że może ona „rozumieć” także i „sprawy pozamatematyczne”. Inne, równoległe urządzenie pozwala owej maszynie także mówić; co prawda nie wszystkie dźwięki (fonemy) języka angielskiego są dla maszyny jednakowo dostępne i trafiają się nieporozumienia; w zasadzie jednak, jak twierdzą ci, co mieli przyjemność porozmawiać z maszyną, wyraża się ona „zadziwiająco wyraźnie i wcale do rzeczy”.

Maszyna przetwarza usłyszane dźwięki w drgania elektryczne, które przepuszcza następnie przez system filtrów częstotliwości; w ten sposób powstaje widmo (*spectrum*) fonetyczne każdego dźwięku mowy. Widma te zestawia maszyna z „biblioteką widm”, znajdującą się w jej elektronowej pamięci i na tej podstawie stwierdza, jaki dźwięk został właśnie wypowiedziany. Z dźwięków składa słowa, zestawia je z posiadanymi w „rezerwuarach” pamięci semantycznej i, postępując tak, może „zrozumieć” wypowiedziane. „Mowa” maszyny polega w zasadzie na procesie przebiegającym w kierunku odwrotnym do opisanego.

Maszyna ta jest pierwszą próbną konstrukcją; jej „inteligencja” jest znikoma; mamy wszakże przed sobą zaledwie uczące się mówić niemowlę. Dajmy jej trochę czasu, nawet nie tyle, ile trzeba rzeczywistemu niemowlęciu, wystarczą dwa, trzy lata, a przemówi ona (czy też jej następne, udoskonalone „wydania”) pełnym głosem.

Należy sobie, wbrew wszystkim oporom, jakie budzi w nas takie twierdzenie,

uświadomić, że maszyna naprawdę może rozmawiać z człowiekiem, że więc nie stoimy tu przed jakąś jarmarczną sztuczką czy zabawką, którą stanowi np. urządzenie, odpowiadające na pytania dlatego, ponieważ ma gotowe, nagrane na taśmę, stereotypowe odpowiedzi, między którymi może wybierać. Nic podobnego; maszyna posiada tylko pamięć słów, reguły ich łączenia, gramatyczne i semantyczne, i nawet jej konstruktor nie potrafi dokładnie przewidzieć, jaka będzie jej odpowiedź w jakimś konkretnym przypadku. Na scenę wchodzi bowiem element nieobliczalności, zupełnie analogiczny do tego, jaki przejawia się w postępowaniu człowieka. Maszyna skonstruowana przez Amerykanów nie jest zatem jakąś wersją gramofonu, lecz czymś, co specjalnie dla nas, za każdym razem na nowo, zależnie od sytuacji, składa słowa, „komponuje” zdania i wypowiada je.

Czy słysząc o tym mamy się śmiać i wzruszać ramionami, pozostając w wygodnym mniemaniu, że maszyna jest i pozostanie na zawsze „żelaznym idiotą”, niezdolnym nigdy osiągnąć umysłowego rozwoju człowieka? Czy też, może, mamy przyznać się do lekkiego dreszczu w krzyżach i obliczu tego potwornego, w laboratoriach wypitraszonego, elektrycznego noworodka, który może w przyszłości gotować ludziom niespodzianki, o jakich im się dotąd nie śniło? Oto pytanie.

MASZYNA POSZUKUJE TWARZY

Nie wiem, czy są ludzie — historycy nauki? historycy sztuki? — którzy interesują się owym pograniczem estetyki i techniki, jakie nadaje kształt ostateczny najróżnorodniejszym wykwitom naszej cywilizacji, od lokomotywy i samochodu, poprzez most żelazny, do lampy na biurku. Problem to ciekawy i wiele mogący wyjawić zagadek gustów i smaków każdej epoki, zestawianie zaś następujących po sobie, różnorodnych form, w jakie oblekano w różnych czasach ciała maszyn czy konstrukcji technicznych, pozwala na sporządzenie podobnych tablic porównawczych, jak zestawienie odległych o miliony lat form zwierzęcych od czasów zamierzchłych do dziś, innymi słowy: obok tablic ewolucji organizmów żywych dałoby się sporządzić takie tablice dla wytworów rąk człowieka.

Badania tego typu prowadzi historia architektury, ale to tylko wąski wycinek znacznie szerszego problemu, o jakim chciałbym powiedzieć parę słów. Wiek dziewiętnasty był tym, w którym po raz pierwszy masowo wytwarzać poczęto konstrukcje żelazne i żeliwne; kratownice mostów czy masztów, wież, a także korpusy maszyn parowych i lokomotyw, słupy latarni gazowych, wszystkie one nie posiadały prostoty i czystości form, osiąganym dzisiaj, ale jak gdyby wstydliwie imitowały coś innego niż to, czym były w rzeczywistości, tak więc komin pierwszych lokomotyw wieńczyły żelazne, rozchylone liście czy też coś w rodzaju kwiatowej korony, żelazne balustrady opatrywano żelaznymi roślinami, równie secesyjne i „wdzięczne” kształty posiadały wszelakie latarnie, kolumienki i słupy oporowe; trudno odnaleźć coś zabawniejszego dla współczesnego oka niż korpusy kotłów i maszyn parowych z pierwszej połowy XIX wieku, którym daleko do oszczędności i celowości czysto funkcjonalnej; inżynierowie–konstruktorzy, spełniwszy w swym dziele warunki, wymagane przez prawa fizyczne wytrzymałości materiałów, chcieli jeszcze nadto twory te „upiększyć”, produkując istne rzeźby w żeliwie, tyleż dziwaczne, co zbędne. Zbędność tych wszystkich wykrętów i ozdóbek jest dla nas oczywista dzisiaj, ale nie była taka dawniej. Zastanawiające jest, jak trudno przewidzieć przyszły wygląd, choćby tylko zewnętrzny, nowego środka technicznego, w krótki czas po jego pojawieniu się. Środek taki przybiera na ogół kształty środków dawniejszych, niejako maskując w ten sposób swoją nowość. Przykładów można czerpać w bród z historii techniki; pierwsze wagony kolejowe przypominały dyliżanse konne, postawione na szynach, a

pierwsze auta były po prostu nieznacznie zmodyfikowanymi dorożkami. Kiedy nawet auto odnalazło własną swoją, znacznie od konnego pojazdu różniącą się formę, co nastąpiło na przełomie naszego wieku, gdy uzyskało ów kanciasty, szeroki kształt o liniach ścian i szyb prostopadłych do nawierzchni, niektórzy konstruktorzy bądź rysownicy usiłowali wyobrazić sobie, w jakim kierunku pójdzie dalsza ewolucja tej formy — i doznawali z reguły porażki. Chociaż bowiem (to bardzo ważne) zdawali się iść we właściwym kierunku, przyjmując za czynnik, mający w przyszłości modelować karoserię auta, prawidła aerodynamiki, chociaż wiedzieli zatem, że idealny będzie kształt możliwie zbliżony do kropli — to jednak ich projekty (z lat dziesiątych XX wieku) rażą mocno nasze oko i w istocie bardzo różnią się od tych form, jakie auta przybrały naprawdę, wchodząc w „epokę aerodynamizacji”. Nie zdajemy sobie bowiem wcale sprawy z tego, że opływowość współczesnej karoserii samochodowej jest niejako wypadkową dwu rozmaitych czynników: gustów panujących i prawideł fizycznych, a te drugie nie zawsze bynajmniej odgrywają rolę decydującą. Przeciwnie — auto, zbudowane tylko z uwzględnieniem wymogów aerodynamiki, byłoby w oczach szerokiej publiczności „brzydkie” i wielkie firmy samochodowe oraz ich projektanci doskonale o tym wiedzą.

Dlaczego tak się dzieje? Wydaje mi się, iż znam, choć częściowo, odpowiedź na to pytanie. Opływowość została niejako „narzucona” samochodowi przez samoloty, albowiem w dziedzinie lotniczej bardzo rychło, po przekroczeniu progu niskich szybkości, stała się ona koniecznością konstrukcyjną. Dlatego zapewne, iż przyszła z lotnictwa jako zapożyczenie, miała zrazu charakter dosyć niewolniczego kopiowania kształtów; pierwsze formy aerodynamiczne aut, w latach trzydziestych naszego wieku, charakteryzowały na przykład kropłowate, nie wtopione w resztą karoserii błotniki, zupełnie podobne do kropłowatych owiewników, w jakie lotniczy konstruktorzy musieli zamykać koła i podwozia samolotów o szybkości przekraczającej 200 kilometrów na godzinę.

Dopiero znacznie, bo ze dwadzieścia prawie lat później, auto „odnalazło” bardziej własny kształt, z błotnikami, „wchłoniętymi” przez całość karoserii i przyszedł czas dalszych poszukiwań, których owoce, w rodzaju „reflektorów z powiekami”, opadającej linii maski, itp., możemy dzisiaj oglądać.

Tymczasem jednak istotne zmiany zachodzą w lotnictwie pod wpływem zbliżania się do bariery dźwiękowej i przekraczania jej. Dalszym etapem jest rakieta, która w swej formie ostatecznej, przystosowanej do pionowego startu i przebijania atmosfery, będzie zapewne miała

kształt gigantycznego, zastrzonego na końcu ołówka. Forma ta, najwłaściwsza fizykalnie, jest atoli tak prosta, tak nie przemawia do naszej wyobraźni, spragnionej jakichś skrzydeł, lotek, sterowych upierzeń itp., że np. kiedy się projektuje rakiety do filmu fantastycznego, trzeba wprost z musu dodawać im jakieś mniej lub bardziej „upiększające”, z astronautycznego punktu całkiem zbędne, „dodatki”, aby nie rozczarować nadmiernie publiczności i zaspokoić jej oczekiwania...

Prawidłowością ogólną jest, iż nowe środki lokomocji, szczególnie szybkie, jak samolot bądź rakietę, kształt swój, właściwą formę, odnajdują rychło, bo im ją narzucają warunki fizykalne ruchu, natomiast urządzenia nowe, ale stacjonarne, nieruchome, jak stos atomowy, atomowa elektrownia, przyspieszacz atomowych cząstek (np. synchrofazotron), przychodzą na świat niejako „nagie”, bez jakiegokolwiek formy, a w jej braku przejmują formę podobnych urządzeń starszych (np. „starej”, parowej elektrowni), chociaż to często wcale nie jest z konstrukcyjnego punktu widzenia potrzebne. Kto wie, czy systematyka badań, o jakich mówiłem na wstępie, nie mogłaby doprowadzić w pewnej mierze do rozjaśnienia owego problemu — nadawania najwłaściwszych form nowym plodom ludzkiej wynalazczości naukowo-technicznej. Są przecież wśród nich takie, które „ogóle żadnej formy” jeszcze nie mają, mimo że istnieją dosyć dawno — na przykład mózgi elektronowe, stanowiące dziś po prostu zbiory tablic rozdzielczych i szafek z lampami i przewodami, porozstawiane po całym wielkim budynku. Mógłby ktoś orzec, iż takim urządzeniom forma zamknięta” w ogóle nie jest potrzebna — ale i to stanowi właśnie problem do dyskusji, której, jak dotąd, na świecie nie słychać — czemu mocno się dziwię...

O ROKU 2000

Przeczytałem w paryskim „Expressie” trójkolumnowy, z wywiadów złożony artykuł na temat, jak będzie wyglądał świat w roku 2000, i żal mi się zrobiło czytelników „Expressu” — i uczonych, którzy na ankietę odpowiadali.

O tym, że niebawem polecimy na Księżyc, wie dziś każdy szczeniak, nie trzeba się profesorów pytać. Każdy dziennikarz wie już także, że „sputnikami” można będzie oświetlać miasta nocą, przekazywać programy telewizyjne, regulować pogodę i robić masę innych jeszcze rzeczy (przydałyby się jeszcze sputniki do oświetlenia ulic, a już szczególnie w Krakowie). Kiedy czytałem te opatrzone zastrzeżeniami, do jakich obowiązany jest ostrożny zawsze i ścisły naukowiec, proroctwa na temat 2000 roku, przypomniały mi się mimo woli liczne takie proroctwa z dawnych czasów, kiedy to powstawały pierwsze maszyny parowe czy koleje, bądź telegraf. Zabawne jest to, iż współcześni widzą zawsze przyszłość jako teraźniejszość pomnożoną przez dziesięć albo przez sto, a jeżeli są szalenie odważni w fantazjowaniu, mnożą ją przez tysiąc — i są już w pełni tak uzyskanym obrazem ukontentowani. A zatem przyszłość widzieli współcześni pierwszym pociągom parowym jako krainę dymiącą i pykającą niczym jakieś nieskończone zbiorowisko czajników na gazie, z małymi motorkami parowymi przymontowanymi do każdego kołowrotka, do roweru, do drzwi nawet, które się będą automatycznie (słuchajcie, słuchajcie!) otwierały. A znów ci, dla których telegraf stanowił nowość, wyobrażali sobie, że my, ich potomkowie, nie będziemy nic — tylko telegrafować z miejsca na miejsce, uprzyjemniając sobie w ten prosty sposób bytowanie. Zdaje się, że tą manią mnożenia i oglądania przyszłości przez szkło powiększające przejęli się o wiele za bardzo Niemcy w czasie pierwszej wojny światowej, kiedy to jako supernowoczesną broń wypichcili u Kruppa osławioną Grubą Bertę, armatę, która była tak szalenie, tak niesłychanie wielka, że mogła wprawdzie ostrzeliwać Paryż z odległości 120 kilometrów, ale po parunastu strzałach była już do niczego.

Rzecz cała w tym, że obrazu przyszłości nie uzyskuje się patrząc przez mikroskop na wynalazki współczesne, albowiem decydującą rolę w kształtowaniu nowego oblicza rzeczywistości odgrywają zmiany społeczne, których tempa i kierunku niepodobna zazwyczaj przewidzieć oraz wpływające na te procesy, nowe odkrycia i wynalazki, nowe, to znaczy

zazwyczaj takie, jakie się poprzedniemu pokoleniu nawet w snach gorączkowych nie śniły. Żeby wymienić dla przykładu: elektrownie atomowe czy mózgi elektryczne, jedno i drugie nie istniejące przed półwieczem nawet jako puste pojęcia, jako szczyty fantazji.

Należy zatem być wielce ostrożnym, przyjmując do wiadomości oświadczenia panów profesorów, którzy świat z roku dwutysięcznego widzą pokryty gęsto centralami czerpiącymi energię z rozkładu atomów bądź automatami elektronowymi, które wyręczają ludzi we wszelkiej pracy. Nie twierdzę, że tak nie będzie; namawiam jedynie do ostrożności. Podobnie zakłęcia fachowców, obwieszczające, iż podróż do wielce odległych miejsc Kosmosu stanie się możliwa nie na pewno, a tylko być może, a i to po przeminieciu wielu co najmniej wieków, należy przyjmować z grzecznym uśmiechem. Toż o telewizji kolorowej pisało się jeszcze z piętnaście lat temu, iż jest mrzonką nie do urzeczywistnienia, a to przez wzgląd na szaloną komplikację niezbędnych do jej realizacji urządzeń, proszę panów profesorów! I w ogóle trzeba zachować najwyższą rezerwę nie tyle już w prorokowaniu tego, co możliwe, ile w składaniu oświadczeń na temat tego, co nie jest możliwe. Gotów tu bowiem przypomnieć się z zaświatów słynny fizyk J. J. Rutherford, który wyzwolenie energii atomowej w naszym wieku uważał za rzecz najzupełniej nieprawdopodobną.

Cóż bowiem, jeśli za lat pięć albo osiemnaście odkryte zostanie całkiem nowe źródło energii, bo ja wiem — „podatomowej”? Jeżeli okaże się, że to nowe źródło nie wymaga potężnych betonowych panczerzy dla ratowania człowieka przed śmiertelnym promieniowaniem radioaktywnym? Albo jeśli niesłychane wysiłki i fundusze, wkładane w budowę silników rakietowych, okażą się najzupełniej w przyszłości zbędne, za sprawą odkrycia, na czym właściwie polega „istota” grawitacji planetarnej oraz skonstruowania pojazdów „antygrawitacyjnych”? Jeżeli będzie można stwarzać bardzo potężne pola grawitacyjne w sposób sztuczny na Ziemi i tym samym zwalniać upływ czasu do tego stopnia, iż poddany działaniu takiemu człowiek (boję się powiedzieć „społeczność”) będzie się starzał nieporównanie wolniej, niż my się dziś starzejemy? Ale i tu wciąż obracam się w kręgu zjawisk, które mogą sobie jako tako wyobrazić, które mogą przyzwać choćby określeniem ogólnikowym, choćby słowem. Cóż jednak, jeśli nastąpią odkrycia zjawisk i praw całkowicie nam nieznanych — ale także i nie przeczuwanych dzisiaj? Historia ostatniego półwiecza raczej obfituje w takie właśnie, przewracające świat pojęć do góry nogami, rewelacje, z których choćby cybernetyka nie ma, że się tak obrazowo wyrażę, „ojca” ani „matki” pośród wszystkich dyscyplin i nauk, jakie przed nią

istniały (w przeciwieństwie do energetyki atomowej, którą zrodziła fizyka laboratoryjna).

Natłok odkryć, przemian w nauce, wynalazków zdaje się ośmielać niejednego do prorocत्व przyszłościowych, co uważam za zjawisko raczej paradoksalne, albowiem ten grad lecących nam na głowy tak gęsto odkryć nie przeczuwanych dawniej, nakazywałyby rezerwę i wzmożenie ostrożności w formułowaniu przepowiedni, jako iż sama częstotliwość, sama ilość odkryć ogromnych i rewolucjonizujących nasze życie w minionych dziesięcioleciach kazałaby właśnie spodziewać się jeszcze większego ich zagęszczenia, jeszcze poważniejszego, lawinowego wprost wzrostu naszej wiedzy, naszych możliwości działania, w niedalekiej stosunkowo przyszłości.

„Przyszłościowcami”, żeby tak rzec, „z zawodu” są” pisarze fantastyczno–naukowi; trzeba wyznać, iż wymyślili oni taką ilość wszelakich wynalazków i odkryć, jaka się bodajże żadnemu uczonemu nie śniła (w 1939 roku powstały już opowiadania o... bombie atomowej!). Myślę, iż warto by może kiedyś sporządzić katalog tych, przez pisarzy „proponowanych”, odkryć. Byłby na pewno ciekawy, choć praca niezbędna dla ułożenia go zdjęłaby sen z oczu setkom chyba bibliografów i speców od inwentaryzacji, ponieważ dzieł takich, powieści i nowel powstaje rokrocznie wiele tysięcy, a jest tak już od piętnastu lat z górą! Inna rzecz, że i pisarze nie mogą wymyślać na całkiem „pustym” miejscu — że i oni działają, przede wszystkim kombinując, przeinaczając, śmiało modyfikując pojęcia i hipotezy istniejące. Tego, czego nie wiemy na dobre, nie będziemy wiedzieli, dopóki... dopóki po prostu się nie dowiemy — i kwita; z czego nie wynika oczywiście daremność wszelkiego przewidywania. Ostrożność tu jednak nie zawadzi...

PROGNOZA NAUKOWA

P. M. S. Blackett — to wybitny uczony angielski, fizyk, znany ze swych badań nad zagadnieniami magnetyzmu. Jednocześnie Blackett od 1945 r. zajmował ważne stanowisko w angielskim Komitecie do Spraw Energii Atomowej i ceniony był jako fachowiec w tej dziedzinie — łączyło się to także z jego pracami czasu wojny, kiedy, jako jeden z pierwszych, podjął próby zastosowania ścisłych, matematycznych metod naukowych do teorii działań wojennych — strategii; zastosowanie to nazywają operacjonizmem.

W roku 1948 wydał Blackett książkę pod tytułem „Militarne i polityczne konsekwencje energii atomowej”, która miała szereg wydań w Anglii, Ameryce i innych krajach, i narobiła wiele hałasu. W książce tej poddał Blackett surowej krytyce atomową politykę mocarstw zachodnich, opierając się na dostępnych podówczas materiałach z tej dziedziny. Jednakże nie ten aspekt książki pragnę tu omówić, jakkolwiek nie jest on całkowicie przestarzały. Chodzi mi o coś innego: mianowicie piąty rozdział swego dzieła pod tytułem „Przyszły rozwój techniczny” poświęcił Blackett przewidywaniu, jak będzie się rozwijać broń atomowa oraz środki, służące do jej przenoszenia, w ciągu lat dziesięciu. Pisał książkę w roku 1947–8, granicą zaś jego przewidywań jest rok 1958. Bardzo interesujące jest zestawienie ocen tak wybitnego eksperta atomowego, jak Blackett, z rzeczywistym stanem rzeczy.

Przewidywania Blacketta dzielą się na dwie części. Pierwsza dotyczy rosnącej mocy destrukcyjnej bomb atomowych, jak również czasu, w którym Związek Radziecki stworzy zapasy takich bomb. Blackett przypuszczał, że Związek Radziecki nie będzie miał bomb atomowych przed rokiem 1951, że będzie to we wcześniejszym terminie mało prawdopodobne. Jak wiemy, przewidywanie to okazało się w całości fałszywe.

Co się tyczy wzrostu mocy niszczącej bomb, Blackett jako fizyk — rzecz oczywista — znał teoretyczne podstawy i przesłanki, wskazujące możliwość skonstruowania bomby wodorowej — pisze o takiej bombie (wodorowej lub lito-wodorowej) na 47 stronie swojej książki — jednakże przypuszcza, że jeżeli takie bomby w ogóle powstaną, nastąpi to dopiero w dalszej przyszłości, w każdym razie poza granicą 10 lat przewidywania, jaką sobie wyznaczył.

Jak wiadomo, także i ten drugi punkt przepowiedni okazał się fałszywy. Prace nad bombą wodorową prowadziły Stany Zjednoczone już od 1950 roku, zaś Związek Radziecki eksplodował

pierwszą taką bombę przed Ameryką. Bomba, sto albo i tysiąc razy silniejsza od „klasycznej” bomby uranowej, która spadła na Hiroszimę, w swej gotowej do wojennego użytku postaci istniała zatem już w pierwszym pięcioleciu, objętym przewidywaniami Blacketta. I tu zatem doskonały ekspert pomylił się całkowicie — nie doceniając tempa rozwoju tych broni.

W dalszym ciągu zajmuje się Blackett środkami, jakie służyć mogą do przenoszenia bomb atomowych na większe odległości. Najpierw omawia środki „klasyczne”, to jest lotnictwo bombowe, po czym przechodzi do rozważania innych środków technicznych, mianowicie raket. I w tym przedmiocie jest Blackett, zgodnie z opinią najwybitniejszych swoich kolegów—specjalistów, zdania, że „żadne tego rodzaju urządzenia (raketowe) nie będą w stanie w ciągu najbliższych 10 lat z dostateczną dokładnością przenieść ładunku atomowego do celu takiego, jak miasto w odległości 1000 mil” — to znaczy: około 1600 kilometrów.

Otóż odległość 1600 kilometrów pokonują dzisiaj rakiety tak zwanego średniego dystansu (umowna granica zasięgu tych raket wynosi ok. 2500 kilometrów), a Związek Radziecki posiada rakiety długiego dystansu transkon—tynentalne, których zasięg przekracza nawet 8000 kilometrów.

Rakiety średniego dystansu znajdują się dziś w produkcji masowej, a — jak wiadomo — na Zachodzie przystąpiono nawet do budowania, na terenie państw należących do NATO, wyrzutni dla tego rodzaju pocisków.

Tak więc, jak widzimy, i w tym punkcie przewidywania Blacketta okazały się całkowicie fałszywe i wyprzedzone zostały przez rzeczywisty rozwój wypadków. Jeśli sobie uzmysłowimy, iż przepowiednia opracowana została przez fachowca pierwszej wody, posiadającego do swej dyspozycji wszelkie dostępne wiadomości w czasie, w którym ją układał, a nadto obejmuje ona okres zaledwie lat dziesięciu (albowiem sam Blackett wyjaśnia, iż tylko w takim przedziale czasu można czynić ściśle, posiadające naukową podstawę przepowiednie), jasne się stanie, jak zawrotny jest pęd wydarzeń i jak zaskakująca, nawet dla rzetelnego fachowca, różna od jego przewidywań — rzeczywistość. Należy dodać, że Blackett w ogóle nie wspomina nawet o raketach jeszcze dalszego zasięgu ani o możliwości sterowania pociskami dzięki wbudowanym w nie „mózgom elektronicznym”, które prowadzą nawigację w odniesieniu do gwiazdowego nieba, co czyni ją niesłychanie dokładną. Podobnie nie dopuszcza on możliwości pojawienia się, w analizowanym przez siebie okresie czasu, sztucznych satelitów, których rolę w dziedzinie teorii nawigacji poza granicami atmosfery ziemskiej, jak i obserwowania naziemnych obiektów

w całej strefie ich lotu, trudno jest przesądzić. W świetle całkowitej klęski wielocząłonowej przepowiedni Blacketta, która okazała się wręcz naiwnie nieśmiała w zestawieniu z rzeczywistością, można innymi oczami patrzeć i na nowo oceniać rozmaite przepowiednie, wypowiedane przez wybitnych nawet fachowców w dobie obecnej, określające na przykład termin pierwszego lotu rakiety z ludźmi w przestrzeń kosmiczną czy moment osiągnięcia przez człowieka Księżyca — a także innych planet.

Wszystko zdaje się wskazywać na to, że rozwój techniczny w jakiegokolwiek dziedzinie, jego tempo — *zależy* od sumy wysiłków, wkładanych w tę dziedzinę przez ludzi. Innymi słowy: jeżeli bardzo będziemy tego chcieli — loty do innych planet rozegrają się na naszych jeszcze oczach. Oczywiście mówiąc „my”, nie mam na myśli tylko siebie i Czytelników. To „my” obejmować musi większą i — głównie — więcej mającą do powiedzenia ilość ludzi...

Z faktów tych wynika zarazem, że usunięcie trwającego w naszym świecie antagonizmu otworzyłoby możliwość nagłego skoku rozwojowego ludzkości w przyszłość, pełną tak fantastycznych obietnic i wspaniałych możliwości — jakich ani wyobraźnia artysty nie stworzy, ani umysł uczonego nie potrafi przepowiedzieć.

O GRANICACH POSTĘPU TECHNICZNEGO

Jak wiemy, postęp cywilizacji uwarunkowany jest w ostatniej instancji ewolucją narzędzi wytwórczych. Perspektywy tej ewolucji nie były jeszcze w XIX wieku zbieżne, to znaczy — nie sposób było sobie wówczas przedstawić jakiegoś kresu doskonalenia techniki produkcyjnej w oparciu o jej aktualne tendencje rozwojowe. Z drugiej połowy XX wieku taki kres zdaje się widoczny. W artykule, zamieszczonym niedawno w Trybunie Ludu, profesor L. Infeld wskazał na nieustające przyspieszenie postępu naukowo–technicznego, jako na jedną z istotnych prawidłowości rozwoju naszej cywilizacji. Jak spadający ciężar przebywa w jednakowych odstępach czasu coraz to większą drogę, tak nasza wiedza i sposoby jej społecznego użytkowania wzrastają coraz szybciej. Zjawisko to, zapoczątkowane na przełomie stulecia, ze szczególną gwałtownością przejawia się w naszych czasach. O ciągłym przyspieszeniu tempa, w jakim narasta wiedza, świadczy to, że światowa czołówka myśli naukowo–technicznej coraz szybciej ucieka, oddala się coraz bardziej od przeciętnego poziomu ziemskiej techniki. Najwydajniejsza elektrownia węglowa staje się anachronizmem wobec atomowej, samolot — wobec rakiety, mechanizacja produkcji — wobec jej automatyzacji. Ta ucieczka najbardziej przodującej myśli w przyszłość stawia poważne trudności przed ekonomistami, pragnącymi planować rozbudowę przemysłu, albowiem życie domaga się doraźnych rozstrzygnięć, a same możliwości zrewolucjonizowania produkcji, teoretycznie wyższe od sposobów wytwarzania tradycyjnych, nie zawsze i niełatwo dają się wprowadzić w życie, wymagając olbrzymich inwestycji i przede wszystkim olbrzymiego skoku jakościowego w dziedzinie przygotowania wykwalifikowanych odpowiednio kadr. Dlatego całe nadchodzące dziesięciolecia będą wypełnione pracą nad umasowieniem i upowszechnieniem odkryć dzisiejszych, a nawet wczorajszych. Tymczasem rozwój możliwości biegnie niepowstrzymanie dalej — i dzisiaj już stają się dostrzegalne jego granice, pojęte nie jako ograniczenia okresowe, których przekroczenie będzie zadaniem następnych pokoleń — ale jako kres pewnego rodzaju postępu materialnego w ogóle.

Konkretnie: nieustający wzrost szybkości środków transportu po przezwycięzeniu bariery dźwiękowej i termicznej będzie miał — w obrębie Ziemi — kres, kiedy osiągnięta zostanie szybkość ucieczki z jej pola ciężenia (ok. 8 km/sek). Potem będzie już tylko miejsce na i masowienie i udogodnienie przewozu mas towarowych i ludzi — podstawowa wszakże

rywalizacja na tym polu, przebiegająca pod postacią walki o najwyższą szybkość, ustanie.

Nieustający wzrost umiejętności wyzyskiwania źródeł energetycznych osiągnie kres, kiedy cała energetyka Ziemi opierać się będzie na przemianie oceanicznego wodoru w hel; potężniejszego źródła energii nie ma we Wszechświecie. Jeśli nawet myśl naukowa ukaże nowe możliwości (powiedzmy, w zakresie reakcji materii z „antymateria”) — to nie będzie żadnej praktycznej potrzeby realizowania tych nowych możliwości na skalę globu, skoro synteza helu i wodoru zaspokoić może największe nawet wymagania przyszłych pokoleń i będzie procederem najbardziej podstawowym, choćby dlatego, że prędzej (za jakieś 10 miliardów lat) zgaśnie nasze Słońce, aniżeli ludzkość wyczerpie tak użytkowane zasoby oceanów.

Nieustające doskonalenie sposobów produkcji będzie miało kres, kiedy ten sam, z oceanów wzięty wodór, posłuży za uniwersalny surowiec wszelkiej produkcji, jako że można zeń syntetyzować dowolny pierwiastek i dowolne połączenia pierwiastków. Tak powstające substancje będzie się przekształcać w masy plastyczne, metale, włókna, materiały budowlane, białka, węglowodany, cukry itp. Proceder ten, raz zapoczątkowany, będzie mógł trwać, jak poprzedni, setki milionów, a nawet miliardy lat.

Na koniec — nieustający wzrost automatyzacji będzie miał kres, kiedy ostatni człowiek odejdzie od pulpitu kontrolnego fabryk–automatów, a cały zestrój prac, obejmujący wytwarzanie i rozdział dóbr, przejdzie pod nadzór urządzeń automatycznych, które w odpowiedzi na rosnące potrzeby społeczeństwa będą odpowiednio przestrajaly materialną bazę produkcyjną. Ukazane granice ewolucji technologicznej oddalone są od nas znacznie tylko w skali długości życia ludzkiego; jest wszakże całkiem realne, że ludzkość osiągnie je za jakieś dwa — trzy wieki. Dość przeczytać wizje przyszłego świata, przepowiednie naukowców tej miary, co H. G. Wells czy O. Stapledon, pisane w pierwszych latach XX w., aby przekonać się, jak rzeczywistość uczyniła dziecinnie naiwnymi najśmielsze wyobrażenia „fantastów”. Dlatego trudno doprawdy wątpić w realność nakreślonych powyżej obrazów.

Jak należy rozumieć ów „kres rozwoju”? Oczywiście nie jako dojście do bram raj, a tylko jako sytuację, w której wyżywienie, odziewanie, przewożenie mas ludzkich przestanie być przedmiotem stałych wysiłków, uwagi i trosk, kiedy sfera zaspokajania potrzeb materialnych nie będzie już mogła rodzić różniących ludzi konfliktów, a tym samym zniknie w ogóle z codziennego pola widzenia. Ów przyszły nadmiar dóbr nie będzie ani źródłem antagonizmów, ani źródłem nieustającej szczęśliwości — będzie tylko oczywistością na poły niedostrzegalną,

jak, powiedzmy, dzisiejszy „nadmiar” powietrza. Celem moralnym socjalizmu jest zlikwidowanie wyzysku; celem komunizmu — nieodwracalne i całkowite zburzenie, unicestwienie wszelkich ograniczeń wolności człowieka przez człowieka, także i tych, które przy socjalizmie trwają nadal. Kiedy to nastąpi, jednostka będzie w wolności swych poczynań ograniczona jedynie obowiązującymi normami społecznymi — i, oczywiście, własnymi możliwościami. Taka wolność przedstawia jednak nie tylko skarb, ale i problem. Co będą — nasuwa się pytanie — robić ludzie, wyzwoleni z konieczności zapracowania na chleb w pocie czoła? Na to pytanie usłyszeć można dwie odpowiedzi. Pierwsza brzmi, że nakreślony obraz jest utopią, że ludzie zawsze będą pracować, czuwając nad pracą maszyn, bo nie wszystkie gałęzie produkcji zostaną w pełni zautomatyzowane. Stanowisko to, sprzeczne z działającą dziś tendencją rozwojową narzędzi wytwórczych, wyraża po prostu lęk przed nadmiarem wolności. Odpowiadającemu tak w głowie nie może się pomieścić myśl o świecie, w którym produkcja dóbr oderwana została od człowieka, w którym nie ma ślusarzy, maszynistów, szewców, kelnerów, konduktorów, urzędników i setek innych zawodów. Jednakże proces automatyzowania produkcji, transportu i usług, raz rozpoczęty, będzie biegł dalej, czy się to komuś podoba, czy nie. Niepodobna go powstrzymać, niepodobna „na powrót zakryć” żadnego odkrycia. Można najwyżej czas jakiś hamować jego rozpowszechnienie, jak to robili np. Amerykanie z przemysłowym zastosowaniem energii atomowej, bo zagrażało to interesom określonych grup społecznych.

Druga odpowiedź brzmi, że pracę fizyczną będzie stopniowo zastępować umysłowa. W miarę jak nikać będą stare specjalności, powstaną nowe. Ponadto rozkwitać będzie kultura; Ziemia zaroi się od inżynierów, fizyków, ale także muzyków, poetów, dramaturgów — będzie to Złoty Wiek Kultury. Obraz piękny — ani słowa. Rzecz jednak w tym, że zostać w tym czasie konstruktorem, fizykiem czy inżynierem nie będzie łatwo. Praca naukowa — w ogóle praca umysłowa — będzie się kształtować nie tylko w oparciu o maszyny matematyczno-rozumujące, ale i we współzawodnictwie z nimi. I to jest oczywiste, bo obliczać, robić statystyki, rejestrować, prowadzić sprawozdawczość, referować prace naukowe, tłumaczyć z języka na język, a także uprawiać badania typu zestawiającego, przyczynkarskiego, katalogującego — będą automaty, wypierając tym samym każdego, kto chciałby się urządzić w życiu małym nakładem wysiłku umysłowego. Nie tylko zresztą wysiłku — bp do pracy twórczej niezbędne są uzdolnienia, a nie wszyscy przecież ludzie je wykazują. Byłoby nierozsądne spodziewać się, że przyszłe wieki ujrzą

jakąś nagłą powódź, jakieś umasowanie dużych talentów twórczych. Tak więc stajemy przed możliwością pojawienia się wewnątrz społeczeństwa rozdziału na zasadzie różnicy uzdolnień; mało bowiem tego, że wszyscy chcą tworzyć — by to życzenie zrealizować, trzeba dysponować odpowiednim talentem. Mielibyśmy więc obraz równego startu i licznych sukcesów, triumfów, osiągnięć naukowych i artystycznych, ale także licznych klask, niepowodzeń, kiedy to zawiodą siły uzdolnień, mierzonych na ogromne wymagania epoki. W takim stanie rzeczy trudno już mówić o Złotym Wieku...

Można jeszcze odpowiedzieć, że to są kłopoty przyszłości, której nie ujrzymy i której nie możemy niczego doradzać — już ona sama upora się ze swymi problemami. Z tym, naturalnie, zgoda; jestem najdalej od chęci wymyślania zajęć dla przyszłych pokoleń. Chodzi mi o coś innego. Zaspokajanie potrzeb materialnych było na przestrzeni dotychczasowej historii ludzkiej jedynym motorem zbiorowych poczynań i stworzyło koncepcję jednostki jako wytwórcy dóbr użytkowych, która jest zarazem i motywacją społeczną istnienia, i kryterium jego wartości. Rozwój nie przebiega jednak pod postacią ciągłego narastania zmian ilościowych i tylko ilościowych; już dziś możemy dostrzec, że proces ten doprowadzi do zmiany jakościowej, do odrzucenia tradycyjnej koncepcji jednostki, koncepcji *homo producens*. Komunizm nie może być technologią zaspokajania życzeń ani superkomfortową techniką społecznej, wiekuistej, bezpłatnej konsumpcji. Musi on stworzyć nową społeczną koncepcję człowieka, uniezależnioną od założonych w nim uzdolnień, w granicach, w jakich to będzie możliwe. Musi on stworzyć międzyludzkie więzi niematerialne, to znaczy niezależne od sfery zaspokajania potrzeb życiowych, więzi natury racjonalnej i emocjonalnej jednocześnie, uznając za sprawy główne życia rozwój indywidualności, jej niepowtarzalność i niezamienialność w stosunku do innych ludzi, znowu: w granicach, w jakich to okaże się możliwe. Ta sprawa ostatnia — niezamienialności — wydaje mi się istotna, albowiem w społeczeństwie, pojętym jako maszyna wytwarzająca dobra dla zaspokojenia własnych potrzeb, człowiek — w stosunku do innych ludzi, poza kręgiem najbliższych, rodziny, przyjaciół — jest właściwie tylko funkcją, kółeczkiem, jednym z wielu pośrednich ogniw, częścią większej, działającej zgodnie całości, którą bez trudu można zmienić, gdyż jego osobowość, jego indywidualność nie uzewnętrznia się w praktyce społecznej wcale albo uzewnętrznia się tylko sporadycznie i znikomo. W tej dziedzinie będą musiały zajść największe chyba zmiany. Nie możemy dyktować ich przyszłości, z czego nie wynika, że nie możemy, że nie wolno nam o nich myśleć.

DOKĄD IDZIESZ, ŚWIECIE?

Więc jeszcze jedna próba zajrzenia w przyszłość naszego globu. Próby te są dziś modne, powtarzają się, pod piórami uczonych i publicystów powstały już nawet koleiny, z mnogości usiłowań narodziła się janusowa twarz współczesnego proroctwa: orłem jego jest technologiczna wspaniałość, automatyczny luksus przyszłej cywilizacji, reszką — niewidzialny ogień promieniowania, totalna zagłada. Zapewne, przyszłość będzie musiała wybierać między tymi krańcowościami, czy jednak pewne jest, że nie ma, że nie czeka nas nic oprócz automatycznego nieba bądź wodorowego piekła? Wytworzył się tu już stereotyp: piszący, zależnie od okoliczności, staje się apologetą lub Kassandra — na koniec można by sądzić, że przyszłość, dobra czy zła, będzie prosta, jak proste są, w ostatecznym wyrazie, oba wymienione rozwiązania. Intencje moje tym razem są skromne: przejrzeć niektóre założenia, przyjrzeć się faktom, zrewidować, być może, wnioski, niczego nie mówić z pewnością nie uzasadnioną, ponastawiać wreszcie, jeśli okaże się to wskazane, znaków zapytania tam, gdzie stawialiśmy dotąd tylko wykrzykniki; coraz dalsza przeszłość, malejąca w wymiarach skromnych hekatomb nieatomowych wojen, zawiera jednak chyba w sobie jakieś ziarno, jakiś cierpki rdzeń doświadczenia, dlatego po prostu, że jest zbiorem faktów, niewzruszoną realnością, i w zygzakach jej znieruchomiałego biegu można odczytać niejedną z tych prawidłowości, które ukształtują nasz przyszły los.

1

Istniejąca obecnie równowaga atomowa jest, rozumie się, procesem, a nie stanem; posiada swoistą dynamikę, którą można by studiować, w oderwaniu od zagadnień wielkiej polityki nawet, metodami matematycznymi. Po stworzeniu najsilniejszych środków niszczących przyszła, naturalnym biegiem rzeczy, kolej na skonstruowanie narzędzi, środki owe przenoszących do celu. Tak po atomowym przyszedł wyścig rakietowy; gdy ładunki wodoru osiągnęły swoje „optimum” i dalsze ich powiększanie straciło sens jedynie się liczący, strategiczny, gdyż miasto czy kompleks miast, czy kraj cały, można, jak człowieka, zabić (dokładnie) tylko raz — granicę doskonalenia uzyskały i rakiety, przynajmniej w dziedzinie szybkości. Kto chciałby je wysłać

jeszcze szybciej, niż można to czynić już dzisiaj, wyrzucałby je w niebo, nie wracałyby na Ziemią; po osiągnięciu perfekcji dalsza droga w tym kierunku przestała istnieć. Oczywiście, gorączkowa działalność może trwać nadal, dotyczy jednak głównie szczegółów, więc rozmaitych elementów technicznych i technologicznych, więc sposobów napędu, urządzeń celowniczych czy aparatów obserwacyjno–ostrzegawczych, proces ten jednak nie wnosi w istniejącą sytuację żadnych czynników na tyle doniosłych, by zdolne ją były jakoś zmienić. Że jednak żaden stan nie może na naszym padole nieustającego biegu trwać niezmiennie, wewnątrz pozornie monolitowej (choć dwuczęściowej) równowagi sił wojennego atomu pojawiają się niepokojące, mało na razie wyraźne zjawiska. Rzecz w tym, że „klub atomowy” poczyna z wolna rosnać. Po Anglii — Francja, a słyszymy już i o Niemczech Zachodnich, które wzięły się ze znaną skrupulatnością i dokładnością do pracy i gotowe są dostarczyć niebawem światu atomowych bomb coraz to tańszych i prostszych w budowie. Proces ten, nie zahamowany — a nie wyobrażam sobie, aby mogło go zahamować cokolwiek poza rzeczywistym rozbrojeniem, najwyżej jakieś półgody i kompromisy potrafiłyby, dajmy na to, spowolnić tę „akcję rozpowszechniania bomb” wśród ludów — po pewnym czasie doprowadzić może do chwili, w której jakiś dyktatorek południowo–amerykański czy jakiś w eleganckim mundurze khaki działający „strongman” w gatunku płk. Mobutu dostanie do swej dyspozycji jedną z tanich, dumpingowych, niemieckich atomówek. Jest grubą naiwnością sądzić, że mocarstwa, które, jak właśnie producent tych tanich bomb *in spe* — NRF, ową akcję upowszechnienia atomówki zapoczątkowały, byłyby zdolne regulować ją i kontrolować tak dalece, że szansa rozpalenia radioaktywnego ogniska wojennego w jakimś oddalonym od głównych stolic punkcie planety przestałaby istnieć.

Regulować można tylko pierwociny, zaczątki takich procesów; potem wymykają się inicjatorom z ręki. Dojść wówczas mogłoby do sytuacji tyleż nieprzewidywalnych co groźnych, na koniec pierwszy atomowy wybuch zaskoczyłby mógł jednakowo wszystkich — ale tu zbyt wiele już powiedzieliśmy w trybie warunkowym, zresztą nie zajmujemy się zjawiskami fantastycznymi. Rzecz jest oczywista: nastąpi czas, w którym posiadanie atomowego arsenału nie będzie już źródłem żadnych korzyści, żadnych szans, oprócz jednej — zagłady. Oczekiwać tego stanu biernie niepodobna; będzie sprawą polityki, przewidującej i rozumnej, dostrzec zbliżanie się tego momentu i ukazać światu, w jakiej mierze jedyną jego i ostatnią szansą jest rozbrojenie pod kontrolą. Nie twierdzę, naturalnie, że do pochówku atomowego niebezpieczeństwa musi dojść właśnie w taki sposób, ale wydaje mi się ta szansa wcale realna, gdyż inaczej przez

równowagę atomową przeszedłby świat do atomowego chaosu, w którym najmniejsi, a najbuńczuczniejsi usiłowałiby grozą, importowaną z korzystnie produkujących firm NRF, szantażować wielkie mocarstwa, rozwiązywać problemy swoje i swoich sąsiadów — za nich. Byłby to, oczywista, wstęp do pogrzebu ludzkości; mój — przyznaję: umiarkowany — optymizm co do dalszego rozwoju wypadków opiera się na przypuszczeniu, że z pozycji zbrojeń atomowych zejda nawet dzisiaj najoporniejsi (właściwie wolno by nawet powiedzieć „najobłąkańsi”, gdy wziąć pod uwagę sytuację, w jakiej Francja na gwałt stara się uczynić mocarstwem atomowym, dawno po opublikowaniu statystyk, ukazujących, że już posiadanego przez obie strony materiału rozszczepialnego z czubkiem starczy na wszystko i wszystkich — ale epitetami szaleństwa lepiej nie wojować, bo zbyt szybko doprowadziłoby to do kompletnej inflacji) — zejda, powtarzam, najoporniejsi dziś, nie dla wysokich racji moralnych ani nie pod naciskiem opinii publicznej świata nawet, ale tylko dlatego, że ten nóż rzeźnicki przestanie wówczas być obosieczny i będzie już miał tylko jedno ostrze, jednakowo wymierzone we wszystkich.

2

Gdyśmy takim sposobem nakreślili szansę (albo, mówiąc ostrożniej, jedną z możliwych szans) rozbrojenia i tym samym zdjeli z szali nacisk potencjalnej zagłady, możemy zapytać o przyszłość świata, już nie w wymiarze eschatologicznym.

Dwa dostrzegam fundamentalne błędy w rozumowaniach, mających nam zazwyczaj ten przyszły świat ukazać. Pierwszy — to lekceważenie realnych, ludzkich motywów działania. Drugi — to absolutyzowanie, nadawanie rangi ostatecznej współczesnie (a więc w skali globu, chwilowo) egzystującej technice, technologii naszej cywilizacji.

Zacznijmy, aby rzecz ożywić, od tego drugiego, krótkowzrocznego spojrzenia. Każdy z nas oglądał zapewne, i to nieraz, owe zabawne ryciny, miedzioryty i rysunki, na których uwiecznione są technologiczne, przyszłościowe wizje naszych przodków. Z epoki parowej: wszystko na tych (w swoim czasie jak najbardziej serio traktowanych!) obrazkach dymi i buzuje. Parowe karoce, parowe koczki, bryki, windy nawet; parowe dwukółki; krajobrazy w glorii zionących ogniem lokomotyw i nieskończenie długich, żelaznych, kolejowych pociągów; wspaniałe, rzeźbione, żelazne mosty dla nich; parowe armaty i okręty. W równej mierze rozognił

wyobraźnię naszych dziadów balon czy trzciniowo–płócienna machina latająca Wrighta; znów te same, przezabawne wymysły, miasta, buczące od śmiesznych, drewnianych nietoperzy, balkony, do których dobijają wdzięczne, balonowe gondole — i nie inaczej działa się z każdym, uzyskującym pewien rozgłos wynalazkiem, jak telefon czy dynamomaszyna; za każdym razem powtarzano dokładnie, skrupulatnie wręcz ten sam błąd: pierwocinie, powiększonej tylko mechanicznie sto czy tysiąc razy, zarazem rozpowszechnionej na wszystkie morza i lądy, przyobiecowano triumf i wyłączne panowanie na dzień jutrzejszy. Czy zatem — chciałbym spytać — nie jest możliwe, że technologiczne apologie naszych czasów nie będą pobudzały naszych wnuków do równie szczerej wesołości? Czy świat przyszłości ma, czy może być sferą nieustających, galaktycznych podróży — albo mrowiących się na Ziemi elektronowych robotów — albo gigantycznych elektrowni atomowych — zupełnie jak gdyby ludzkość powodowała się jedną tylko intencją: zachorowania na jakąś monomanią technologiczną, byle dostatecznie monumentalną?

Tu w rozważania nasze włącza się kwestia zaznaczona już: motywów ludzkiego działania. Idzie o motywy zbiorowości, o zjawiska w skali społeczeństw, więc o zagadnienia z zakresu socjologii i polityki. Pewna autonomiczność rozwoju wynalazków jest niewątpliwa, to znaczy, że raz skonstruowany, pierwszy, prymitywny samochód czy pierwsza aparatura telewizyjna wpływały (choćby samą tylko swą niedoskonałością, ułomnością, powiedzmy tutaj, aczkolwiek rzecz nie jest aż tak prosta) na rzesze konstruktorów, tak że rozpoczynał się ten tak ciekawy i godny prześledzenia proces ewolucji, że powstawał szereg kolejnych, coraz doskonalszych form, które można zestawiać z sobą akurat tak samo, jak biolog–ewolucjonista zestawia kolejne formy kopalnego konia czy jaszczura. Analogie takiego, ewolucyjno–biologicznego typu można zresztą (choćaż to właściwie nawias) mnożyć. I tak panowaniu poszczególnych gatunków, chociażby jaszczurów, przyszedł kres, gdy na scenę weszły ssaki; pierwsze były zwierzętami małymi, słabymi, prymitywniejszymi pod wieloma względami od wysoko wyspecjalizowanych, gigantycznych jaszczurów, a mimo to w toku biologicznego współzawodnictwa przyniosły owym olbrzymom zagładę. Jakże podobnie przedstawiały się dzieje, dajmy na to, maszyny parowej i spalinowej. Gdy pojawiła się ta ostatnia, silnik Otta, olbrzymie i wspaniałe pociągi pędzone parą przebiegały wszystkie kontynenty, pan a jać na nich niepodzielnie, a pierwsze benzynowymi motorami napędzane pojazdy były nieporadnymi słabeuszami i dziwolągami. I oto w ciągu lat pięćdziesięciu (ewolucja na proces analogiczny potrzebowała setek milionów...) doszło do tego,

że w krajach o szczególnie szybkim tempie rozrostu techniki, jak Stany Zjednoczone, koleje stoją przed obliczem bankructwa, zagłady ekonomicznej, a cały omal transport przejęły od nich samoloty i samochody, napędzane silnikiem benzynowym. Ale ta autonomiczność rozwoju wynalazków, bo o niej mowa, jest tylko jedną i, dodajmy, najbardziej rzucającą się w oczy stroną całego złożonego zjawiska. To prawda, że, raz skonstruowany, samochód w pewnym sensie „rozwija się sam” dalej, że jego formy, z roku na rok zmieniające się i nowe, dyktuje tyleż moda (której skrytą sprężyną jest zresztą interes producentów), co wymagania techniczne, i że samochodu z roku 2000 wyobrazić sobie nie umiemy po prostu dlatego, ponieważ — ponad wątpliwość — byłby nazbyt w niezgodzie z dzisiejszymi kryteriami oceny i z podobnych, estetycznych powodów uraziłby nas — przedstawiony nam — obraz człowieka z roku 500000. Wszystko to jednak (przypominam, że wciąż mowa o autonomiczności, o „własnym życiu” wynalazków) — ważne jest tylko w „obrębie gatunku”, który stanowi auto czy atomowa centrala energetyczna. I nie — wbrew pozorom — rozwój wewnątrzgatunkowy, by tak rzec, wynalazków kształtuje, w ostatecznej instancji, całość naszego życia. Czynią to przede wszystkim te fenomeny, te odkrycia i wynalazki, których wczoraj nikt nie przeczuwał nawet albo, jeśli je sobie jakoś wyobrażał, ich materializację, konstrukcję — to już na pewno efekt ich powstania, potężnie modelujący, rewolucyjny wpływ na oblicze świata pozostawał nieprzewidywalny, poza zasięgiem najśmielszego fantazjowania. Przykłady? Energii atomowej, nieznannej (nie do wiary!) przed laty siedemnastu, będzie dość. A przemysł chemii sztucznych tworzyw? A telewizja, a film, zaledwie znany na schyłku ubiegłego stulecia? Sprawa jest nazbyt oczywista, aby wymagała argumentów.

A zatem winniśmy się spodziewać wejścia na scenę — w ciągu najbliższych lat czy dziesięcioleci — takich nowych właśnie czynników, takich potężnych sił, takich wynalazków czy odkryć, które w skutkach okażą się równie wszechstronne i uniwersalne; mówić o obliczu przyszłości, nie uwzględniając tych niewiadomych — to raz jeszcze kreślić rysunki, z których potomność nie będzie miała nic oprócz uciechy. Tu jednak — zdawałoby się — doszliśmy do granicy naszych możliwości, podcięliśmy samą gałąź, na której siedzimy, bo jakże mówić o czymś, czego nie ma i czego — *ex definitione* — ani istoty, ani wpływów i konsekwencji na życie nie znamy — toż to kwadratura koła.

W jakiejś mierze na pewno; i nie będziemy próbowali wynajdywania nie istniejących wynalazków (w tej chwili przynajmniej, gdy rozprawiamy tak serio). W przeciwieństwie do gatunków zoologicznych czy botanicznych wynalazków owych nie rodzi przecież, nie stwarza

Natura, lecz człowiek; chciał podróżować, więc wynalazł okręt, pojazd, rakietę; chciał doskonałych niewolników, wynalazł więc maszyny, produkujące dla jego wygody; chciał zabijać, panować, więc...

Wynalazki są oczywistym skutkiem, potrzeby — przyczynami; czy jednak wymyślać mamy — z kolei — potrzeby? Nie — te i owe z zamkniętych drzwi otworzą się, gdy zbadamy nawet potrzeby teraźniejszości, najmocniej nie zaspokojone. Świat będzie potrzebował coraz więcej taniej energii; coraz więcej żywności i odzieży; coraz więcej pewności życia, jego ochrony przed chorobami i śmiercią. Ta fundamentalna trójca będzie przez dziesięciolecia jeszcze mieć prymat nad potrzebami innymi, takimi, które powstają dopiero po jakimś odkryciu czy wynalazku (jak np. telewizja, której dziadkowie nasi nie znali, nie mogli więc do niej tęsknić; inna rzecz, naturalnie, z podróżowaniem czy odziewaniem się; stąd wniosek, że wynalazków, których potrzeby nie odczuwamy dziś, wymyślić się nam nie uda).

Skomplikowany, bogaty w przygody, kłęski i niespodzianki proces atakowania nowych dziedzin technologii w zasadzie przedstawia się, to największe uproszczenie, tak:

Przykład pierwszy: energia atomowa. Potrzeba: podyktowana warunkami — pałaca (wojna, konieczność supremacji nad bezwzględny przeciwnikiem). Zrazu znana teoretyczna szansa skonstruowania bomby wodorowej (ale nie było naturalnie nawet tych słów, tego terminu), dzięki znajomości procesów zachodzących w gwiazdach, m. in. w naszym Słońcu. Żadnych szans na realizację. Pierwsze eksperymenty z rozszczepialnym uranem; obwarowana tajemnicą czasu wojny, najwyższa koncentracja mózgow i materialnych środków. Praca zespołowa, równoczesny atak na wielu frontach celem odnalezienia najsprawniejszej metody wydobycia uranu rozszczepialnego, a także stworzenia nowego pierwiastka rozszczepialnego — plutonu; praca w zasadzie oparta już na dobrej teoretycznej znajomości przedmiotu. Powolne kiełkowanie i powstawanie techniki atomowej przez kolejne przedstawianie procesów laboratoryjno–naukowych, tj. urzeczywistnianych w małej skali, na skalę przemysłową. Pierwsze bomby atomowe. Powrót do idei „sztucznego słońca”, nowa koncepcja: „zwykła” bomba atomowa jako zapalnik bomby wodorowej. Dalsze prace uwieńczone powodzeniem.

Produkt uboczny całej sekwencji tych prac: stos atomowy jako źródło energii. To trzeba powiedzieć. Nie on był bowiem ich celem. Obecnie prace idą, między innymi, w kierunku zrealizowania kontrolowanej reakcji syntezy wodoru, tj. zadaniem jest niejako, „równoległe powtórzenie” historii bomby atomowej. Jednakże „stos wodorowy”, jak dotąd, nie został

skonstruowany. Trudności na tej drodze okazały się większe, aniżeli przypuszczano. Sprawa bynajmniej nie jest jednak przegrana. Zaszła potrzeba rozszerzenia wstępnej fazy, teoretycznej: znajomość elementarnych właściwości materii nie jest jeszcze wystarczająca. Stąd — choć nie tylko stąd — gwałtowne tempo prac fizyków, uczonych całego świata, głównie w dziedzinie cząstek elementarnych obdarzonych wielką energią. Budowa ogromnych przyspieszaczy tych cząstek („kosmotrony”, „synchrofazotrony” itp.). Owoców tych prac trzeba jeszcze oczekiwać. Przykład drugi: astronautyka. Potrzeba: podyktowana warunkami wielkiej polityki. Konieczność dostarczenia strategom środków przenoszących broń jądrową. Warunki wyjściowe: osiągnięcia Niemców w dziedzinie budowy rakiet, z tych najdoskonalsza — rakieta V-2. Prace z zakresu balistyki zewnętrznej, teorii napędu rakiet, teorii paliw chemicznych, silników odrzutowych i raketowych. Produkt uboczny: rakiety, zdolne do wprowadzania na orbity okołozemskie sztucznych satelitów. Produkt ten, tak w tym, jak i w poprzednim przykładzie, stopniowo się autonomizuje. Znaczący to, że stos atomowy, który pierwotnie dostarczał wybuchowej materii jądrowej jako tego, czego odeń wymagano, energię zaś wytworzoną rozsiewano, gdyż była zbędna, przeszedłszy technologiczną ewolucję, stał się „stosem pokojowym”, który środków wybuchowych nie wytwarza, wytwarza natomiast energię; analogicznie rakiety — nośniki bomb, przekonstruowane, specjalizowane, stają się — i staną się — statkami kosmicznymi dla ludzi, zdolnymi poruszać się w kosmicznej przestrzeni.

Jak widzimy, energię atomową dla celów pokojowych i astronautykę uzyskano zrazu jako „produkty uboczne”. Jest to konsekwencją struktury świata, w jakim żyjemy; można sobie, naturalnie, pozwalać na ocenę moralną tego faktu, ale nie zmieni go ona w żadnej mierze; raczej płodniej można by zastanawiać się nad tym, jakie „uboczne produkty” może w przyszłości rodzić sytuacja tego naszego świata. Naturalnie nie zawsze musi chodzić o produkty *par excellence* „uboczne”. Nacisk demograficzny, dynamika wyzwalających się ludów kolonialnych może uczynić problemem nr 1 świata rozbrojonego globalnie — produkcję żywności. Koncentracja sił i środków pozwoli wówczas na rozwiązanie teoretyczne, a potem i przemysłowe, zagadnienia sztucznej syntezy takich środków, czy to drogą fotosyntezy z pierwiastków i surowców najtańszych, czy też jakąś inną; tak czy owak będzie szło o zjawiska z zakresu chemii stosowanej, ściślej mówiąc — biochemii. Możliwe jest, że produktem ubocznym „operacji żywność” będą nowe, nieznanne dziś substancje syntetyczne, służące np. jako budulec albo jako surowce do wyrobu odzieży.

Ale widzieć świat przyszły jako sferę wolności od lęku wojny, od głodu, nędzy, nawet i od choroby, byłoby, mimo wszystko, minimalizmem niewybaczalnym. Gdybyśmy jednak mieli sięgnąć myślą głębiej w tę dziedzinę nieznanego, musielibyśmy się pierwiej rozstać z wieloma wartościami, które uważamy dzisiaj za nienaruszalne.

Jedną z pierwszych takich wartości, na jakie sama przyszłość — swoim kierunkiem rozwoju — przypuści zapewne atak, jest nasze — powszechne dziś, nawet wśród większości uczonych (tak silne są przyzwyczajenia i pozarozumowe uczucia w człowieku) — przywiązanie do tego, co „naturalne”. Spośród wszystkich rzeczy „naturalnych” największą — rozumie się — wartość przywiązujemy do naszego własnego ciała, które otulamy co prawda w „sztuczne” futerały i pokrowce, przewozimy „sztucznie zbudowanymi” środkami komunikacji, żywimy niekiedy „sztucznie sporządzoną” żywnością, a nawet podtrzymujemy jego siły i wspomagamy je w walce z „naturalnymi” jego wrogami, jakimi są bakterie, „sztucznymi” chemikaliami lekarstw. Trzeba też niekiedy zastąpić jakąś część tego, w swej naturalności nieoszacowanego ciała już to protezą, już to wzmagającym działaniem osłabłych zmysłów (słuchu np.) aparatem. Zawsze jednak protezy te uważamy (*nota bene* słusznie) za gorsze od tego, co zastępują, od tego, co było; rozumiały, że każdy woli włosy od peruki na łysinie i własne, choćby nie dość perłowe zęby od nylonowej sztucznej szczęki. Ale to jest stan przejściowy; przyjdzie czas, kiedy wstawione zęby lepsze będą od tych, jakie wytwarza organizm, przyjdzie też kolej na inne, donioślejsze jego części. Już dziś mówi się, i nie tylko mówi, o zastąpieniu schorowanego serca nowym, o sztucznej nerce, sztucznej aorticie, sztucznych stawach czy kościach. To jedynie początek. Słyszymy też lekarzy, mówiących o „banku krwi”, po którym przyjdą podobne inne „banki” — tak że utraconą kończynę będzie można zastąpić kończyną — powiedzmy to wreszcie — trupa, niechby „świeżego trupa”, niechby „utrzymywanego w stanie podobnym do życia poprzez przepłukiwanie jego krwionośnych naczyń płynem podobnym do krwi”. Taki obraz zamąca już nieco nasz spokój. Słyszymy jednak dalej, że pewien biolog uruchomił kończyny psa, sparaliżowanego wskutek całkowitego przecięcia rdzenia kręgowego, w ten sposób, że w głąb nerwów kończyn tego psa wpuścił strumień elektrycznych bodźców, zapisanych na taśmie niby-magnetofonowej, bodźców, uprzednio zarejestrowanych — zapisanych — u zdrowego, chodzącego psa. I że to ma być wielka nadzieja na przyszłość dla ludzi, tkniętych paraliżem. Nosiliby w kieszeni małe pudełko z guzikami opatrzonymi napisami „chód”, „w prawo”, „w lewo”, „stop” itp.; i uruchamialiby — samych siebie, własne kończyny, naciśnięciem wybranego

guzika. O tym mówi się dziś jako o rzeczy realnej.

A przyszłość? Ta każe się ludziom pożegnać rychło z „naturalnym”, tak skorym do zmęczenia sercem; być może przyjdzie kolej na podlegający tylu cierpieniom narząd trawienia; po tej pierwszej inwazji mechanizmów i urządzeń sztucznych — a więc silniejszych, wytrwalszych od „naturalnych”, a także, i to najważniejsze, wymiennych! — przyjdzie kolej na krok następny, na ingerencję, śmielszą jeszcze i bardziej subtelną, w głąb chemizmu, mikroskopijnych procesów naszych ciał. Jak wiele jest z nich jeszcze do udoskonalenia, do zrobienia! Ale to oznaczać będzie właśnie „pożegnanie z naturą” — współczesnego człowieka szokujące, trudne do przyjęcia. Oczywiście, ta wielka fala przemian, ta rewolucja biologiczna doprowadzi do zrealizowania długowieczności, jakiej my sobie nawet wyobrazić dzisiaj nie potrafimy. Ale i z nią bieda, ponieważ mózg nasz zapewne nie zdoła usłużyć ciału przez wieki całe — zbyt rychło, przepelniony masą wspomnień, stałby się mózgiem starca, wegetującego, pozbawionego dynamizmu i żywości myślenia, tracącego zdolność wchłaniania nowych wrażeń. A więc i mózg, owo „nietykalne nietykalnych”, miałby stać się z kolei celem badań i, być może, przekształceń?... Jakich? Genetycznych? Ale tu znowu przychodzi sobie uzmysłwić, w jak dalece szerokim zakresie można by twórczo, kształtujące i zarazem opiekuńczo wpływać na płody, rozwijające się w środowisku sztucznym, poza macicą — i gdzie postawić kres tej inwazji techniki i chemii w głąb tego ostatniego skrawka natury, jakim jest nasze ciało, jaki do dziś jeszcze ostał się przed inwazją techniki w nasze otoczenie, w nasz świat zewnętrzny?

Odpowiedzi na to pytanie nie potrafimy udzielić. Widzimy tylko, że im bardziej próbujemy oddalać się myślą od dnia dzisiejszego, tym więcej przyszłych osiągnięć napawa nas odruchowym sprzeciwem, protestem, niepokojem, niechęcią — choć mówię, mówiłem przez cały czas tylko o zabiegach, o udoskonaleniach, służyć mających życiu! Spojrzawszy szerzej: przyszłość nie może być chemicznie oczyszczoną od trosk, bólów i strachów teraźniejszością, doskonale wygodnym, luksusowo skrojonym garniturem na nasze obecne nawyki, potrzeby i sądy. Nic podobnego — ona podda je kolejno rewizji, doprowadzi do ostrych starć, do konfliktów, będzie zmuszała do wyboru, będzie żądała płacenia ceny za rozszerzanie fizycznych granic życia, będzie — jednym słowem — odrzucała, niweczyła bardzo wiele z tego, co dziś mamy za bezcenne, nie do zastąpienia, nienaruszalne. I będzie w tym bezlitosna, jak sam postęp i jak on — nieodwracalna. Bo raz dokonanego wynalazku, odkrycia nic już nie może unicestwić, chyba wraz z całą ludzką rasą; sielanka jakiegoś przyszłego „powrotu do Natury” jest fikcją, utopią — i

dlatego właśnie drogę, jaka od odkryć współczesnych prowadzi w gąszcz niewiarygodnych nieraz konsekwencji przyszłych, nie tylko wypatrzeć trudno. Jeszcze trudniej się człowiekowi dzisiejszemu z nią pogodzić.

Umyślnie mówiłem dotąd tylko o jednostkowo–biologicznym aspekcie przyszłości, ale przecież inny, socjologiczny będzie, kto wie, czy nie jeszcze bardziej radykalny w stosunku do naszych teraźniejszych marzeń i wyobrażeń. Głosić, w wieku gospodarki planowanej, osobliwą strusią politykę — zacieśniania się do losów żyjącego pokolenia, postulować, jako cel doskonały, ten sam, tak wygodny i miły indywidualizm egalitarny, jaki był (przynajmniej myślowym) udziałem wąskich elit społecznych na przełomie XIX i XX wieku, widzieć w jego upowszechnieniu masowym rozwiązanie podstawowych problemów ludzkiego współżycia — jest, że użyję nie mojego powiedzenia, czymś gorszym od zbrodni: to błąd. To fikcja, dla jakiej po prostu nie ma miejsca w świecie nawet współczesnym, ale dzisiaj można jeszcze udawać, że tak nie jest. Nonsensowność takiej postawy przyszłość udowodni faktami nieodpartymi.

Kwestia pierwsza z brzegu: polityki populacyjnej, inaczej zaś mówiąc — ingerencji państwa, władzy nadrzędnej, w sferę życia rodziny, w głąb tej czcigodnej cegiełki elementarnej ludzkiego bytu, ukazuje, zaledwie tknąć ją ostrzem statystyki, matematyki, konieczność takich właśnie zabiegów, i to coraz radykalniejszych, w przyszłości. Rozrodczość nie ograniczana, przyrost naturalny tamowany tylko perswazją czy apelem, drogami okólnymi, to paliatyw rozwiązania, dobry na dziś. Gdy jednak zwolennicy wolności nie ograniczonej w tej sferze życia powiadają nam w dyskusji, że kula ziemską może, jak obliczono, wyżywić nie trzy, lecz osiem, może dziesięć, a nawet piętnaście miliardów ludzi, dość zapytać, co będzie, co ma być p o osiągnięciu tego stanu? A dynamika populacyjna uczy, że każde następne podwojenie ilości istot żyjących na Ziemi będzie następowało w czasie daleko krótszym, aniżeli poprzednie; koniec XXI wieku widziałby Ziemię zatłoczoną

do przeraźliwości; co wtedy? Ekspansja na inne planety? Jak gdyby taka kosmiczna emigracja mogła cokolwiek rozwiązać. Jak gdyby nie było oczywiste, że rosnąca liczebność ludzkości prędzej czy później rozsądzi wreszcie ten uniwersalizm, to całkujące świat nasz dążenie, które — bodaj najjawniejszy prąd naszej cywilizacji — z poszczególnych plemion, narodów, ras stwarza pośród starć i sprzeczności gwałtownych — jedną rasę, ludzkość, nie tylko jako hasło i frazes, lecz jako realną treść, mianownik zachodzących przemian.

Ilość przejść może — a raczej musi — w dezintegrujący wybuch, w rozsypkę, która swoją

odśrodkowością pokona scalające działania techniki. Technika scala ludzkość, gdyż jest jedna dla czarnych, białych, żółtych, gdyż stanowi najracjonalniejszą płaszczyznę porozumienia i współpracy, gdyż odrzutowcami redukuje odległości, miesza, stapia w tyglu wzajemnych kontaktów masowych, wspólnej pracy, współzawodnictwa, pomocy. Ale proszę sobie wyobrazić życie tej dwudziestomiliardowej ludzkości, niechby i nie cierpiącej jeszcze głodu ani nie nękaną męczarniami przeludnienia, bezdomności. Redukcja godzin pracy, zwiększenie godzin wolnego czasu, godzin własnych każdego człowieka, stwarza szansę wielkiego rozwoju kultury. Ale jaka to będzie kultura, wyrosła na gruzach indywidualizmu, uniwersalizmu ziemskiego, na to pytanie musimy szukać odpowiedzi już teraz. Pozornie rzecz to niemożliwa. Tylko pozornie. Ludzie uzdolnieni twórczo stanowią pewien, dosyć stały, odsetek wszystkich zjadaczy chleba; uczeni, myśliciele, artyści pojawiają się w tym większej liczbie, im więcej jest po prostu żyjących. I proszę zważyć: już dzisiaj wszystkich, jako tako uwagi godnych, utalentowanych artystów, malarzy — jest na świecie zbyt wielu, aby krąg przejawiania się ich indywidualności mógł sięgnąć daleko poza granice jednego kraju; skutek tej liczebności jest zadziwiający i zasmucający zarazem. Oto o wyblęśnięciu, wybiciu się, zyskaniu uznania zaczyna decydować ślepy traf, przypadek, staje się ten sukces artystyczny kwestią „wylansowania w Paryżu” czy w innej stolicy świata; na artystycznych giełdach odbywają się jak gdyby „ciągnięcia na ośle” i co pewien czas masy dowiadują się o nowym jakimś „odkryciu” specjalistów i znawców. Oczywiście przesadzam, ale tylko trochę. Indywidualność wielka na ogół jakoś się uznania dobije, choć czasem po latach, ale to, co dziś jest problemem zapoznanych talentów czy na ośle wylansowanych jednostek, więc w końcu marginesowym i drugo- jeśli nie trzeciorzędnym, w przyszłości, w tym wyobrażonym mrowisku dwudziestu miliardów stanie się regułą, prawidłowością nie do obalenia. Wartościowych książek, dzieł sztuki, utworów muzycznych, rozważań i teorii nowych będzie powstawało po prostu zbyt wiele, aby najzachłanniej konsument dóbr kulturowych mógł tej lawinie sprostać. To, o czym dzisiaj mówi się z uśmiechem, że poetów nie tylko czytają prawie wyłącznie poeci, ale że nawet nakłady tomików poetyckich warunkowane są liczbą żyjących poetów danego języka, obszaru kulturowego — to stanie się żalonym prawem przyszłego świata — tego świata nieograniczonego rozrostu liczby. Ani żarłoczność czytelnicza, ani głód wiedzy nie zapewnią żadnej jednostce bezpośredniego kontaktu z całokształtem najwybitniejszych nawet owoców twórczości, kiedy Rafaelów, Mozartów, Fermich będą współcześnie działały i tworzyły — tysiące. Zarysowująca się zatem

tendencja specjalizacji w zakresie konsumpcji kulturalnej będzie wyrażała, poetów sami już tylko poeci będą czytali, malarze będą malowali dla malarzy, muzycy — tworzyli dla muzyków, skoro całego obszaru życia zaledwie wystarczy, aby tylko zapoznać się z tym, co powstaje wszędzie indziej w tym jednym, danym gatunku. Oczywiście, równolegle rozwijałaby się, powielana sputnikowymi antenami nadawczymi na cały glob, telewizyjno—barwno—dotykano—węchowa, czy Bóg raczy wiedzieć jeszcze jaka, kultura masowa i tak powstały rozdział dwu kultur będzie się mógł tylko poszerzać. Na koniec, gdyby panaceum kosmicznej emigracji w skali masowej miało zostać urzeczywistnione, nastąpiłoby już jawne, nie dające się niczym zakłamać ani przysłonić, rozćwiartowanie, pokawałkowanie kultury ziemskiej, skoro nikt, żaden człowiek nie mógłby w sobie jej owoców najszczytniejszych jednoczyć, znając tylko, przez przypadek pochodzenia, urodzenia, przynależności grupowo—społecznej — jakiś jeden drobny fragment. I z czym miałby wyruszać na wypełnionym takimi jak on statku, by szukać w gwiazdach nowej ; ojczyzny — ze świadomością, że kiedyś w czasach prymitywu na poły barbarzyńskiego, wojen, ciemności i lęku — że w tej właśnie przewyciężonej epoce zabłysło ongiś Odrodzenie, i to był czas, w którym można było zjednoczyć w jednym umyśle sumę ludzkich osiągnięć, ludzkiej myśli, po czym nastąpił nieubłagany zmierzch, epoka miliardowych mrówek?

Mówiłem tylko o sztuce. Nie dlatego, abym uważał ją za najważniejszą, ani przez miejsce, w jakim ukazują się te rozważania, ale po prostu dlatego, że w świecie szybkich zmian, gwałtownych skoków, ona, oprócz nauki i filozofii, stanowi łącznik najpewniejszy, pomost wspólnego zrozumienia, narzędzie kształtowania — jeśli nie charakterów, na to nigdy nie starczyło jej sił — to przynajmniej wrażliwości, i jeśli ona pójdzie w rozsypkę, stanie się zjawiskiem o prowincjonalno—lokalnym znaczeniu, zaprzepaszczeniu ulegną i szansę uniwersalizmu przyszłości, i wspólnota ludzkiego odczuwania, a to, co pozostanie, będzie żalonym pomiotem ocalenia „wolności rozrodu”, za jaką cenę?

Rzecz w tym, że o wielkości ceny, jaką płacić będzie musiała przyszłość za decyzje, podejmowane już teraz, już dzisiaj, właśnie dzisiaj, a nie kiedy indziej — trzeba dyskutować.

Mówiliśmy o twórczości, o sztuce; jest to zagadnienie — jeśli nie rozpatrywać go w trybie polemicznym, jakeśmy to uczynili — podporządkowane szerszemu: wolności. Likwidacja wielkiej własności otwiera drogę w sferę wolności osobliwej przez jej hierarchiczność. Wolność to dwojaka: od plag i trosk, oczywiście, ale także — w rozumieniu pozytywnym, aktywnym —

wolność działania, niekoniecznie w interesie czyjejs kieszeni czy grupy, klasy — a dalej, w przyszłości — niekoniecznie nawet na rzecz jednego tylko narodu, państwa czy całego kontynentu. Szczególnej integracji planowania i myślenia wymagać będzie ten ostatni rodzaj, ten szczyt swobody, jako konieczność wyboru i decyzji — i jasne jest, że zburzenie murów ograniczających ludzkie możliwości okaże się nie tylko wyzwoleniem, i na pewno nie — otwarciem bram raju, jakiegoś . Schlaraffenlandu, lecz problemem na miarę dotąd w historii nie znanym. Wolność owa okazuje się, w takim świetle, *l* największym, być może, wyzwaniem rzuconym rodzajowi — ludzkiemu, próżnią do zabudowania, do zaludnienia, olbrzymią trudnością do pokonania, kto wie, czy nie dorównującą tej, z jaką boryka się świat dnia dzisiejszego.

Ale popełnilibyśmy błąd, sądząc, że będzie to punkt zwrotny, rozdroże. Nie, to szereg takich, następujących po sobie punktów, poprzez które ludzkość posuwać się będzie, wciąż inna, wciąż ta sama, skoro, wywalczywszy sobie wolność, będzie musiała nieustannie do niej dorastać.

1960

EFEMERYDY

KŁOPOTY Z IMPORTEM

Kiedy się człowiek wybiera za granicę, a wieść o tym dosięgnie znajomych, rosić poczyną deszczyk rozmaitych życzeń; w krótkim czasie kandydat na podróżnego widzi się zmuszony poświęcić cały omal czas za granicą na zakupy rzeczy, znajomym niezbędnych; w takich okolicznościach dusze ludzkie obnażają się z przeraźliwą szczerością. Tak na przykład dowiadujemy się, że kobiety, których nigdy byśmy o to w prostocie ducha nie posądzili, marzą o środkach odchudzających, mężczyźni zaś, skądinąd godni szacunku, poczynają z przymrużeniem oka molestować nas o przywiezienie czegoś pikantnego do oglądania, naturalnie w dobrym guście. To znów zjawia się pewien starszy dżentelmen, którego cichym marzeniem jest posiadać specjalny teleobiektyw, ale to taki, żeby, nieprawdaż, można było dokonywać zdjęć parok flirtujących ze znacznego oddalenia, i to niby celując kamerą fotograficzną w całkiem inną stronę, bo można się narazić na przykrości itp. Czasem można by dojść do przekonania, że w wyobrażeniu naszych znajomych najprzedziwniejsze przedmioty, do których tęsknią, znajduje się w obcych krajach na każdym kroku, rosnące pod zagranicznymi drzewami, niczym opieńki; pozycje w notesie mnożą się, stwarzając wizję nieodzownego wynajęcia sporego wagonu towarowego. Zarazem życzliwi znajomi, pragnąc oszczędzić nam jak najbardziej kłopotów celnych, dostarczają fachowych wskazówek. W taki to sposób, dzięki pewnym skomplikowanym wypadkom, których opisywać tu nie będę, dostał się w moje ręce dokument wielce interesujący, którego lektura przynosi nieoczekiwane całkiem wzruszenia i w niezmiernie twórczy sposób pobudza pracę wyobraźni. Jest to Dziennik Ustaw Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, zawierający rozporządzenie Rady Ministrów w sprawie taryfy celnej przywozowej, czyli, mówiąc po prostu, wykaz opłat celnych, pobieranych za to, co wracający z dalekich łądów podróżnik wiezie do rodzinnych pieleszy.

Zaczyna się ów wykaz urzędowy, utrzymany w suchym stylu, godnym wielkich epików, od wytworów pochodzenia roślinnego, może dlatego, że Polska jest tradycyjnie krajem rolniczym. Po różnych nasionach, mąkach, kaszach i okopowych, które pozostawiają nas obojętnymi, przychodzą pozycje, budzące już pewien odzew emocjonalny, jako to banany, migdały i ananasy; dowiadujemy się też, że gdyby nam przyszła ochota przywieźć chleb świętojański, zapłacimy za kilogram 10 złotych; za paszę natomiast tylko 20 groszy. Kadzidla są

niewiele droższe — 30 złotych od kilograma; za to trawy ozdobne raczej niedrogie — 10 złotych, ale jeśli mają służyć do przyozdobienia grobów, wówczas, zgodnie z dodatkowym rozporządzeniem ministra handlu zagranicznego z dnia 12 września 1956 roku, zostają od cła zwolnione. Trudno co prawda udowodnić, że dana trawa ma służyć do przystrojenia grobu — nasuwa się od razu możliwość przemykania gazonów, trawników albo całych nawet parków jako rzekomo o przeznaczeniu cmentarnym, idźmy wszakże dalej, do grupy następnej. Tytuł jej jest już oszałamiający: „Zwierzęta, ptaki, płazy, gady, owady” — a wszystko żywe. Pies kosztuje na cło złotych 20, królowa — 5 złotych (królowa pszczół, rzecz jasna), wszystkie zaś inne zwierzęta osobno nie wymienione — 50 złotych od sztuki. Ponieważ osobno wymienione nie są nosorożce, tygrysy, hipopotamy ani nawet wieloryby, korzyści nabywania ich stają się dla osób, wybierających się do krajów tropikalnych, oczywiste. Mój Boże, mieć szakala za 50 złotych! Albo śmierzdź! Czy pawiana! To wspaniałe. Dalej mamy ryby, skorupiaki i mięczaki. Mięczaki (mam słabość do mięczaków) kosztują 60 złotych od kilograma. Ale przecież mięczak może mieć w środku perłę (czy perłopław nie jest mięczakiem?) Ale perły cła się według opłat grupy 58. Więc jakże? Czy celnicy mogą dokonywać osobistej rewizji mięczaków? Ale przecież to nie mięczak wraca z zagranicy, tylko ja. Wątpliwości narastają lawiną — odkładając rozwiązanie ich na później, pograżam się w dalszej lekturze. Koral i fiszbin naturalny kosztują 100 złotych od kilograma; pomysł zatem sprowadzenia wyspy koralowej, atolu, a choćby tylko jednej, jedynej rafy koralowej — odpada, niestety; co poszłoby w miliony. Kość słoniowa jest cła słono — 100 złotych od kila, ale mamuta, narwala, morsa i hipopotama tak samo. Kość hipopotama?! Pierwsze słyszę. Człowiek uczy się przez całe życie. Potem idą woski, tłuszcze i oleje, cukier, słodycze, nawet o chałwie prawodawca nie zapomniał (5 złotych kilogram), tytoń — i jesteśmy u pozycji Wielkich, albowiem Dział V Grupa 17 nosi tytuł „Ziemia, Kamienie, Sól, Woda”. Niemal jak w Genesie, styl biblijny — stworzeniem świata zapachniało. Kamienie, piasek, glinę, żwir, skały itp. możecie przywozić na tony — grosza nie kosztują. Są bez cła. Całe Himalaje wolno przywieźć. Za DARMO — słyszycie? To podnosi na duchu. Asfalt, cement, klinkier, marmur są już nieco droższe: 10 groszy kilogram. Ale najdziwniejsze, że wodę się cła; czy to w stanie stałym (lód), czy naturalnym (woda destylowana) — cła się po 20 groszy od kilograma. A więc morza nie da się przywieźć — nawet małego? Chociaż nie wiem: ustawa wymienia tylko wodę destylowaną. Morska jest słona. A zatem...? Otwiera się furteczka nadziei: „Słyszałeś, Lem wrócił wczoraj”. — „Przywiózł coś ciekawego?” — „Tak”. — „Co?” —

„Morze”. Czy nie byłoby to piękne?

Następne rubryki mało są ciekawe. Serce uderza przy taśmach z liści palmowych (5 złotych kilo), lecz tylko raz jeden. Dalej idzie papier i wyroby z papieru. To nieciekawe. Książek nie cli się oprócz żurnali mód. Potem jest kauczuk, różne gumy, gąbki, ogumienie do kół po 12 złotych od kilograma (budzą się myśli buntownicze, władzoburcze: dlaczego właśnie 12, a nie 10 czy 14? Kto to wymyślił? Czy grono ekonomistów nocami ślęczące nad maszynami rachunkowymi — czy też zastępca ministra kostkami do gry rzucał na stół i sekretarce dyktował: „12 niech pani napisze, panno Janino” — bo mu wyszło dwa razy pod rząd po sześć oczek?

No, i tutaj, niestety, urywa się ciekawa, bujna, wionąca Wielkim Światem, Dżunglą, Stadami Słoni, Rykowiskiem Fok i Morsów część Ustawy. Bo dalej idą włókna, tkaniny, materiały, jakieś ci tam zegarki, magnetofony, pióra i diabli wiedzą co jeszcze. Cały asortyment komisowy, pachnący interesownością, zagadkowymi transakcjami, cały blichtr Zachodu, ujęty w ramki, czeka zrezygnowany na wyrok, na odprawę celną. Okazuje się tylko raz jeszcze, o ile lepiej opłaci się przywozić żywe zwierzęta: za fokę-piżmowca (co to za zwierzę takie!?) płaci się, gdy o futrze rzecz, 2 000 złociszów od kilograma; taż sama foka, przeprowadzona przez barierkę celną na żywo, pod ramię z pasażerem, kosztuje 50 złotych. I jakże tu się jeszcze wahać?! Odrobinę zainteresowania budzi jeszcze złoto w blokach; choćby i 100 ton ważyły, nie płaci się od nich nic. Ale i złoto — jest banalne. Krokodyli, krokodyli z zagranicy nam potrzeba...

PODREČNIK ELEGANCJI

Przemysł lekki i spożywczy nie tylko karmi nas i ubiera, ale wskazuje też drogę do ideału. Wydał właśnie książkę pt. „Przewodnik elegancji” — przetłumaczoną, by tak rzec, żywcem z francuskiego. Chciałem ją, kiedy wpadła mi w rękę w księgarni, odłożyć (wyznaję to czerwony ze wstydu), aliści szczęśliwym przypadkiem otwarła się na rozdziale pt. „Elegancja wieśniaka”. To było zbyt silne, nie oparłem się, kupiłem i nie żałuję. Trzeba od razu rzec, że książka mówi nie tylko o elegancji. Tytuł jest nazbyt szczupły, za skromny. To księga przewodnia na życie całe, *savoir vivre* od kołyski (a właściwie wcześniej: od poczęcia nieomal) do grobu.

Na str. 140, wertując (z ciekawości nie czytałem po kolei), znalazłem fascynujący rozdziałik „Koń”. Myślałem, że to o elegancji konia, ale nie — to o sporcie hippicznym. Cytuję: „Sport hippiczny obejmuje polowania z chartami i do jazdy konnej. Sport hippiczny jest sportem dość kosztownym”. Pierwsze zdanie zaszokowało mnie. Te „polowania do jazdy konnej...”, to musi być jakieś paryskie wyrafinowanie, nowość, nieznana jeszcze u nas, niestety! Zdanie o kosztowności też trafne i słuszne. Pewnie dlatego tak rzadko widzi się na linii AB amazonki na koniach. Jeżeli kobieta nie wchodzi w skład żadnej drużyny, to polując z chartami, winna nosić kurtkę z sukna, orzechową lub czarną. A w ogóle na konia nie można wsiadać inaczej, jak tylko w „jodhpurze” z gabardyny, i to bez względu na płeć. Musi to być jakieś indyjskie słowo, ten „jodhpur”, gdyż szukałem go we wszystkich słownikach i nie znalazłem.

Do gry w golfa znowuż należy nosić skarpetki o barwie mchu, liści i lasu — poucza nas Wydawnictwo Przemysłu Lekkiego i Spożywczego. Byłem zbulwersowany — od lat mam stajnię, grywam w golfa, rozumie się, należę do drużyny — a mszystych skarpetek ani śladu! Hańba! Jutro polecę zaraz po te skarpetki.

W ogóle elegancja sportowa to niełatwa rzecz. „Po zakończeniu gry w tenisa wkłada się palto wygodne z miękkiej wełny”. To musi być straszne, zwłaszcza w upał, ale skoro Przemysł mówi, że trzeba — to nie ma rady. Na szczęście surowe nakazy folgują w dziedzinie życia plażowego. W Biarritz, na Rivierze toleruje się, jak piszą, kostiumy wcale swobodne. Odetchnąłem, a ze mną odetchnie 60 000 nabywców „Przewodnika elegancji” (taki jest nakładzik), inaczej wszyscy byśmy się na tę Rivierę Bóg wie jak wysztafirowali.

No, ale zanim na Rivierę się dostaniemy, czeka nas jeszcze podróż. I o niej nie

zapomniano. Pakowanie — to trudny problem. Oprócz waliz trzeba brać (osobny paragraf!!) PUDŁO NA KAPELUSZE. W pudle umieszcza się (poza kapeluszami) lisy, szale, suknie wieczorowe, a także „cenne dla Ciebie pamiątki, szkło wydmuchane przez szklarza w Murano, muszle z fiołkowymi żyłkami, które fala morska złożyła u twych stóp w upalny letni dzień...” Piękne, nie? Co do dzieci, elegancyjcy ludzie przewożą je tylko w walizkach. Walizka na dzieci nazywa się *Pullman Bebe*, ma płaskie dno i ściągane zamknięcie, wystaje z niej tylko buźka. Kiedy się przyjedzie do hotelu, bieliznę w pokrowcach z plastyku należy układać bezpośrednio w komodzie lub szafie. „Dopiero w podróży można ocenić zalety nylonu”. Tak, tak, proszę Przemysłu Lekkiego i Spożywczego!

Książkę mógłbym cytować całymi stronami — napisana jest z francuskim polotem, roi się od frapujących, odkrywczych aforyzmów. („Wózek na kółkach jest praktyczny, ponieważ łatwo się przesuwają” — chodzi o wózek dziecienny. Kto by na to wpadł, co?! W ogóle wózki dziecienne., ale spieszę do wieśniaka, żeby mi nie uciekł). Tylko jeszcze rada Szan. Przemysłu co do źródeł zakupu: „Przez snobizm nie ograniczaj się do sklepów luksusowych. W domach towarowych znajdziesz bardzo ładne dzianiny po cenach niższych”. Figlarz z Przemysłu, jak Boga kocham!

No, ale czas najwyższy na Pejzanów! Elegancja wieśniaczki: „Nie staraj się być podobna do aktorek filmowych, przebranych za chłopki z fantazji”. Faktycznie baby z mlekiem, zwłaszcza te spod Opatkowic, już obecnie zanadto pod Jayne Mansfield się ubierają! Cała nadzieja w tym, że kupią „Przewodnik elegancji” i dowiedzą się, iż „latem rano do pracy wieśniaczka wkłada kombinezon lub spodnie obcisłe półdługie z płótna niebieskiego lub różowego”. Wieśniak zaś winien ubierać się w kolorowe koszule z wykładanym kołnierzem, poza tym — cytuję: „koszule z nylonu, nowe tkaniny niekurczliwe i niegniotliwe nadają się do noszenia przy wszystkich pracach w polu i gospodarstwie...”

Czy Przemysł Lekki zwariował, czy może ja? A może to tylko do śmiechu? No, pewnie, że do śmiechu! Całej książki nie opowiem, brak miejsca, lećcie więc do księgarni, Wieśniacy, Wieśniaczki, Niemowlęta w Walizkach i Wy, Kip-picznicy Gracze w Gólfie, i wychwytyjcie bezcenny „Podręcznik elegancji”!!!

TATRY ZIMĄ — SUPLEMENT

PT. Autorom oraz Wydawnictwu podręcznika pt. „Tatry zimą” gorąco zalecam dołączenie do ustępu, traktującego o Kasprowym Wierchu oraz urokach i korzyściach zjazdu z takowego — następującego suplementu dla początkujących narciarzy:

Na Kasprowy można się dostać w sezonie zimowym za pomocą dowolnie obranego sposobu — jak niżej.

1. Na wytrzymałość. Należy zjawić się po miejscówkę przed kasą kolejki w Kuźnicach przed szóstą rano. Jeżeli zapowiada się pogoda — przed piątą. Mieszkającym w schroniskach na Kalatówkach i na Hali Gąsienicowej zaleca się wstać o czwartej i bez golenia i mycia zjechać po ciemku do Kuźnic. Przestrzega się przed potworami Kasprowego, które przesypiają noc do czwartej w dyżurce kolejki oraz przed samozwańczym „czynnikiem społecznym”, który rozdziela numerki pisane ręcznie na kartkach papieru. Należy starać się o numerki do ogonka metalowe, które rozdziela pracownik kolejki około siódmej, tj. na jedną zaledwie godzinę przed otwarciem kasy. Obudziwszy się po szóstej można spokojnie obrócić się na drugi bok i spać dalej, gdyż miejscówki się w tym dniu wyżej podaną metodą nie dostanie.

2. Na ciało zbiorowe. Ciała zbiorowe, jako to delegacje, wycieczki etc., otrzymują miejscówki w przedsprzedaży, na listy. Wjechać tak jest bardzo łatwo, ale tylko razem z całym ciałem. Z doświadczeń historycznych atoli wiadomo, iż ciała zbiorowe, choć składają się zawsze z jednostek, często wyrażają odmienne od tych jednostek pragnienia. Dylemat ten utrudnia wjeżdżanie tą metodą wtedy, gdy się ma na to największą ochotę. Ponadto ciała zbiorowe, jako twory wielkie, wjeżdżają rzadko.

3. Na chama. Bardzo typowa, powszechnie stosowana także w innych okolicznościach, również i pozaturystycznych, metoda polega na pchaniu się ze wszystkich sił ku barierce, przy której stoi kontroler przed peronem. Należy mieć jakąkolwiek miejscówkę (późniejszą, nieaktualną, etc.), oklinać wszystkich współstojących, okładać ich kijami, dźgać szczękami od nart, podkreślając mgliście swoje wyjątkowe prawa do wjazdu. Trzeba się przy tym liczyć z wielokrotnym wyrzucaniem na tzw. „zbity łeb”, z obelgami tłumu, z agresywną postawą co silniejszych narciarzy itd.

Należy jednak wracać wciąż na to samo miejsce, odgryzać się, kopać, kłąć, pchać,

obtłukiwać wszystkim gnaty, a równocześnie wobec każdego funkcjonariusza kolejki przejawiać lepką służalczość, wylizany uśmiechami serwilizm, skłonność do przeraźliwego śmiechu z ich ewentualnych dowcipów, w ogóle podchwytywać każde ich słowo i wielokrotnie powtarzać je w sposób zarazem tubalny, wiernopoddańczy i przypochlebny. Przy pewnej cierpliwości oraz sile fizycznej w końcu wjedzie się na górę niemal na pewno.

4. Na pałę. Sposób ten polega na przybyciu do Kuźnic niezbyt późno, ale i nie za wcześnie, tak około dziewiątej. Ma on kilka podziałów. Pierwszy polega na posiadaniu wyrobionej poprzednio sieci szerokich znajomości, szczególnie wśród arystokracji narciarskiej oraz pośród ludzi miejscowych (zakopiańczyków). Wymieniając życziwe pozdrowienia, serdeczne uwagi, bystre „aproposy”, rzucając komplementy paniom i wyrazy szacunku panom, należy co chwila niby to od niechcenia pytać, czy ktoś z naszych serdecznych znajomych nie ma czasem do odstąpienia zbywającej miejscówki. Brać należy każdą, nawet taką, którą wjeżdża się tuż przed wieczorem. Mając pewien zapas wyproszonych tak, choćby i późnych, więc lichych miejscówek, przystępuje się do ich wymiany na lepsze albo przez wyszukiwanie frajerów, albo przez wymianę dwu późnych miejscówek na jedną wcześniejszą. Drugi podział metody polega na wjeżdżaniu na tzw. „czyste piękno” i korzystać zeń mogą jedynie kobiety na pograniczu kociaka, wampa bądź wydry. Doświadczenie uczy, że ładna kobieta nigdy nie zostaje na dole. Trzeci podział, najmniej pewny, ale najbardziej emocjonujący, polega na wjeżdżaniu na tzw. „cud”. Od czasu do czasu bowiem, jak to bywa w każdym wielkim ludzkim rojowisku, trafia się w tłumie wariat, święty (?), który wyraża chęć odstąpienia aktualnych, doskonałych, bieżących, świeżych i prawdziwych miejscówek po cenie kosztu, tj. po 1 złoty 20 groszy sztuka. Niżej podpisanemu zdarzył się taki cud w pewną marcową niedzielę przy słonecznej pogodzie, kiedy to nieznany mu szczupły chłopczyna, stojący w ogonku od 5,45 rano, znienacka wyraził chęć odstąpienia miejscówek na natychmiastowy wjazd, odstąpił je i oddalił się w niewiadomym kierunku, pozostawiając niżej podpisanego i jego kolegę w stanie bezwzględnej osłupienia. W takich — rzadkich, lecz tym cenniejszych — wypadkach należy przejawiać przebojowość, zimną krew i błyskawiczną orientację, wyrażającą się w tym, iż nie należy czekać, aż taki nawiedzony mistycznie człowiek wyduka z siebie, iż chce oddać miejscówki, ale pilnie śledzić wszystkie otaczające twarze tłumu i usłyszawszy: „Proszę państwa”... — albo: „Ja chcę”... — należy natychmiast danego osobnika zablokować, oddzielając go od reszty tłumu i wmówić w niego w sposób bezwzględny, choć nie pozbawiony resztek kurtuazji, że jest się tym jedynym

człowiekiem, któremu się miejscówki należą.

5. Na prawo wartości. Jak zwykle, tam, gdzie istnieją drastyczne różnice między podażą i popytem, przemożne prawo wartości, znane dobrze z ekonomii, toruje sobie drogę, co się przejawia powstawaniem pod koniec lutego i z początkiem marca czarnej giełdy miejscówkowej. Cena miejscówki, z końcem lutego praktycznie *al pari* z ceną kasową, wzrasta w marcu na fali wielkiej haussy, osiąga bez trudu 5, 10 a nawet 15 złotych, aby przy słonecznej pogodzie i pladze orbisowych wycieczek, zaopatrzonych masowo w miejscówki z przedsprzedaży, co poważnie zmniejsza ich ilość do nabycia w kasie — wznieść się do złotych pięćdziesięciu. Napływ zamożnych lekarzy, głównie ginekologów z Warszawy i Krakowa, jak również tej części inicjatywy prywatnej, której przychodzi fantazja wjeżdżania na Kasprowy wraz z licznymi dziećmi, termosami, nasmarowanymi grubo kremem żonami bądź mniej tłustymi kociakami, z zapasem holenderskich koców oraz izraelskich pomarańcz, przyczynia się do tworzenia na fali ogólnej haussy spontanicznej koniunktury niesłychanych zgoła interesów oraz podbija momentalnie ceny miejscówek do wysokości wręcz legendarnej. Co się tyczy źródeł, agentów oraz dystrybucji — należy zdać się na nosa, jeśli się takowy posiada; w braku nosa wystarczy grubsza gotówka.

6. Na kacyka. Na kacyka wjeżdżają osoby z administracji oraz tajemnicza gromada ludzi, posiadających jakieś białe kartoniki z jakimś nadrukiem (coś jakby Koleje Linowe) albo osobliwe, przypominające analizę moczu bilety blankietowe PKP lub też inne „silne papiery”, bądź potężne, z wysoka spływające znajomości. Należy oświadczyć lojalnie, iż ilość wjeżdżających tym sposobem ludzi zmniejszyła się po październiku, chociaż jeszcze się ich spotyka.

7. Na sławę mołojeką. Jest to metoda zarezerwowana dla niektórych sławnych ludzi, jako to aktorów, reżyserów, śpiewaków itp.; pisarze się tu nie liczą, chyba że są posłami albo czymś więcej.

Osoby zainteresowane w/w tematem, mogą dalszych informacji poszukiwać w dwutomowym dziele Autora pt. „Socjologia, ekonomia i psychotechnika w służbie wjazdu na Kasprowy Wierch”, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1969, str. 456 + 389 + 6 nlb z licznymi wykresami, planszami oraz dokładnym schematem i planami drukarenki do drukowania miejscówek we własnym zakresie.

AUTO WYWIAD

Jest teraz szalona moda na wywiady. Są nawet tacy szczęśliwcy jak Osmańczyk, których interwjuje się co tygodnia. Ja też czekałem, czekałem, ale się nie doczekałem, więc nie ma innej rady — muszę to załatwić sam. Udaję się tedy do siebie i zastaję się nakręcającego na podłodze blaszaną kacuzkę.

— Co pan teraz robi? — pytam, ściskając sobie z szacunkiem dłoń.

— Puszczam kaczkę. Patrz pan, jak macha skrzydłami, co?!

— Miałem na myśli pańską twórczość.

— Ach, to. Zmieniam profil. Literatura, jaką uprawialiśmy dotąd, okazała się nierentowna. „Dom Książki” oraz przykład kolegów wskazał mi nową drogę rozwoju. Piszę powieści kryminalne. Na początek — trzy.

— Więc odszedł pan od fantastyki? — pytam z ubolewaniem.

— Bynajmniej. To są powieści kryminalno–fantastyczne.

— Można poznać jakieś dalsze szczegóły?

— Można poznać. Pierwsza dzieje się na luksusowo urządzonego statku kosmicznym. Załoga składa się z arystokratów, psychopatów, kociaków, gwiazd filmowych cierpiących na nimfomanię oraz dziedzicznie obciążonych psów czau–czau. Receptura, jak pan widzi, nowoczesna.

— Istotnie. A czym zajmuje się załoga tej rakiety?

— Rzecz jasna, orgiami oraz morderstwami, które mają się do siebie w stosunku dwa do jeden, bo ta proporcja, jak wykazały badania opinii publicznej, gwarantuje najwyższy nakład.

— Czy na rakiecie jest detektyw?

— Pewno. Jest nim pewien starszy, flegmatyczny, kochający kwiaty mózg elektronowy.

— A te inne powieści, o których zechciał pan wspomnieć?

— Jedna jest o tematyce krajowej. To historia skonstruowania pierwszego polskiego sztucznego satelity, związana z grubszą aferą łapówkową, dzięki której pewien facet z prywatnej inicjatywy urządza na tym satelicie tajny dom schadzek.

— Czy dobrze słyszę?

— Nie wiem. Proszę sobie przetkać ucho. Na tym sztucznym satelicie miało być

laboratorium atomowe, ale ten facet posmarował inwestora i zrobiło się pewne przeróbki, tak aby przez spektrografy Astona można było oglądać zdjęcia pornograficzne, automatyczną aparaturę przerobiło się na usługowe roboty erotyczne, a o tym, co się działo w stosie atomowym, to pan sobie może już sam przeczyta, jak powieść wyjdzie... Są tam jeszcze inne wątki. Grupa operacyjna Ministerstwa Handlu udaje się na Księżyc pod pozorem otwarcia wzorcowej ekspozytury Cepelii, a w rzeczywistości przerabiają grunt księżycowy na kamyczki do zapalniczek i robią na tym miliony. Z upływem czasu Księżyc zmniejsza się i zachodzą pewne perturbacje wykryte przez obserwatorium w Kieleckiem, ale główny astronom nie podaje ich do wiadomości, bo został zablutowany.

— Żabia...

— Tak. Przedstawiciel Cepelii, wracając z Księżyca, wstępuje na jedną małą radioaktywną do sztucznego satelity, bo mu po drodze, i łapie tam własną żonę *in flagranti* z pewnym amerykańskim robotem, który łagodzi jego wściekłość obietnicą, że wyprodukuje nadymany księżyc z gumy, odpowiednio pomalowany, który będzie imitował na niebie prawdziwy Księżyc. Ten robot ma kochankę z wyższych sfer, przez którą nawiązuje kontakt z marynarzami kosmicznej linii Gdynia–Mars i sprzedają z nimi cały Księżyc na złom. Za uzyskane dewizy budują sobie parę jednorodzinnych satelitów z komfortem (smyrny, ruleta, elektronowa rozpusta itp.). Niestety chce, że mąż kochanki robota przez zemstę przekłuwa nadymany księżyc, powietrze ucieka, guma się zapada i grozi skandal. Nasza milicja rusza natychmiast na miejsce wypadku, ale z powodu niskiego stanu motoryzacji dysponuje tylko dwukonną bryczką, bo motocykl jest w remoncie, a rakiety skreślono im przez oszczędność. Po Drodze Mlecznej konie słabną i trzeba zrobić postój na sztucznym satelicie.

— Tym jednorodzinny?

— Nie, tym z domem schadzek. Jeden z milicjantów przez omyłkę wchodzi do stosu atomowego, staje się świadkiem drastycznej sceny i wylatuje stamtąd w najwyższym podnieceniu, ale kierownik, ten gość z prywatnej inicjatywy, tłumaczy mu, że na tym właśnie polega rozbijanie jąder. Milicjant nie jest fizykiem atomowym, więc bierze to za dobrą monetę, lecz w tym momencie gumowa płachta, która spadła z nieba, nakrywa sztuczny satelitę, robi się ciemno i w zamieszaniu jeden agent wkłada do walizki śledczej spektrograf z wiadomymi zdjęciami zamiast parasola...

— Przepraszam na chwilę. Proszę mi wybaczyć, ale... nie mogę nadażyć za lotem

pańskiej fantazji. W głowie mi się trochę zakręciło... Tak, już mi lepiej. To niesłychane, doprawdy. Pan mówił jeszcze o trzeciej powieści, prawda?

— Tak. To utwór młodzieżowy, dłuższa historia, obficie ilustrowana, o takim małym chłopczyku, który morduje swoją rodzinę.

— Morduje...?

— No, tak. Pan zdaje się faktycznie nie dosłyszy? Wydaliśmy wojnę natrętnej, nudnej dydaktyce. Używając na przemian czekoladek z cjankiem potasu, siekiery oraz tresowanego okularnika...

— Bardzo pana przepraszam, ale zdaje mi się, że o takich dzieciach, które mordowały, już gdzieś pisano?

— O takich dzieciach może i pisano, ale nie o tym, które jest bohaterem mojej powieści. To jest chłopczyk syntetyczny, proszę pana.

— Syntetyczny?

— Tak, plastikowy, dla bezdietnych rodziców, z elektromózdzkiem, tylko wyprodukowały go w ramach ubocznej produkcji Zakłady im. Nowotki i ma on pewien drobny feler, wskutek czego, zamiast kochać przybranych rodziców, morduje ich. Mała omyłka w połączeniu lamp katodowych, nieprawdaż.

— I co dalej z tym chłopcem, można spytać?

— Można spytać. Zdemaskowany, szuka ratunku w krótkim śpięciu, to jest w samobójstwie, chciałem powiedzieć.

— To szalenie ciekawe. A co pan jeszcze robi poza pisaniem tych oryginalnych książek, czy wolno postawić takie pytanie?

— Wolno postawić. Epoka schematyzmu, mój panie, w której wietnamskie dżungle lepiło się z tak zwanego papendekla, a wybrzeże atlantyckie kręciło się w Falenicy, ta epoka jest szczęśliwie za nami. Obecnie każdy film kręci się tam, gdzie się toczy jego akcja. Planuje się film o Monte Cassino — kręcić go będą we Włoszech. Kolega Stawiński ostatnio napisał ciekawy scenariusz „Casalarga” o żywej akcji...

— Też we Włoszech?

— Jasne, a pan co myślał, że w Radomskim? Ma się też kręcić moich „Astronautów”. Czeka mnie w związku z tym służbowy wyjazd...

— Ha ha, pan jest bardzo dowcipny!

— Ależ to nie żart. Jedziemy nie na Wenus, ale za granicę. Wyjaśniło się czynnikiem, że aby odnaleźć miejsce na kuli ziemskiej, nadające się do kręcenia filmu o innej planecie, musimy w sto osiemdziesiąt osób, plus odpowiednia ilość aut, objechać cały glob. Poszukiwania te trwać mają około trzech lat. Głównymi punktami ich będą: Place Pigalle w Paryżu, 72 ulica w Nowym Jorku, dzielnice portowe Marsylii i Kopenhagi, ponadto pewne rejony Londynu, Rzymu, Tokio, Sycylia, Casablanca, Afryka Centralna i Haiti.

— Haiti też?

— Tak, słynie z tancerek czy z rumu, w tej chwili zapomniałem, ale mam to gdzieś zapisane.

— A może powie mi pan, co będzie w Polsce za dziesięć lat?

— Pan mnie pyta jako pisarza fantastycznego czy jako osobę prywatną?

— No... jako pisarza.

— Tak? Hm, cóż, będzie, proszę pan, szalony nadmiar aut, lodówek, diabli wiedzą czego, higiena, porządek niesłychany, plastikowe barwne domy prywatne, helikoptery, autostrady, a wszystko jak w zegarku!

— A... a jako osoba prywatna — co mógłby pan powiedzieć?

— Uważam, mój panie, że to i niesmaczne, i nietaktowne publikować treść prywatnych rozmów, a zresztą cóż one kogo obchodzą? Pan jakoś tak patrzy — zapewne odczuwa pan zmęczenie? Rozmawiamy dość długo, istotnie. A może pan nie ma już czasu, co?

Wstaję szybko, pojąwszy dyskretną aluzję, i dziękując wylewnie gospodarzowi, pędzę do redakcji, aby jak najszybciej podzielić się z Czytelnikami bogactwem wrażeń, wyniesionych z tak udanego wywiadu.